

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XLII.

ROK XI.

TOM II. — ZESZYT II

M a j.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1886.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 3 Maja 1886 r.



JÓZEF BOHDAN ZALESKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

I już ostatni ze świetnego grona romantyków naszych, jakby z poczucia osamotnienia, jakby z żalu i tęsknoty za tymi wielkimi spółcześnikami, z którymi razem niegdyś chórową pieśń poezyi nowéj zanucił,—zstąpił do grobu.

Przez długie, długie lata milczał wprawdzie słowik ukraiński a we wspomnieniu i we czci narodu minioną tylko twórczością swoją nieprzerwane budził zachwyty; ale samém istnieniem swojém był świadkiem żywym wielkiego okresu natchnienia i wielkiéj zmiany w formie wyrażania się ducha na zewnątrz. Teraz nietylko śpiewać, ale i żyć zaprzestał.

Oddziaływanie jego atoli na naród nie przerwało się i przerwać się nie może, gdyż należał on do téj szczupłéj garstki talentów twórczych, co wnoszą do skarbca poezyi ważkie złoto słowa, z gruntu narodowego wydobyte i ze wszystkich przypadkowych naleciałości oczyszczone. Żeniąc nutę ukraińską z polskiém uczuciem, dokonał tego, czego rzeczywistość dziejowa dokonać nie zdołała, spełnił zadanie wajdeloty, o którém mówi Mickiewicz we wstępie do Konrada Walenroda:

Co przyrodzenia związał łańcuch złoty,
Wszystko rozerwie nienawiść narodów;
Wszystko rozerwie.... lecz serca kochanków
Złączą się znowu w pieśniach wajdeloty.

Choćbyśmy wpływ poezyi najniżéj nawet ocenili, zawsze jeszcze—wierzmy—dosyć go pozostanie, by serca zwaśnione i rozjątrzone ułagodzić i spokojniejszemi natchnąć uczuciami. A poeta, co w téj myśli działał, wysłużył sobie niezaprzeczenie zaszczytne miejsce w panteonie wspomnień narodowych.

Józef Bohdan Zaleski urodził się w dzień Najświętszéj Panny Gromnicznéj 2 (14) lutego 1802 roku we wsi Bohaterce nad Sobem na Ukrainie. Matka dając życie synowi, wkrótce własném je przepłaciła. Dziecię powierzone wieśniaczce ukraińskiéj do odkarmienia, od samego zarania życia wchłaniało powietrze stepów, poiło się „mlekiem dum i mleczem kwiecia,“ przejmowało się usposobieniem, wyobrażeniami i zwyczajami ludu, którego mąż dojrzały miał zostać piewcą.

Oddany do szkół księży bazylianów w Humaniu, cieszących się wówczas na Ukrainie największém uznaniem i największą liczbą uczniów, spotkał się tu w ciągu studyów z rówieśnikami. którzy mieli równie jak on w dziejach piśmiennictwa i oświaty naszéj zasłynąć. Seweryn Goszczyński, Tymko Padura, Michał Grabowski, Józef Mianowski, Aleksander Groza byli kolegami Zaleskiego. Szkoły ówczesne miały ten charakter życia rodzinnego, co je tak głęboko i tak sympatycznie w sercu uczniów zapisywał. Nie tylko podczas lekcyi, ale i w chwilach zabawy nauczyciele łączyli się z uczniami, podzielając z nimi i radosne i smutne przygody. Odbywano tłumne przechadzki do poblizkiéj Zofiówki, śpiewając pieśni ukraińskie; a przytém oddawano się nauce pilnie i gorliwie.

Jeszcze na ławie szkolnéj zyskał Bohdan sławę poety drukowanego. Początkowe jego wiersze pomieszczone r. 1819 w „Dzienniku Wileńskim“ były, jak naturalna, podobnie jak pierwsze utwory Mickiewicza. odbiciem tych wyobrażeń literackich, których nabył w szkole, któremi przesiąknięta była ówczesna atmosfera umysłowa na całéj przestrzeni Rzeczypospolitéj. Klasycyzm rzymsko-francuski, retoryczność i sentymentalność cechowały produkcye 17-letniego talentu. Były tam tłómaczenia z Horacego i z poetów francuskich, była „duma o Wacławie“ z treści wzięta niby z wypadków życia ludowego, ale wyśpiewana na nutę górnie sielankową, obfitująca w wyrażenia ówczesnego stylu literackiego. Jedna wszakże okoliczność zasługuje już w téj dumie na baczną uwagę. W pierwszym swoim utworze oryginalnym zaznaczył Zaleski bardzo silnie jednę z najwybitniejszych cech formalnéj strony poezyi swoich, a mianowicie rytmiczność wiersza. Młody autor na czele dumy wypisał wzorzec rytmiczny, według którego całość ułożył, pilnując zachowania go we wszystkich szczegółach jaknajskrupulatniéj. Ze wszystkich poetów biorących się wówczas do pióra on jeden chciał i umiał skorzystać z ożywionych wtedy rozpraw o rytmiczności języka polskiego, prowadzonych w Warszawie przez Królikowskiego, Elsnera i Brodzińskiego; on jeden starał się—i to z dobrym skutkiem—przywrócić liryce pierwotne jéj znamię, od którego bierze nazwę, uczynić ją prawdziwie śpiewną, nagiąć słowa do wymagań muzyki.

W roku 1820 wraz z Sewerynem Goszczyńskim przybył Zaleski do Warszawy, częścią dla słuchania wykładów uniwersyteckich, częścią dla szukania zarobku w zawodzie nauczycielskim. Zaznajomił się z Brodzińskim. Dwie te natury były do siebie wielce podobne; odznaczała je łagodność usposobienia i jakiś cichy, zrezygnowany smutek. Brodziński jako starszy o lat jedenaście wywarł wpływ na młodszym zarówno pod względem wyboru tematów jak i ich obrobienia. Poezye pisane przez Zaleskiego w początkach pobytu w Warszawie i drukowane w „Pamiętniku Warszawskim", wydawanym od r. 1822 przez Brodzińskiego, Skarbka i Skrodzkiego, są tego rodzaju, że mogą być również przypisane Kazimierzowi z Królówki, śpiewakowi Wiesława, tłómaczowi pieśni ludowych. „Ludmiła", „Lubor", „Nieszczęśliwa rodzina" nie mają ani w dykcyi, ani w sposobie przedstawienia uczuć tych cech znamiennych, jakiemi Bohdan wyróżnił potém od wszystkich innych swoje dumki i opowiadania.

Niebawem atoli przebudził się w Bohdanie duch stepu, pragnienie wyższego lotu i żywszego ruchu. Już w r. 1823 w tymże samym „Pamiętniku Warszawskim" ukazują się dwa utwory, zwiastujące całkiem samodzielnego piewcę. Wyjątek z rapsodu rycerskiego p. n. „Janusz Bieniawski" i dumka o hetmanie Kosińskim wprowadzają do poezyi naszéj i wyobrażenia i nutę ludu ukraińskiego oraz rycerski nastrój kozaczyzny; a dykcya poety, lubo w nader skromnéj jeszcze mierze, ma znamię sobie właściwe, odrębne od stylu zarówno Brodzińskiego jak i innych owoczesnych poetów.

Ciekawym jest szczegół wczesnego odczucia i zrozumienia się pomiędzy twórcą szkoły ukraińskiej w poezyi naszéj a przedstawicielami ruchu romantycznego w Wilnie. Zaleski tworząc swój rapsod i dumkę o Kosińskim prawdopodobnie nie znal jeszcze pierwszego tomiku poezyi Mickiewicza wydanych w roku 1822 w Wilnie; był zresztą zbyt samodzielnym na to, ażeby się stać naśladowcą; ale bądź-co-bądź śledził dość pilnie objawy ruchu literackiego w stolicy litewskiéj i sympatyzował z niemi. Jak sam śmiejąc się opowiadał Odyńcowi, przekład z „Myśliwca" dokonany przez tegoż z Bürgera a drukowany r. 1822 w „Dzienniku Wileńskim" tak go zajął, że nie mógł wybić sobie z pamięci tych między innemi słów: „I hop, hop, hop, rumak skory hasa, leci...", aż nakoniec, żeby się „ich pozbyć z myśli. wsadził na owego rumaka swojego hetmana w dumce, zacząwszy ją od wykrzyknika: Hop, hop, cwałem koniu wrony!" Naturalnie rozumiéć to należy tylko jako potrącenie zewnętrzne do utworzenia dumki, gdyż wewnętrznie, duchowo nie ma ona nic wspólnego z „Myśliwcem"…. Nawzajem ta dumka o hetmanie Kosińskim osłodziła chwile więzienne w początku roku 1824 i Mickiewiczowi

i wśród nich jego kolegom, wywołując „ożywcze wrażenie“ (1). Odtąd i Mickiewicz i Bohdan, lubo nie znali się osobiście, pamiętali o sobie i w listach do spólnych znajomych przypominali się wzajemnie.

Z literatami warszawskimi nie przyjaźnił się Zaleski; na czwartkowych zebraniach Wincentego hr. Krasińskiego nie widywano go wcale. Szczupłe tylko grono wybranych było dla niego najmilszém towarzystwem; do tego grona należeli: Stefan Witwicki, Maurycy Mochnacki, Fryderyk Szopen, a wreszcie Odyniec, gdy się osiedlił w Warszawie. Ze starszych Brodziński i Lelewel z gronem tém się komunikowali serdecznie. Zresztą Zaleski nie był zawsze stałym mieszkańcem miasta. Jako nauczyciel domowy w domu Górskich i Szembeków bardzo często bawił na wsi ze swymi wychowańcami.

Twórczość poetycka Zaleskiego obfitą nie była, ale każda niemal jego dumka czy piosnka znajdowała odgłos w sercach i była śpiewana, a wydrukowane w r. 1829 (w „Meliteli“) *Rusałki* ustaliły sławę Bohdana jako najznakomitszego liryka wśród młodszego pokolenia. W Rusałkach odtworzył prawdziwie po mistrzowsku świat fantastyczny ludowy ze strony powabnéj, uroczéj, nie mającéj w sobie nic z tego ponurego i pełnego grozy kolorytu, jakim przejęte były ballady Bürgera i jego u nas naśladowców; a tym sposobem wprowadził ten świat bez trudności do salonu, tak samo jak wytworne jego dumki wprowadziły tam kozaków. Powtóre Rusałki odmalowały w sposób ponętny i delikatny te marzenia młodociane o miłości, które w każdém sercu oddźwięk znaleść musiały, nie wymagając zbytecznego natężenia, ażeby się do ich tonu dostroić, gdyż nie były egzaltowane; a smutek, którym się kończyły, dalekim był od uczucia namiętnéj rozpaczy. Gdy gieniusz Mickiewicza czarodziejską siłą porywał ku sobie umysły, talent łagodny Bohdana po cichu i spokojnie wkradał się w nie, zagrzewał lub uspokajał; a melancholią powabną dla siebie zjednywał.

W r. 1831 był posłem ze swego województwa, a gdy wypadki owoczesne boleśnie się dla kraju zakończyły, wyjechał za granicę i osiadł w Paryżu. Tu w połowie r. 1832 zapoznał się osobiście z Mickiewiczem i stanął z nim odrazu, dzięki dawniéj już listownie zasnutym sympatycznym niciom, na stopie przyjacielskiéj zażyłości. Niewiadomo nam, o ile wtedy była w duszy Bohdana predyspozycya do nastroju głęboko religijnego, gdyż w poezyach jego przed rokiem 183●

(1) Odyniec opowiada to w swoich „Wspomnieniach z przeszłości“ (1884, str. 194—195); zawiodła go atoli pamięć, gdy twierdził, że zarówno jego „Myśliwiec“ jak i dumka o Kosińskim drukowane były w „Bibliotece polskiéj“ Dmochowskiego; czasopismo to bowiem zaczęło wychodzić dopiero w r. 1825.

pisanych nie mamy wprawdzie śladów zwątpienia w rzeczach wiary lub tytanicznych do nieba szturmowań, ale téż nigdzie w nich nuta religijna nie pobrzmiewa. To tylko za fakt niewątpliwy uznać należy, iż od czasu zaznajomienia się z Mickiewiczem nie raziło go w nim owo usposobienie do rozpatrywania wszystkich spraw z religijnego punktu widzenia jakie wyrobiło się u poety „Dziadów" w czasie drugiéj zimy w Rzymie spędzonéj: owszem Zaleski podzielał jego w téj mierze poglądy i należał wraz z nim do założycieli towarzystwa „Braci zjednoczonych" pod koniec r. 1834, towarzystwa mającego na celu budzenie i podtrzymywanie uczuć katolickich wśród wychodzców. Od téj chwili w utworach Zaleskiego nastrój religijny zajmuje bardzo wiele miejsca i to nie tylko w poezyach wyłącznie dogmatom i uczuciom wiary poświęconych, ale i w tych, które ogólny pogląd poety na dzieje świata i losy własnego kraju zawierają. Nastrój religijny opanował wówczas całkowicie duszę poety i nie opuścił jéj aż do końca życia.

Wiara, uczucie, natchnienie stały się wtedy czynnikami najważniejszemi zarówno w jednostkowym jak i w ogólnym, wszechludzkim i narodowym rozwoju; rozum natomiast, myśl badawcza, analiza wydawały się poecie naszemu czemś podrzędném a nawet szkodliwém. Pomijając drobne wiersze gnomiczne, pod wspólnym napisem: „Modlitwy i hymny," znaczącym objawem tak scharakteryzowanego usposobienia Zaleskiego jest poemat „Duch od stepu" napisany w r. 1836 podczas pobytu w Alzacyi, a wydrukowany po raz pierwszy w Paryżu r. 1841. Jest-to ściste spojenie wspomnień osobistych ze wspomnieniami życia wszechludzkiego wogóle a polskiego w szczególności z nader charakterystyczném uwydatnieniem roli Ukrainy w dziejach formowania się narodów nowożytnéj Europy,—a to wszystko, na podstawie teoryi Platońskiéj anamnezy. Poeta odczuwa i uznaje całą przeszłość jako widzenie ukazujące się własnemu jego duchowi, jako szczegóły, w których i własne jego życie się odzwierciedliło i odzwierciedla. Otóż w téj panoramie poetycznie odtwarzającéj główne chwile dziejowe, Zaleski całą historyą nowożytną, odkiedy „rozum się wyzwolił" i przyłożył chłodne nożyce rozbioru do złocistéj tkani wiary i natchnienia, przedstawia nam jako czas zwyrodnienia ludzkości, jako okres zanikania ideałów, jako lodową epokę ducha. Niewątpliwie w tém potępieniu dziejów cywilizacyi nowożytnéj i rozumu nadzwyczaj ważną rolę, tak samo jak w niektórych pismach Mickiewicza, odgrywa poczucie niesprawiedliwości popełnionéj na narodzie w tak zwanym „wieku oświecenia", w wieku rozumu; a zaznaczenie téj okoliczności powinno powstrzymać nas od bezwzględnych wyroków co do przyćmienia

umysłowości naszych poetów; ale w każdym razie, niepodobna nie zauważyć, że przekonanie o niższości rozumu od uczucia i natchnienia z biegiem czasu nabierało większéj mocy i prowadziło wprost w mgliste dziedziny mistyki.

Zaleski nie stał się wprawdzie, pomimo wezwania Mickiewicza, zwolennikiem Towiańskiego; uczucie jego bowiem religijne silnie się trzymało dogmatów i form katolickich; ale w zakresie tych dogmatów i form powierzyło się marzeniom mistycznym. Wówczas i praca literacka nie wydała mu się zbyt odpowiedniém dla doskonalącego się ducha zajęciem. Jakoż po napisaniu „Przenajświętszéj Rodziny" nie utworzył już żadnego większego poematu, a nawet porozpoczynanych rapsodów („Maryan Bukat", „Trechtymirowski klasztor") nie pokończył i nie wcielił do zbiorowego wydania pism swoich, pozostawiwszy owe fragmenty w czasopismach, w których były pierwotnie drukowane. Wyśpiewywał tylko od czasu do czasu dumki coraz większą tęsknotą do Ukrainy rozbrzmiewające, oraz odtwarzał pieśni serbskie w przecudnym, ale od wierności dość dalekim przekładzie.

Od r. 1845 aż do 1866 przez lat całych dwadzieścia Zaleski przypomniał się spółziomkom zaledwie wydaniem „Poezyi" swoich i przekładów (w Petersburgu 1851) oraz kilku pieśniami okolicznościowemi. W tym przeciągu czasu ożenił się z Zofią Rozengartówną, mieszkał w Paryżu i był nauczycielem w szkole polskiéj na Batignolles. Szczegółów życia i działalności jego w tych latach nie znamy dotychczas wcale.

W r. 1866 ukazał się w Poznaniu nowy zbiór poezyi Bohdana p. n. „Wieszcze oratoryum." Mało tu już było dumek z dziejów kozaczyzny, tak ulubionéj poprzednio Zaleskiemu, natomiast znalazło się wiele tęsknych wspomnień z Ukrainy spółczesnéj a jeszcze więcéj pieśni mistycyzmem przeniknętych; w kilku wypowiedział swoje uczucia z powodu dopiero co minionych krwawych zdarzeń. Forma ich przypominała kształty dawniejsze, ale brakło jéj już téj świeżości i bezpośredniości, jaka w pierwszych utworach Zaleskiego tak wszystkich silnie czarowała. „Wieszcze oratoryum" nie rozpowszechniło się już w tym stopniu jak dumki dawne; widocznie już zbrakło poprzedniego sympatycznego łącznika pomiędzy poetą a społeczeństwem; słowa poety brzmiały dziwnie wśród zmieniających się do gruntu wyobrażeń i stosunków. Zabierał wprawdzie Zaleski głos i w sprawach bieżących, jak np. z powodu zjazdu w Moskwie roku 1867, ale słowa jego nie miały potęgi zaklęcia, nie budziły szerszego zainteresowania. Rzadko się więc odzywał. Dopiero gdy druhowi młodości, Sewerynowi Goszczyńskiemu, składano cześć przez wyda-

nie książki zbiorowéj p. n. „Sobótka“ (1875), przesłał do niéj cztery nowe pieśni („Dąb namogilny,“ „Żóraw“, „Niewyśpiewana,“ „W zmierzchu dnia“), malujące stan duszy żyjącéj już tylko wspomnieniami młodości, gdyż obecność jest dla niéj obca, szukającéj pokrzepienia do wytrwania na ciernistéj drodze życia tylko w Wierze i Łasce. Podobneż uczucia i podobne natchnienia znajdujemy i w tych paru pieśniach, jakie sędziwy wieszcz dodał do najnowszego w r. 1877 wydania poezyi swoich we Lwowie.

Uproszony przez p. Władysława Mickiewicza nakreślił z serdecznem uczuciem rozrzewnienia parę wspomnień o Adamie, już to poprzedzając zbiór listów do siebie pisanych wstępem objaśniającym, już-to kreśląc obrazek stosunków codziennych poety naszego podczas pisania Pana Tadeusza.

Opuściwszy posadę nauczyciela, ociemniawszy prawie zupełnie, osiadł w Villepreux pod Paryżem w domu zięcia swego Okińczyca i tu spędził ostatnie lata. Kraj interesował się mocno życiem słowika ukraińskiego, ale że starzec unikał hołdów publicznych, nie miał sposobności okazania mu tego w sposób wymowny. W r. 1882 uczczono go w jego domu za inicyatywą p. Seweryny Duchińskiéj i przy współudziale A. E. Odyńca. P. Duchińska zebrała garstkę dzieci i dorastającéj młodzieży, która jako wyraz pamięci młodego pokolenia dla starego wieszcza otoczyła Bohdana; Ludwik Gorecki, wnuk Mickiewicza, ofiarował mu album, którego pierwsza karta przedstawiała wieniec upleciony z kłosów, paproci, macierzanki, bławatków i stepowych burzanów. Odczytano wiersz Odyńca zaopatrzony podpisami 126 panien, zebranemi przez tegoż. Skromne to uczczenie przyjął Bohdan z rozrzewnieniem wielkiém.

W marcu roku bieżącego zmarł Okińczyc, w kilkanaście dni po nim (31 marca o $7\frac{1}{2}$ zrana) Bohdan Zaleski. Stosunki jego materyalne były podobno w bardzo opłakanym stanie.

Twórca szkoły ukraińskiéj w poezyi naszéj dożył sędziwego wieku lat 84, widział olbrzymie zmiany i na wielkiéj widowni wszechświatowéj i w szczupłéj dziedzinie cywilizacyi polskiéj, słyszał zmieniające się hasła a stąd i sądy surowe o znaczeniu tego przewrotu duchowego, w jakim sam uczestniczył; z nowemi hasłami pogodzić się już nie mógł i cały się pogrążył w dumaniu i tęsknocie. Miał atoli tę pociechę, że pomimo zmiany poglądów, pieśni jego przetrwały na ustach spółziomków.



DYPLOMACYA AUSTRYACKA
WZGLĘDEM POLSKI
POD KONIEC XVIII WIEKU.

Quellen zur Deutschen Kaiser-politik Oesterreichs während der francösischen Revolutions Kriege 1790 — 1801. Herausgegeben von Alfred Ritter von Vivenot, fortgesetzt von der Kaiserlichen Akademie der Wissenschaften durch Dr. Heinrich Ritter von Zeissberg. Tomów cztery. Pierwsze dwa wydane w latach 1873 i 74, drugie dwa w latach 1882 i 1885.

Wyraźną szkodą, odbijającą się na obliczu tyle obfitéj u nas od niejakiego czasu historyografii epoki Stanisława Augusta, była i jest dotąd nie dość dokładna znajomość współczesnéj polityki ościennych z Polską mocarstw. Historyografia nasza owéj epoki posługiwała się i posługuje dotąd przeważnie materyałem domowym, polskim, a z jak świetnym względnie rezultatem—dowodzą dzieła, jak Korzona i ks. Kalinki. Tymczasem nie odpowiada, mimo wszelkiego uznania, jakie pod tym względem dziełu Kalinki oddać winniśmy, obfitość i wartość zagranicznego materyału, jaki tutaj zużyto, zasobom i drogocenności materyału domowego. Przyczyna tego bardzo naturalna. Archiwa ościennych mocarstw nie otwierały się dotąd zbyt gościnnie badaczom polskim, niezbyt zresztą licznym w dziedzinie téj właśnie epoki. Co się zaś tyczy publikacyi zagranicznych, nie przedstawiają one dotąd w ocenieniu i przedstawieniu czasów Poniatowskiego ani wyczerpującego, ani wzbudzającego zaufanie obrazu. W archiwum Drezdeńskiém spoczywają, jak się mieliśmy sposobność przekonać, ogromne materyały do téj epoki, mianowicie w przedmiocie następstwa domu saskiego na tron polski po Stanisławie Aug. w myśl ustawy z 3 maja. Materyał ten jednakże nie tylko nie ogłoszony nigdzie, ale nawet nie napoczęty. Historyografia polska milczy jeszcze na tém polu, nie szczyci się jeszcze wydawnictwami, jakie rozjaśniają czy to epokę panowania elektora Fryderyka

Wilhelma, czy Fryderyka II. Milczenie podobne nie bez powodu zapewnie, bo choćby najświetniejszym sukcesom i najpożądańszym rezultatom nie śpieszno się przyznawać do podejrzanéj wartości początków. Co się tyczy dzieł, czy to jak „Historya Niemiec od zgonu Fryderyka II do r. 18 5“ Ludwika Haussera, czy to „Historya epoki rewolucyjnéj“ Henryka Sybla, noszą oba piętno tak wyraźnéj stronniczości dla swego ideału pruskiego, trudnią się nadto mimochodem tylko postronnemi sprawami polskiemi, że nie mogą rościć pretensyi do jakiéj bądź wyczerpującéj dokładności. Nie wiele inaczéj ma się pod tym względem rzecz z publikacyami historyografii rosyjskiéj. Bez wątpienia zawierają czy to Sołowiewa „Historya upadku Polski“, czy Fryderyka Smitta „Suworow“, czy „Pamiętniki Siewersa“ wiele ciekawych rzeczy. Wszystko-to razem dalekie jednakże od dokładności i zupełności, nie przedstawia w ciągłym i zrozumiałym obrazie przebiego katastrofy, jaka się w tajnikach ościennych gabinetów przeciw istnieniu Polski zwolna przygotowywała. Rzecz zasługująca na uwagę, że najautentyczniejszego i najobfitszego pod tym względem materyału dostarcza historyografia austryacka, skądinąd przecież nie najbogatsza a jeżeliby czemu się dziwić, to chyba pewnéj nieuwadze i obojętności, z jaką jéj pomnikowa do dziejów epoki rewolucyjnéj i upadku Polski publikacya, o któréj mamy tu zamiar pomówić, ze strony naszych historyków była przyjętą. Wydawnictwo rozpoczęte w r. 1873 przez zmarłego przed trzema laty Alfreda Vivenota, dostało się po jego zgonie w ręce nierównie kompetentniejszéj powagi naukowéj, jaką przedstawia znany tak zaszczytnie i w naszéj nauce historycznéj *Zeissberg*, a składa się razem na cztery obszerne tomy, obejmujące swą treścią czas od r. 1790 do m. października r. 1794. Dostarczyły do tego zbioru swego odpowiedniego kontyngensu najrozmaitsze archiwa austryackie, jak archiwum tajne państwa, cesarskie archiwum domowe, kancelarya dyplomatyczna ministeryum spraw zagr., akta i korespondencya wiedeńskiéj rady wojennéj, wreszcie akta i korespondencya najwyższego zarządu policyjnego w Wiedniu. Cel i charakter wydawnictwa oznacza bardzo trafnie i ściśle jego tytuł, warunkuje równocześnie jego metodę. Wydawcom zależało istotnie w pierwszym rzędzie na zebraniu dokumentów wyświecających stosunek Austryi do katastrofy rozgrywającéj się we Francyi; uwydatniających zarazem stanowisko domu austryackiego do różnych państw niemieckich i mocarstw europejskich ze względu na rewolucyą francuską. Rewolucya francuska jest tu faktem wypełniającym dziejową widownię, warunkującym bieg wszelkich innych wypadków, sprowadzającym pośród nich najniespodziewańsze zwroty i polityczne kombinacye. Polsce i sprawom

jéj dostaje się w tém wydawnictwie drugorzędne, zależne od stosunku wielkich mocarstw do rewolucyi stanowisko, spadają, jeżeli tak wolno powiedzieć, tylko okruchy z tego stołu obfitości. Okruchy te jednakże są tak zasobne i hojne, jakiemi nie były dotąd żadne inne dzieła obcéj historyografii, trudniące się dziejami téj epoki.

Przystąpmy do rzeczy. Zbiór ten dokumentów rozpoczyna się z m. styczniem 1790, czyli z ową tragiczną, zamgloną chwilą, kiedy wśród wojny austryacko-rosyjskiéj przeciw Turcyi, wśród wzrastającego coraz to groźniéj, udzielającego się Niderlandom austryackim nurtu rewolucyjnego, ces. Józef II-gi dogorywa, znękany moralnie, zniszczony i podkopany fizycznie. Nie należy spuszczać z oka, co się równocześnie dzieje na widowni jeszcze bliższéj Austryi. Oparte o przymierze z Anglią Prusy spoglądają zazdrosném, pełném obawy i zaniepokojenia okiem na postępy sprzymierzonéj z Rosyą Austryi. Ztąd to wyradza się owa, reprezentowana na widowni warszawskiéj przez intryganckiego Włocha Lucchesiniego polityka, która dążąc do dalszych zaborów w Polsce, wyciągając rękę po Gdańsk i Toruń, wchodzi w związki ze stronnictwem „patryotyczném“, wieńczy dzieło zaczepném i odporném przymierzem między Prusami a Polską 29 marca 1790, pracuje wreszcie na traktacie Reichenbachskim nad pogodzeniem Austryi z Portą i własnemi korzyściami w Polsce kosztem Austryi. Nie dość na tém, jest to owa tak plastycznie w dziele Kalinki przedstawiona chwila, w któréj nie przebierająca nigdy w środkach polityka pruska usiłuje za inicyatywą obecnego w każdéj intrydze, nazywanego w korespondencyi dyplomatów austryackich „szatanem“, Lucchesiniego, wejść w stosunki z patryotami w Galicyi i Węgrzech, a wywołać ruch przeciw Austryi w obu krajach. Jak inaczéj naturalnie być nie mogło, doszły podobne knowania wiadomości dworu wiedeńskiego, czego dowodem pozostanie późniejszy, datowany 24 lipca 1790 list księcia Kaunitza do barona Rewickiego: „Jego cesarska mość ma dowody, nie mniéj pewne o podobnych knowaniach, praktykowanych przez pana Lucchesiniego pomiędzy Galicyanami. Jest rzeczą nie do wiary, że knowania tak potępienia godne znajdują poparcie i ze strony dworu brytańskiego.“ Te same skargi powtarzają się w listach Kaunitza z pierwszych miesięcy r. 1790 do hr. Mercy d'Argenteau, reprezentującego Austryą na przemian bądź to w Belgii, bądź u nieszczęsnego dworu francuskiego; te same w listach nieco późniejszych hr. Reussa i radcy nadwornego Spielmanna, reprezentujących Austryą na kongresie Reichenbachskim, do Kaunitza. Wszyscy dyplomaci austryaccy skarżą się na intrygi pruskie, na pożądliwość pruską, na roboty pruskie przeciw Austryi czy to w Turcyi, czy w Niderlandach, czy na Wę-

grzech, czy w Galicyi, a co najbardziéj rozdraźnia Kaunitza, jak widzimy z listu jego do hr. Mercy'ego z 17 listopada 1790, to, „że Polacy idą ślepo za stronnictwem dworu berlińskiego."

Otóż to szczegóły te przytaczamy, aby scharakteryzować ogólną sytuacyą, jaka się przedstawia w chwili zgonu Józefa II w m. lutym 1790. Umierając pozostawił cesarz Józef następcy swemu i bratu, mądremu politykowi, znakomitemu administratorowi, życzliwemu nam osobiście Leopoldowi II-mu kłopotliwe na wszystkie strony dziedzictwo, zaburzenia w Belgii i Węgrzech, zatarg z Prusami i Anglią, coraz enigmatyczniejsze zawikłania ze wzrastającym od dnia do dnia nurtem rewolucyi francuskiéj.

Wobec zmiany tronu, jaka się wtedy spełniła, wypadnie nam zatrzymać się na chwilę w naszém opowiadaniu i przypatrzéć się składowi rządu wiedeńskiego i jego dyplomacyi. Na czele państwa widzimy tedy Leopolda II. Naczelném jego, wielkiém zadaniem polityczném jest wycofać, o ile możności, Austryą ze wszystkich kłopotliwych przedsięwzięć zewnętrznych i wewnętrznych, w jakie ją wtrącił świetny i błyskotliwy, ale nie praktyczny umysł Józefa II-go. A więc zgoda, o ile możności, z Turcyą, Anglią i Prusami; uspokojenie Węgrów i Belgów, zlokalizowanie na zewnątrz, uciszenie na wewnątrz rewolucyi francuskiéj przez doradzanie Ludwikowi XVI koniecznych koncesyi i unikanie wszelkich draźnień rewolucyjnego ducha i miłości własnéj francuskiéj. Co się tyczy Polski, okazuje cesarz nietylko chęć utrzymania jéj w ówczesnych granicach, ale gotów nawet — jak zobaczymy—poczynić na rzecz jéj pewne terytoryalne ustępstwa, a spogląda z zadowoleniem na usiłowania około naprawy jéj wewnętrznego organizmu. Kanclerzem państwa jest sędziwy, mogący się coraz mniéj trudom swego stanowiska oddawać książę Kaunitz. Obok niego widzimy dwie osobistości upamiętnione niezatarcie w dziejach téj epoki: Filipa hr. Cobenzla jako wice-kanclerza, następnie barona Antoniego Spielmanna, osobistość zręczną, intrygancką, godnego współzawodnika dwóch przeciwległych, wielce mu podobnych figur pruskich, jakiemi był markiz Lucchesini i pułkownik, późniéj generał Bischoffswerder. Spielmann, na skromném stosunkowo stanowisku, pod niepozorną nazwą radcy nadwornego, jest właściwie pierwszorzędną figurą w składzie zagranicznego wydziału polityki austryackiéj, używanym do najpoufniejszych misyi. Nie należy zapominać daléj, że epoka owa, to koniec XVIII wieku który się w praktyce swéj politycznéj i dyplomatycznéj nie wyemancypował jeszcze zupełnie z pod tradycyi swego początku i wieku poprzedzającego. Cóż nam zaś te tradycye wskazują? Posługiwanie się po za ciężkim, wolno funkcyonującym, urzędowym aparatem

politycznym, najrozmaitszych narodowości, zatrudnień, charakterów i zdolności ochotnikami, wyrastającymi często po nad głowy swoich oficyalnych patronów, niekiedy na to, aby własne tracić. Dowodem Görz, Patkul, Struensee, baron Ripperda, awanturnik węgierski Klement, opat Todesco. Otóż tedy i rząd ówczesny austryacki posługuje się w téj epoce różnemi takiemi osobistościami. W rzędzie ich a w sprawach polskich odgrywa naówczas pewną rolę, jak zobaczymy, kawaler Landriani.

Przypatrzmy się teraz mechanizmowi wewnętrznemu rządu austryackiego. Widzimy więc na czele jego Leopolda II, jako przewodniczącego radzie ministrów i zawiadującego sprawami zagranicznéj polityki księcia Kaunitza, obok niego, jako wice-kanclerza, miernych zdolności. jąkającego się rutynistę Filipa hr. Cobenzla. Jako rada państwa pod ich przewodnictwem przedstawia się grono tak zwanych ministrów konferencyjnych, pomiędzy którymi spotykamy się różnemi czasy z nazwiskami najwyższego nadwornego ochmistrza hr. Starhemberga, feldmarszałka hr. Lascego, najwyższego podkomorzego księcia Rosenberga, ministrów hr. Colloredo, barona Thuguta, referendarza państwowego barona Spielmanna, wreszcie nadwornego radcy barona Collenbacha, jako sekretarza. Otóż grono tych ministrów konferencyjnych pod przewodnictwem Kaunitza lub F. Cobenzla, zarządza sprawami państwa, wydaje rozkazy gubernatorom pojedynczych krajów monarchii, rozséła instrukcye ambasadorom zagranicą, spisawszy poprzednio protokół swych posiedzeń i uchwał, zakomunikowawszy do zatwierdzenia cesarzowi. Zgodnie z dawną tradycyą rządów ces. Karola VI, z tradycyą, która obdarzała ważnym głosem i udziałem w obradach rządowych organów ks. Eugeniusza Sabaudzkiego, jako prezydenta nadwornéj rady wojennéj, miał i obecny prezydent tejże rady, hr. Wallis, swoje nie lekceważenia godne stanowisko w konferencyach ministeryalnych, zwłaszcza, skoro zależało na zasięgnieniu zdania w rzeczach wojskowych.

Poznajmy z kolei skład co ważniejszych reprezentantów dyplomacyi austryackiéj. We Francyi reprezentuje Austryą hr. Mercy d'Argenteau, w Berlinie hr. Reuss, w Petersburgu Ludwik hr. Cobenzl, stryjeczny brat wice-kanclerza; w Londynie hr. Starhemberg, w Warszawie Rewicki. późniéj de Caché, osobistość podrzędnych zdolności i nieszczególnego charakteru, znana nawet w kołach wiedeńskich ze swych nieco zadaleko posuwających się sympatyi dla interesu rosyjskiego w Polsce. Odbywając tę krótką lustracyą ciała dyplomatycznego austryackiego, nie mówimy naturalnie o licznym zastępie różnych owych wojskowych i politycznych agentów, jakich

dwór wiedeński z rozmaitemi instrukcyami, w rozmaitych celach, przy rozmaitych sposobnościach wyprawia czy to do Polski, czy w rozmaite inne strony.

Coby może jeszcze w niniejszym ogólnym wstępie, zasługiwało na uwagę, to stosunek Galicyi do Austryi. Wyświecił go nader trafnie i jasno w chwili przejścia Józefowéj korony na głowę Leopolda II, Kalinka w swoich „Dziejach sejmu czteroletniego". Galicya stanowi nibyto integralną część monarchii austryackiéj, ale mimo to panuje na dworze i w kołach wiedeńskich mimowolne może przeświadczenie luźności nowo-nabytego, polskiego kraju z całością Austryi. Dwór nie uważa jeszcze swéj posiadłości tamże, za trwałą i ustaloną, gotów z niéj, jak zobaczymy, czynić w razie potrzeby poświęcenia terytoryalne; mając w ręku dowody knowań pruskich pomiędzy szlachtą galicyjską, zamyka na nie oczy, nie myśli o jakichbądź karach i prześladowaniach. Czytając późniéj sprawozdania generała d'Harnoncourta o zachowaniu się magnatów galicyjskich, o szorstkościach pani Kossakowskiéj kasztelanowéj Kamińskiéj podczas powstania Kościuszki, odbiera się mimowolnie wrażenie, że rząd austryacki stąpa w Galicyi na niepewnym gruncie, że się nie czuje tam u siebie w domu, że uważa różnych panów galicyjskich nie tyle za swych poddanych, ile raczéj za pośredników między sobą a ich społeczeństwem. Dodajmy jeszcze, że stosunek dworu wiedeńskiego do Prus jest ciągle naprężony, do Rosyi o wiele przyjaźniejszy, kiedy, co się tyczy Polski, jest jego widoczną chęcią utrzymać, co najmniéj, *statum quo*. Otóż to ogólny stan rzeczy w chwili wstąpienia na tron Leopolda II. Przypatrzymy się teraz jego przebiegowi w specyalnym stosunku do Polski.

Nie należy zapominać, że zmiana tronu w Austryi odpowiada równolegle i równocześnie na widowni polskiéj najnatarczywszym staraniom dworu berlińskiego z jednéj strony o przymierze Rzeczypospolitéj, staraniom uwieńczonym istotnie przez słynny traktat 29 marca 1790; z drugiéj strony nie mniéj natarczywym tegoż dworu usiłowaniom około nabytku Gdańska i Torunia. Koszta téj straty miał według intencyi Prus zapłacić Rzeczypospolitéj dwór wiedeński, poświęcając część Galicyi. Czytamy w tym przedmiocie następny list Kaunitza do reprezentanta Austryi w Warszawie Rewickiego ze względu na toczące się konferencye Reichenbachskie, z 27 lipca 1790: „Uznaliśmy nareszcie nieuniknioną konieczność, aby instrukcye naszych pełnomocników w Reichenbachu były zmienione odpowiednio do pretensyi pruskich. Upoważniono ich do zgody na nabytki pruskie w Polsce i na zaofiarowanie ku wynagrodzeniu Rzeczypospolitéj obszaru w Galicyi obejmującego 164 mil kwadrato-

wych i blisko 350000 mieszkańców.“ Równocześnie przedstawiał gabinet berliński Austryi w zamian przyzwolenia na nowe nabytki w Polsce i za ustępstwa terytoryalne na rzecz Polski, widoki rozszerzenia swych posiadłości w stronę turecką. Tak a nie inaczéj odzywali się reprezentanci pruscy w Reichenbachu, tak a nie inaczéj Bischoffswerder podczas swéj późniejszéj misyi do Wiednia. Gotowość, słowem, płacenia własnych korzyści groszem nie własnéj kieszeni. tania wspaniałomyślność praktykowana za pomocą szkody i krzywdy dotychczasowych sprzymierzeńców. Otóż, jak się przedstawia polityka dworu berlińskiego względem Austryi na widowni polskiéj, polityka, o któréj nie można powiedziéć, aby nie miała być zrozumianą w Wiedniu. O ile widzimy, rozwinęli tak Leopold II sam, jak kanclerz Kaunitz przeciw owéj akcyi pruskiéj dążącéj pod zasłoną traktatu przymierza z 29 marca 1790 do nowych nabytków w Polsce, ze swéj strony równoległą akcyą obronną ku ochronie nie mniéj Rzeczypospolitéj, jak interesu własnego. Datą téj akcyi jest koniec r. 1790 i początek r. 1791. O ile dwór wiedeński czy to pośrednio, czy bezpośrednio wpływał na tyle znany i głośny opór sejmu polskiego przeciw jakimbądź ustępstwom terytoryalnym, nie powiadają nam rozpatrywane tu dokumenta. Co natomiast widzimy z nich, to stanowczą, sięgającą aż na dwór petersburski opozycyą przeciw wszelkim zamiarom powiększenia swych posiadłości kosztem Polski. Ostatni szturm do stałości dworu wiedeńskiego pod tym względem przypuścił agent pruski Bischoffswerder w pierwszych miesiącach 1791. Odbywał on w tym przedmiocie częste konferencye bądź to z Kaunitzem, bądź z jego zastępcą F. Cobenzlem. Politykę, jaką wobec pretensyi pruskich w Polsce uznała za rzecz stosowną traktować Austrya, streszcza wyraźnie memoryał Kaunitza do cesarza z 28 marca 1791. Wobec widocznych usiłowań pruskich, by rozerwać dobre porozumienie między dworami wiedeńskim i petersburskim; wobec pretensyi ich powiększenia się kosztem Polski, postanowiła Austrya zamknąć się w zakresie istniejących traktatów. Kładąc z jednéj strony przycisk na fakt przyjaźni z dworem petersburskim, protestował Kaunitz z drugiéj przeciw pretensyom terytoryalnym Prus, jako przeciw zamachowi grożącemu nadwerężeniem traktatów zawartych między Rzecząpospolitą a trzema ościennemi mocarstwami w latach 1773 i 75. Równocześnie nastąpił ze strony samegoż cesarza Leopolda znaczący krok w interesie bezpieczeństwa Rzeczypospolitéj przeciw pretensyom pruskim. Dnia 24 marca 1791 wystosował cesarz do elektora saskiego list, zapewniający go z góry, o wszelkiéj pomocy, na jaką ze strony Austryi w sprawach polskich liczyć może. Ten sam charakter nosiły konferencye między wystę-

pującym pod przybranérn nazwiskiem Buschmanna. Bischoffswerderem a obu dyplomatami austryackimi. Wobec podobnéj postawy dworu wiedeńskiego, wobec stanowczego oporu sejmu polskiego, widzimy powoli tak Bischoffswerdera, jak dwór berliński cofających się, odgrywających rolę lisa w znanéj bajce o kwaśnych winogronach. Już 4 marca 1791 pisze Cobenzl do Kaunitza, zdając sprawę z odbytéj z Bischoffswerderem konferencyi: „Zrozumiał (Bischoffswerder) mnie bardzo dobrze i oświadczył zaraz z początku, że widzi dobrze, jako król pruski będzie zmuszony zrzec się wszelkich nabytków w Polsce."

Późniéj wiele, bo 24 maja 1791 pisał Kaunitz w liście do Ludwika Cobenzla, posła w Petersburgu, przeznaczonym dla wiadomości tamtejszego dworu, iż Austrya oświadcza się stanowczo przeciw zaborowi Gdańska i Torunia przez Prusy i że poleca swemu reprezentantowi w Petersburgu stwierdzić to osobną notą. List ten kończył kanclerz następnym, energicznie brzmiącym ustępem: „Dostarczyła nam daléj ta sposobność i tę korzyść, żeśmy mogli podnieść silny i stanowczy głos, przeciw zamiarom pruskim na Gdańsk, a to z tak dobrym skutkiem, że pułkownik Bischoffswerder i hr. Schulenburg odebrali (z Berlina) zaręczenie, że dwór pruski chciał się tych swoich zamiarów wyrzec, nim go jeszcze do tego skłoniła nowa, spełniona zmiana rzeczy w Polsce."

Co najważniejsza wreszcie, stwierdził własnoręczny list Fryderyka Wilhelma II do cesarza Leopolda z 21 maja 1791 fakt owéj abnegacyi pruskiéj wobec chwilowéj niemożności. „Poczyniwszy z méj strony wszelkie ułatwienia," pisze król pruski, „jakie są w mojéj możności, wzywając dwór londyński, aby porzucił zupełnie sprawę gdańską, w którą się wdałem tylko przez usłużność dla niego (*complaisance*), mam powód spodziewać się, że w. c. mość będziesz przekonaną o czystości moich uczuć" (*de la candeur de mes sentiments*).

Otóż pierwszy, jeżeli tak wolno powiedzieć, akt działalności cesarza Leopolda w sprawie polskiéj, akt świadczący o jego żywym interesie dla sąsiedniéj rzeczypospolitéj, uwieńczony daléj pożądanym skutkiem. Postawa nowego monarchy Austryi wpłynęła bez wątpienia na zachowanie Rzeczypospolitéj Gdańska i Torunia, na powstrzymanie pruskiéj zaborczości, na podniesienie ducha tak zwanego stronnictwa patryotycznego przez opiekę zapowiedzianą elektorowi saskiemu w sprawach polskich. Jako drugi, stykający się bezpośrednio z pierwszym akt tejże działalności ukazuje się postawa Austryi w sprawie ustawy 3-go maja Nic. powiedzielibyśmy, ciekawszego nad nią, nic równocześnie mniéj znanego dotąd w dziejach ostatnich lat Stanisława Augusta, nic wreszcie bardziéj zagadkowego, gdyby

zagadki téj nie tłómaczył poniekąd i nie rozwiązywał w sposób cześć polityki austryackiéj ocalający, fakt przedwczesnego zgonu Leopolda II. Fakt ten czyni z téj właśnie fazy polityki austryackiéj fragment na pozór pełen niejasności i niezrozumiałości, nadto, co gorsza nacechowany widoczną niedołężnością i niedostatkiem stanowczości. Spostrzeżenie powyższe będziemy się starali uzasadnić poniższém sprawozdaniem. Stosunek Leopolda II i mężów stanu austryackich do spełnionéj 3 maja zmiany rzeczy w Polsce, był dotąd bardzo mało znany, nie znalazł w dotychczasowéj historyografii, należytego ocenienia. Tymczasem, jak nas niniejszy zbiór dokumentów przekonywa najdowodniéj, staje się owa zmiana z jednéj strony sposobnością nowéj, niewątpliwie sympatycznéj dla Polski akcyi, z drugiéj źródłem i powodem nowych drażliwości z Prusami. Dwór wiedeński przyjmuje wiadomość o tak zwanéj „rewolucyi w Polsce“ z nietajoném zadowolnieniem i współczuciem. Pierwsza zaś daléj, pod świeżém wrażeniem odebranych z Polski wiadomości, do L. Cobenzla w Petersburgu nota (z 24 maja 1791), stwierdza ów stosunek widocznéj względem Prus drażliwości. „Co się tyczy“, pisze Kaunitz „znanéj nowéj zmiany porządku rzeczy w Polsce, mamy do zakomunikowania następne okoliczności: 1) wiemy jak najdokładniéj, że pruski dwór naprzód ani jednego słowa o tém nie wiedział, ani potajemnie w téj sprawie nie uczestniczył, ale, że co ważniejsza, jest bardzo dobrze świadom wewnętrznie sprzeczności dokonanéj przemiany politycznéj ze swemi polskiemi zamiarami, jakkolwiek uważa za rzecz odpowiadającą okolicznościom, tak wobec Polaków, jak wobec pana elektora saskiego udawać z tego powodu na zewnątrz wielkie zadowolnienie. Nie należy też wątpić, że w Berlinie nie będzie zbywało na myślach i planach, jakby i z tego nowego położenia rzeczy, bądź to dla przyszłych zamiarów dworu pruskiego, bądź to ze względu na obecne okoliczności jakąbądź korzyść wyciągnąć.“ Po tym wstępie charakteryzującym aż nazbyt wyraźnie usposobienie gabinetu wiedeńskiego dla Prus, jak i Prus samych dla Polski i nowéj ustawy, określa kanclerz w następny sposób stosunek Austryi a daléj i Rosyi, do „rewolucyi“ dokonanéj w Polsce. „Dla załatwienia tych ostatecznych celów i ze względu na istniejące okoliczności wogóle, jest rzeczą konieczną, aby obadwa cesarskie dwory w Dreznie i Warszawie przynajmniéj równie przyjazną postawę zachowywały, jak dwór berliński. Ponieważ mi nieobecność j. c. mości nie pozwala na formalne, ministeryalne oświadczenia, nie waham się zadosyć uczynić co najgwałtowniejszéj potrzebie przez dołączone w kopii listy a nie wątpię, że zawarta w nich o rosyjskich usposobieniach wzmianka będzie się podobała. Zresztą komunikuję w. ekscelencyi moje tymczasowe

myśli co do wpływu polskiéj zmiany i systemu naszych politycznych stosunków w osobnym dopisku... Główna wreszcie uwaga należy się ważnemu porozumieniu, aby króla pruskiego pozbawić co prędzéj owéj korzystnéj sposobności, jakiéj by mu dostarczył grożący wybuch wojny przeciw Rosyi do pozyskania polskich umysłów i utrwalenia jego polskich planów.“

Najciekawszą stroną pono tych uwag Kaunitza pozostanie, iż dwór wiedeński nie przypuszcza, aby dwór petersburski miał być z góry i stanowczo przeciwnym zmianie dokonanéj w Polsce a że zgodę na nią uważa za rzecz interesu Rosyi. Podobne uważanie rzeczy ze strony dworu wiedeńskiego jest tém ciekawsze, że trwa bardzo długo, że zyskuje nawet pewne stwierdzenie przez przeciągające się w nieskończoność mimo interpelacyi austryackich milczenie Rosyi, że wreszcie byłoby może zyskało racyą, gdyby nie późniejszy zgon Leopolda II, gdyby nie daléj nieszczęsne i zdrożne wystąpienie konfederacyi Targowickiéj. Ów dopisek zaś, na który się Kaunitz w liście i instrukcyi do L. Cobenzla powołuje, jest to po prostu obszerny rozumowany memoryał, zakreślający stosunek Austryi do Polski ze względu na dokonaną w niéj zmianę polityczną. Przytaczamy co ważniejsze z nich ustępy ze względu na wysokie ich znaczenie dla Polski i dla ocenienia stanowiska saméjże Austryi,—dodając chyba jeszcze tylko, że datą owego ciekawego „*postscriptum*“ jest 25 maja 1791. „W główném piśmie mojém“, mówi Kaunitz, „wspominam o konieczności, aby dwory cesarskie okazały się w obecnéj chwili sprzyjającemi ostatniéj zmianie dokonanéj w Polsce. Zresztą nie jest rzeczą trudną z porównania następstw, jakieby utrwalenie dokonanych zmian miéć mogło, wyprowadzić dowód, że na przyszłość również obu dworom pożądaną być może. Najprawdopodobniejszém następstwem pomnożonéj powagi królewskiéj i zaprowadzonéj dziedziczności tronu będzie, że królowie polscy stworzą sobie przemożne stronnictwo a że w swobodniejszym stanie włościańskim i miejskim znajdą jeden środek więcéj do powolnego ograniczenia wielkich rodów. Królowie, którzy dotychczas głównie oko na własny spokój i korzyść rodzinną zwracać byli zmuszeni, takowe zwrócą na dobro swego państwa a w szczególności co się tyczy stosunków zewnętrznych na jego prawdziwy, polityczny interes, który do tego czasu był zawsze poświęcany prywacie. Natomiast dostarczą istniejące ciągle nasiona republikańskich zasad królom zawsze jeszcze na wewnątrz dość zatrudnienia i będą trzymały ich władzę na wodzy (tém więcéj, że postanowiono oddzielić Saksonią od Polski), tak że sąsiedzi polscy nie będą mieli powodu obawiać się z téj strony jakichbądź planów zaczepnych, choćby nawet siła obronna tego państwa do pożą-

dańszego stanu dojść miała.“ Tutaj to zwraca się memoryał wręcz do Rosyi i mówi. „Jakkolwiek wszystkie te następstwa interesowi państwa rosyjskiego jeszcze przed dwudziestu laty byłyby szkodliwemi, tak nie sądzę, aby teraz jeszcze mogły być uważane za niebezpieczne, odkąd wielka Katarzyna swym granicom od Polski nadała *non plus ultra* trwałości i wygody a przez zniszczenie Tatarów i osłabienie Porty powody obawy, które dawniéj były mogły wyniknąć z prawdopodobnego przymierza między sąsiadami Rosyi, na zawsze usunęła. Wobec tego nowego stosunku powinno zależéć państwu rosyjskiemu na zachowaniu i wewnętrznym spokoju Polski właśnie tyle, ile dawniéj na jéj osłabieniu i niezgodzie. Nadto i obecna jéj ustawa zachowa petersburskiemu dworowi cokolwiekbądź zawsze dość wpływu, który wystarczy do odwrócenia jakichbądź szkodliwych przedsięwzięć, a ponieważ w ten sposób nie potrzebuje większego na osiągnienie podobnego celu wpływu, zamieni się dawniejszy wstręt narodu (polskiego) wkrótce w zaufanie a tenże uzna nareszcie prawdziwość pewnika politycznego, że z pomiędzy trzech jego sąsiadów jedyne tylko Prusy mają bliski i trwały interes powiększać się jego kosztem a że dla tego jego prawdziwe bezpieczeństwo i zachowanie od dobréj przyjaźni i pomocy dwóch cesarskich dworów zależy. Gdyby zaś obecna zmiana w ustawie polskiéj nie była nastąpiła, byłoby dla Rosyi rzeczą zaledwie możliwą, przynajmniéj zaś trudném i uciążliwém przedsięwzięciem, takową obalić i dawniejszy stan rzeczy przywrócić bez nader ryzykownego środka porozumienia obu cesarskich dworów z pruskim, ponieważ każda nowa korzyść, jakąby tenże dwór w Polsce zyskał, wtrąciłaby w najwyższe niebezpieczeństwo istnienie Rzeczypospolitéj i samegoż rosyjskiego wpływu. Ale i bez takiego porozumienia byłyby Prusy znalazły aż nazbyt wiele sposobności ciągnąć korzyść z tak zamieszanego i bezsensownego stanu, jakim był stan, w którym się naród od dwóch lat znajdował, aby powoli dobić do urzeczywistnienia swoich daleko sięgających zamiarów. Natomiast wobec przyszłych stosunków będzie toż samo państwo polskie stanowiło nowe, bardzo skuteczne narzędzie ku koniecznemu zapobieżeniu owym zamiarom; na tymczasem posłuży takie porozumienie z Prusami i Anglią może na ten cel, iż ustrzeże Rzeczpospolitą od chciwości i handlowych udręczeń ze strony dworu berlińskiego. Zupełne przeprowadzenie obecnéj rewolucyi nie jest wprawdzie bez wszelkich wątpliwości i trudności. Jeżeli się jednakże rozważy, że takowe dotyczą głównie przedmiotów, których istotne wejście w życie wielu jeszcze lat wymaga, znajduje się zupełne uspokojenie w rozwadze téj okoliczności, iż ze względu na długi czas, jaki dwory cesarskie mają przed sobą do zajęcia odpowie-

dniego stanowiska, nie może zbywać na środkach i drogach, aby przyszłéj decyzyi téj sprawy nadać kierunek ze wszech stron zadowolniający. Zresztą pozostawiam ocenieniu w. ekscelencyi użytek moich obecnych spostrzeżeń najzupełniéj. Byłoby mi jednakże przyjemnie dowiedziéć się o jego w tym względzie zdaniu, jako i o tém, co w téj materyi myślą w Petersburgu.“

Leopold II, jak widzimy, zgodny w téj sprawie ze swym kanclerzem, otaczał Polskę jeżeli nie czém więcéj, to z pewnością nader żywemi sympatyami, starał się zasłonić ją przed zaborczością pruską, wprowadzić w jak najlepsze porozumienie z Rosyą. Stanowisku zakreślonemu w sposób tak wyraźny w powyższéj korespondencyi odpowiada list Kaunitza (z 23 czerwca 1791) do hr. Mercy d'Argenteau: „W znanéj już w. ekscelencyi z publicznych doniesień rewolucyi w Polsce, nie miał dwór berliński, jak to z początku w rozmaitych miejscach rozpowszechniano, najmniejszego udziału. Ponieważ spogląda na nią bardzo krzywém okiem, uznał jednakże za rzecz stosowną przywdziać na zewnątrz pozory, jakoby był z niéj bardzo zadowolnionym. Dla naszego istotnego interesu państwowego może większa trwałość polskiéj ustawy państwowéj wogóle być nam raczéj korzystną, aniżeli szkodliwą. Tymczasem zdaje się, że elektor saski jeszcze nie powziął stanowczéj decyzyi w sprawie ofiarowanéj mu korony, która to zwłoka znajduje prawdopodobnie swoję przyczynę: częścią w obawie narażenia się jakiemu bądź z większych mocarstw sąsiednich, częścią w zamiarze położenia raczéj koronie polskiéj warunków, aniżeli odbierania uciążliwych od takowéj.“

Nie dość jednakże na tych objawach platonicznéj sympatyi dla Polski; nie dość na owém dobrém zrozumieniu roli i stanowiska względem Rzeczypospolitéj i na podjęciu kroków zamierzających ją ubezpieczyć przeciw pożądliwościom apetytu pruskiego, przekonywamy się nadto, że ówczesna polityka a raczéj sam Leopold II pragnął zabezpieczyć trwałość dokonanéj w Polsce przez wypadki dnia 3 maja zmianie drogą usilnych starań w dwóch kierunkach i na dwóch widowniach. Pierwszą było Drezno, drugą Petersburg. Wspomnieliśmy wyżéj, jak jeszcze przed ogłoszeniem ustawy 3 maja Leopold II wiedząc widocznie naprzód o zamiarze stronnictwa patryotycznego, by tron uczynić dziedzicznym, w marcu już r. 1791 pisywał listy do elektora saskiego, jak mu dodawał odwagi, jak mu obiecywał pod tym względem swą pomoc. Po wypadkach 3 maja staje się akcya osobista Leopolda II jeszcze energiczniejszą. Z końcem maja, przez miesiąc czerwiec 1791 znajduje się cesarz w Mediolanie. Przybywają doń równocześnie prawie Bischoffswerder w poufnéj misyi od króla i szambelan dworu saskiego, znany dobrze z dziejów elektora Fry-

deryka Augusta hr. Marcolini. Misya obu dotyczyła w przeważnéj części spraw polskich. Marcolini przywoził do Mediolanu list elektora (dat. z Pilnitz 17 maja 1791), w którym tenże donosił, jako mu szlachetny naród polski (*l'illustre nation polonaise*) ofiaruje koronę, któréj to ofiary przecież nie chce przyjąć przed przyzwoleniem trzech sąsiadów Polski, pomiędzy którymi najwięcéj mu zależy na cesarzu. Odpowiedź cesarza z 11 czerwca wyrażała najwyższą radość z wyboru, jaki Polacy uczynili, obiecywała elektorowi wszelką pomoc i porękę, a równocześnie zwracała się doń z prośbą, aby w przyszłym miesiącu pozwolił na przypadkowe niby to spotkanie się jego, cesarza, z królem pruskim na neutralnym gruncie Saksonii. W ten sposób przychodził do skutku słynny zjazd Pillnitzki. Wkrótce potém został wyprawiony na dwór drezdeński kawaler Landrini, by z polecenia cesarza utrzymać elektora w zamiarze przyjęcia korony polskiéj. Co się zaś tyczy Bischoffswerdera, oświadczał tenże imieniem dworu berlińskiego zgodę na dziedziczność królewską domu saskiego w Polsce pod tém wszakże zastrzeżeniem, aby infantka nie wychodziła za żadnego księcia trzech sąsiednich dworów, co według Bischoffswerdera, miało świadczyć o tém większéj bezinteresowności dworu berlińskiego, że Polacy objawili w Berlinie życzenie, aby księżniczka saska połączyła się węzłem małżeńskim z młodszym synem króla pruskiego. Wobec podobnych doniesień, nadchodzących z Mediolanu, uważał elektor saski skrupuły swe i wahania za zwyciężone, a w liście z Pillnitz 1 lipca 1791 oświadcza stanowczo chęć przyjęcia korony polskiéj, dziękując cesarzowi za zgodę, jaką mu się w téj mierze udało doprowadzić do skutku z Prusami.

Tymczasem, nie zapominajmy, jest-to chwila, w któréj nurt rewolucyi francuskiéj wzrasta ku zaniepokojeniu całéj monarchicznéj Europy coraz wyżéj i wyżéj. Chybiona ucieczka Ludwika XVI do Varennes, krwawe sceny na placu marsowym w Paryżu, ogłoszenie ustawy konstytucyjnéj „z prawami człowieka", zjazd Pillnitzki obmyślający środki ocalenia rodziny królewskiéj we Francyi, powstrzymania katastrofy,—wszystkie te wypadki są równoczesne pierwszym owym wrażeniom i następstwom spełnionéj 3 maja zmiany, działają paraliżująco na jakąbądź korzystną dla Polski akcyą gabinetu cesarskiego. Ztąd to wytłomaczmy sobie długą przerwę, jaką sprawa polska świeci w niniejszym zbiorze dokumentów po zjeździe Pillnitzkim. Jest-to złowroga cisza, jaka panuje i na samejże widowni polskiéj po wypadkach 3 maja, cisza, któréj przyczynę tłómaczył niezawarty jeszcze do m. października między Rosyą a Turcyą pokój, cisza, któréj przerwa znów w naszych dokumentach świadczy wymownie o drugiéj wspomnianéj już stronie politycznéj akcyi Leopolda II-go,

podjętéj na rzecz polską w Petersburgu. Przytoczyliśmy wyżéj list Kaunitza, polecający reprezentantowi Austryi na dworze petersburskim wybadać jego usposobienie w przedmiocie Polski, starać go się o ile możności skłonić do pogodzenia się z nowym stanem rzeczy w Polsce. Tymczasem nie nadchodziła długo odpowiedź na owo zapytanie, tak, że nareszcie d. 12 listopada 1791 Kaunitz uważa za potrzebne powtórzyć swe zapytanie w poufnym do L. Cobenzla liście. W liście tym tłómaczył kanclerz, iż odpowiedź gabinetu petersburskiego, iż zakreślenie jego stanowiska względem zmiany dokonanej w Polsce jest wyraźną koniecznością wobec postawy Prus, Saksonii, a choćby i saméj Austryi. Starając się zaś raz jeszcze przekonać Rosyą, iż nie ma powodu spoglądać niechętnie na nowy stan rzeczy w Polsce, objaśniał postawę Austryi w taki sposób: „Główny nasz interes względem Polski zależy na tém: 1) aby to państwo było ustrzeżoném na przyszłość od dalszych pretensyi zaborczości i wpływu pruskiego; 2) aby państwo to przez zyskanie wielkiéj, wewnętrznéj konsystencyi nie wyrosło na niebezpiecznego sąsiada, który to interes ostatni od czasu nabycia przez nas Galicyi z powodów łatwych do odgadnienia podwójnéj nabrał wagi.“ Takiż sam interes ma, według Kaunitza i Rosya, która po zyskaniu nowych granic z r. 1772 i upokorzeniu Turcyi, Polski, obawiać się nie ma powodu. Przeciwnie zaś teraz, skoro Prusy stały się panami Szląska i Prus polskich, jest raczéj interesem Rosyi mieć się na baczności przeciw Prusom. Błaga tedy i prosi Kaunitz, aby gabinet petersburski zgodził się na przyjęcie konstytucyi 3 maja i na uznanie praw dziedzicznych elektora saskiego do tronu polskiego, czego Austrya bez przyzwolenia Rosyi otwarcie nie czyni. Nie dopuszczać zbytniego wzrostu potęgi polskiéj, ale równocześnie bronić i zasłaniać Polskę przeciw pożądliwości pruskiéj,—otóż według Konnitza ostateczne zadanie obu cesarstw. „Od tych zgodnych z sobą — mówi nota z 12 listopada — interesów dwóch cesarskich dworów, różnią się natomiast bardzo stanowczo pruskie, ponieważ 1) tym interesom o utrzymanie słabego stanu rzplitéj tylko dla tego chodzi, aby pośpieszać osiągnienie swego głównego celu, który zależy na stopniowém, nieokreślonem powiększaniu swéj potęgi kosztem polskim. Czyhając w tym celu na każdą, korzystną sposobność, usiłuje tymczasem dwór berliński utrzymywać w Polsce silną oddaną sobie partyą i nadużyć jéj, skoro trzeba, do wykonania swych odmiennych zamysłów; 2) pod podwójnym względem winien dwór berliński przeważny wpływ rosyjski w Polsce uważać za przeszkadzający i niekorzystny dla siebie, chyba, jeżeli zamyśla o nowych projektach podziałowych. Jeżeli to, co dotychczas powiedziano, zastosujemy do przyszłych stosunków pol-

skich, zdaje się, że następne stąd konkluzye są słuszne: 1) że wszelkie dalsze podziały polskie, jedynie tylko dworowi pruskiemu ważnych korzyści przysporzą, dla dwóch cesarskich dworów za to z tejże saméj przyczyny daleko szkodliwszemi, aniżeli korzystnemi będą; 2) że wprawdzie jest rzeczą najwyższéj konieczności, aby władza królewska na przyszłość przez władzę stanów dostatecznie ograniczoną była i wogóle duch niezależności pomiędzy szlachtą polską troskliwie był utrzymywany, że 3) jednakże jest rzeczą równéj konieczności, położyć na przyszłość koniec nieprzeliczonym owym sposobnościom do zewnętrznych sporów i zawikłań, do których dotychczasowa organizacya rzeczypospolitéj nieuniknionych dostarczała powodów, z pomiędzy których żaden pruskiemu systemowi zaborczości nie jest pożądańszym od częstych elekcyi nowych królów i owéj łatwości, która sprawiała dotychczas zbyt wielką nieregularność administracyi i sejmów w ciągłém zmienianiu ustawy.“ Słowem, streszczała się nota w żądaniu wspólnéj akcyi cesarskich dworów na rzecz Polski przeciw Prusom. Ostateczne zaś *caeterum censeo* polityki austryackiéj w téj kwestyi brzmiało, jak następuje: „Według tego, co powiedziano wyżéj, zdaje się, że wśród obecnych okoliczności obu dworom cesarskim odpowiada najlepiéj, aby się nowéj polskiéj ustawie nie opierały i zezwoliły z dobréj woli na przyjęcie dziedzicznéj korony ze strony elektora saskiego.“ Cierpkość tego wystąpienia przeciw Prusom podnosiła jeszcze okoliczność, że dwór berliński uznał wówczas za rzecz stosowną starać się w Petersburgu o ustąpienie Kurlandyi dla synowca króla pruskiego i poszukiwał w tym celu pośrednictwa Austryi, która go jednak z pewną zimnotą odmówiła.

Tymczasem już po wyprawieniu owéj noty do Petersburga rozpoczął dwór wiedeński z roku 1791 na 92 nową akcyą w Dreźnie i Berlinie na rzecz Polski. Był to poniekąd dalszy ciąg negocyacyi podjętéj w czerwcu z reprezentantem pruskim Bischoffswerderem. Prusy sterowały wówczas po chwilowym odwrocie w sprawie polskiéj, po zawarciu pokoju między Rosyą a Turcyą w Jassach, wśród niepewnych konstelacyi rewolucyi francuskiéj, ku przystani przymierza austryackiego. Dwór wiedeński nie był podobnéj kombinacyi nieprzychylnym, ale czynił jéj wprowadzenie w życie zależném od postawy, jaką Prusy zajmą w sprawie polskiéj. Austrya domagała się wprost przez Bischoffswerdera, aby Prusy bez żadnych dalszych zwłok uznały zmianę spełnioną w Polsce i zgodziły się na dziedziczność tronu polskiego w rodzinie saskiéj. W pierwszych dniach 1792 wyprawił gabinet wiedeński w tym celu do Drezna i Berlina kawalera Landrianiego. Instrukcya nakazywała mu pracować nad elekto-

rem, aby się na przyjęcie korony polskiéj zgodził,—równocześnie zaś dokładać starań, aby doprowadzić do skutku zgodę i porozumienie między trzema północnemi mocarstwami, ale wyraźnie na podstawie uznania obecnego stanu rzeczy w Polsce. Tak już powiadomiono przeszłego lata Bischoffswerdera, w takim téż sensie wyszła 12 listopada nota do dworu petersburskiego. „Jeżeli—pisał Kaunitz 4 stycznia 1792 do Reussa, reprezentanta Austryi w Berlinie—potrójne przymierze ma być zawarte trwale, jest rzeczą nieuniknioną: 1) aby nareszcie usuniono owo wieczne zarzewie zazdrości i rozdrażnienia, jakie zamieszany i zmienny stan dotychczasowéj ustawy rzeczypospolitéj Polskiéj między jéj sąsiadami żywił, a jakie wybuchało przy każdéj elekcyi, podczas każdego sejmu nawet głośnemi niepokojami i jasnym płomieniem; 2) aby trzy dwory główny interes, jaki względem Polski mają wspólnie, a który na tém zależy, aby państwo to nie osiągnęło nigdy stopnia siły, któryby im mógł być niebezpiecznym, starały się przestrzegać za pomocą wspólnego wpływu i wspólnych środków i takowy zabezpieczyły przeciw wewnętrznym i zewnętrznym wypadkom.“

Co w całéj téj negocyacyi ze strony Austryi rzeczą może najciekawszą, to, że aby niekrępować swobody postanowień interesowanych mocarstw, dwór wiedeński, jak to Landrianiemu wyraźnie oświadczyć kazał w Dreźnie i w Berlinie, nie wszedł nie tylko w jakiebądź stosunki z patryotyczném stronnictwem polskiém, ale nie zawiadomił nawet o swéj akcyi na korzyść Polski, ani dworu warszawskiego, ani rezydenta swego przy nim de Caché'go. Otóż błąd według nas nie dość pożałowania godny, który nie byłby popełnionym w razie dłuższego życia cesarza Leopolda, a którego popełnienie pozbawiało zwolenników nowéj ustawy i rząd polski tyle ważnéj wśród podobnych okoliczności podstawy i otuchy.

Błąd ten nie przeszkadzał przecież dworowi wiedeńskiemu kołatać coraz to natarczywiéj w Berlinie na rzecz Polski. Dwie datowane 25 stycznia 1792, wystosowane do Reussa noty kazały mu najformalniéj odzywać się do dworu berlińskiego w tym sensie. Druga z tych not przedstawia szczególny interes przez fakt, jaki komunikuje reprezentantowi Austryi w Berlinie, o usposobieniach dworu petersburskiego. Książę Golicyn otóż, poseł rosyjski w Wiedniu, zakomunikował Kaunitzowi ustnie notę kierującego sprawami zagranicznemi Rosyi Ostermanna, który na zapytanie Austryi z d. 12 listopada 1791 co do spraw polskich, prosił o zwłokę, ponieważ okoliczności stanowczéj odpowiedzi jeszcze nie dopuszczają. Nie zbyt przenikliwy Kaunitz pocieszał z powodu téj zwłoki siebie i Reussa następnemi argumentami: „Podobna zwłoka nie zdaje się nietylko nie pociąg-

gać za sobą żadnéj niedogodności, ale zdaje się nawet rzeczą konieczną ze względu na zamieszanie i niezaradność, które panują aż do obecnéj chwili w umysłach polskich ze względu na trudne i ważne zmiany, jakie się starano i stara jeszcze wprowadzić w życie"....
„Ostatnie to żądanie, w połączeniu z zupełném milczeniem, które dwór rosyjski co do swych zamiarów względem Polski zachowuje, czyż nie robi wrażenia, że dwór ten tylko czekał, ażby pokój między nim a Portą był zawarty? ażeby Austrya i Prusy były zajęte francuskiemi zamieszkami, aby wszystko, co się w Polsce stało, jakim bądź sposobem obalić?"

Wobec podobnego położenia rzeczy, dostał Reuss od Kaunitza polecenie zbadać stosunki polskie zbliska i przekonać się, kto w nich bruździ i kto staje w sprzeczności z interesem i polityką Austryi, Prusy czy Rosya. W ostatecznym razie, zamiast podnieść przyłbicę, walczyć otwarcie w interesie własnego, przychylnego Polsce systemu politycznego i oprzéć podobną akcyą na przymierzu ze stronnictwem patryotyczném, nie widział Kaunitz w zawikłaniach podobnéj sytuacyi lepszéj rady, jak używać wpływu rosyjskiego w Polsce do zwalczenia tamże wpływu pruskiego, jak posłużyć się wpływem pruskim do obalenia rosyjskiego. Smutna, wykrętna, nieprowadząca do żadnego celu, opłacająca się ostatecznie bankructwem austryackiego interesu na widowni polskiéj taktyka! „Postaramy się — pisze Kaunitz do Reussa — o ile możności o to, a wydobędziemy znów dawną naszą zasadę na wierzch, aby tamtejszemu wpływowi pruskiemu przeciwstawić wpływ rosyjski w tém pewném przypuszczeniu, że interes rosyjski w Polsce wprawdzie chwilowe sprzymierzenie się z pruskim dopuszcza, nie pozwala jednakże nigdy na trwałą jakąś koalicyą i podział władzy tamże."

Nie przeszkadzało jednakże to machiawelskie nieco starego Kaunitza na politycznéj szachownicy posunięcie praktykowaniu dotychczasowego systemu. A więc jak z jednéj strony dwór wiedeński nieprzestaje nalegać na elektora o przyjęcie korony polskiéj, tak z drugiéj strony kołata jeszcze w końcu stycznia przez Ludwika Cobenzla do dworu petersburskiego o wyraźne oświadczenie się w sprawie polskiéj, ponieważ bezeń zgoda między trzema mocarstwami północnemi w akcyi przeciw rewolucyi francuskiéj jest niepodobną. Jeżeli tymczasem przyszedł do skutku między Austryą a Prusami traktat przymierza z 7 lutego 1792, należy to tylko przypisać zaspokajającym zapewnieniom, jakie dwór berliński przez Bischoffswerdera w sprawie polskiéj udzielił.

Zdaje nam się, że się nie mylimy, przypuszczając, że jeżeli dwór wiedeński podjął całą tę akcyą na rzecz Polski bez jéj wiadomości

nawet, nie wchodząc w żadne stosunki ani ze stronnictwem patryotyczném, ani z rządem polskim, chował sobie wejście w podobne stosunki na chwilę, kiedyby rzecz na drodze negocyacyi z mocarstwami ościennemi była należycie przygotowaną. Nietrudno zaś pojąć, coby za wartość dla Polski było miało podobne, głośne oświadczenie się za nią Austryi, czyby mianowicie w takim razie przeciwnicy ustawy 3 maja byli mieli możność i odwagę wystąpić z aktem Targowickim, czyby Rosya była rozpoczęła wojnę r. 1792, czyby Prusy związane z Austryą traktatem z 7 lutego, były doznawały pokusy szukania sobie urojonéj „indemnizacyi“ na Polsce. Aby jednak podobnie skomplikowany system przeprowadzić zwycięzko we wszystkich szczegółach, trzeba było czuwać nad wykonaniem jego inicyatorowi. Chciało tymczasem nieszczęście Polski, że 1-go marca 1792 umarł nagle prawie, po krótkiéj chorobie Leopold II, a że razem z nim ustąpiła z widowni jedyna głowa, która w téj sprawie chciała i umiała logicznie a życzliwie dla Polski myśléć. Odtąd nie zbywa niekiedy w Wiedniu na dobrych chęciach, ale cechuje politykę austryacką wyraźne niedołęstwo. Dziedzictwo po Leopoldzie obejmuje młody syn jego Franciszek II, człowiek ciasnego, niekiedy zdrowym rozsądkiem i praktycznemi instynktami wynagradzającego się umysłu. Stanowisko Kaunitza stało się prawie niepodobném; miał je téż niezadługo opuścić. Kierownictwo spraw zagranicznych dostało się w ręce Filipa Cobenzla, zdolności bardzo miernéj, odznaczającéj się długoletnią rutyną, daléj księcia Rosenberga i hr. Colloredo, dawnego guwernera młodego cesarza. Ustępujący ze sceny Kaunitz pozostawił wszakże pod nazwą memoryału noszącego datę 14-go marca 1792, jakoby testament polityczny w sprawie polskiéj, który nie tylko był przyjęty przez cesarza Franciszka, ale który, co więcéj, zyskał znów przez Bischoffswerdera zupełne uznanie gabinetu berlińskiego. „Dwór królewsko-pruski—pisał Kaunitz w pomienionym memoryale — i dwór wiedeński zdają się ze względu na sprawy polskie być zgodnemi co do następnych, zasadniczéj natury punktów: 1) aby usunąć wszystko, coby mogło wywołać ferment, niepokój i groźne zatargi w Polsce, a trzy wielkie dwory w kolizyą wprowadzić; 2) że z téj saméj przyczyny obojgu swemu interesowi państwowemu uważają za rzecz raczéj sprzyjającą, aniżeli szkodliwą, jeżeli polska elekcyjność będzie zamieniona na dziedziczną koronę; 3) że z pomiędzy wszystkich do niéj pretendentów pana elektora saskiego za najodpowiedniejszego uważają; 4) że się zgadzają na to, aby dziedzictwo korony było rozciągnione na dwóch braci pana elektora, a w razie ich zejścia bez pozostawienia męskich potomków na każdego, panującego właśnie w Saksonii elektora; 5) że im na tém nie

zależy, aby utrzymywać Polskę w stanie absolutnéj słabości i takiéj bezwładności, aby królestwo to zależało od wszechwładnego wpływu którego bądź z trzech wielkich dworów; 6) że jednakowoż nie jest również w ich interesie, aby Polska doszła do takiego stopnia potęgi, któraby jakiemubądź z trzech mocarstw mogła się stać groźną lub niebezpieczną; 7) że tedy uważają za rzecz pożądaną i konieczną przemyśliwać nad wszelkiemi odpowiedniemi środkami i takowe w życie wprowadzić, któreby były niezbędnemi do przeprowadzenia punktu pod numerem 6-tym; 8) że pomiędzy temi środkami najważniejsze zależą na tém, aby siła zbrojna królestwa polskiego raz nazawsze na ściśle oznaczoną i nieprzekraczalną cyfrę 40 do 50 tysięcy ludzi była ograniczona, jako daléj, aby była postanowiona zawsze neutralność polska we wszystkich zatargach, jakieby mogły z powodu Polski powstać między trzema sąsiedniemi dworami; 9) że nic lepiéj interesom państwowym elektora saskiego odpowiadać nie może, aniżeli właśnie ta neutralność i że dla tego właśnie elektor saski jako król polski tenże system neutralności i dla Polski przestrzegać wszelkiemi siłami starać się będzie; 10) że dla tego zmodyfikować należy wszystkie te punkta nowéj polskiéj ustawy, które są niezgodne z dwoma głównemi, powyżéj wyrażonemi zamiarami lub zkądinąd mogłyby się zdawać niebezpieczne lub przeszkadzające; 11) że jeżeli oba dwory pragną tego ostatecznego celu, winny też pragnąć odpowiednich do tego środków, że więc 12) jeżeli te środki chcą wprowadzić w życie, winny się przedewszystkiém postarać o legalny wpływ ku ich przeprowadzeniu; 13) że pozyskać ten wpływ można tylko w ten sposób, iż się zgodzą na to, aby wziąć na siebie gwarancyą nowéj ustawy polskiéj; 14) że jednakże prostą tą gwarancyą ostatecznego celu swego w pewny i niezmienny sposób nie osiągną, ponieważ jak dotychczasowe przykłady dowodzą, Polacy mogliby twierdzić, iż im nic nie przeszkadza zmieniać to, co zagwarantowano, gdyż każdemu wolno zrzec się korzyści własnych; 15) że więc z udziałem pana elektora saskiego winniby tu wystąpić nietylko jako gwaranci, ale jako *partie contractante*, kiedy w razie przeciwnym pozostawiłoby się Polskę jéj losowi; 16) że oba dwory co do tych zasad z elektorem saskim się porozumieją, w takowe go wciągną, następnie takowe dworowi rosyjskiemu przedłożą i będą go usiłowały skłonić do ich uznania, co się zapewnie powiedzie, częścią, że te zasady przestrzegają interesu rosyjskiego państwowego, jak obu innych mocarstw, częścią dla tego, że w innym razie, zmierzając do zupełnego panowania nad Polską, stanąłby w sprzeczności ze zgodnemi postanowieniami Prus i Austryi, wreszcie rzeczypospolitéj saméj, któréj sejmiki oświadczyły w swéj większości za przyjęciem no-

wéj ustawy; 17) że zasady te są wprawdzie dla Polski ograniczające, ale dobroczynnie ograniczające, ponieważ przez to królestwo owo zyskuje rzadkie szczęście być wolném od wszelkich zawikłań wojennych, a wyjdzie na bezpieczną *puissance intermédiaire et de convenance* pomiędzy wszystkimi swoimi sąsiadami.“

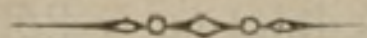
Otóż to ów polityczny memoryał Kaunitza, charakteryzujący z jednéj strony w stylistyce ciężkiéj i zawiłéj, ale treści cokolwiek bądź niewątpliwéj, stosunek Austryi do Polski i ustawy 3-go maja, stwierdzający z drugiéj strony ważny fakt, iż gabinet berliński był w owéj chwili całkiém zgodny z wiedeńskim w zapatrywaniu się na sprawy polskie. Dziwny przecież, wydarzający się często w dziejach jakoby ironicznie i ku upokorzeniu obliczeń ludzkich przypadek, iż właśnie pod tą samą datą, którą nosił Kaunitzowy memoryał, 14-go marca 1792, nadeszła do Wiednia, kontrasygnowana przez ministrów Schulenberga i Finkensteina deklaracya króla pruskiego, przekreślająca jednym pociągiem pióra wszystkie te rachuby. Deklaracya ta była istotnie nader ciekawą, a świadczyła wymownie, czém są wszelkie zobowiązania traktatowe i papierowe, choćby najuroczystsze przyrzeczenia wobec natury rzeczy. Król pruski zawiadamiał za pośrednictwem Bischoffswerdera, że według doniesień odebranych od posła pruskiego Goltza z Petersburga, Katarzyna nie myśli się zgodzić ani na uznanie stanu rzeczy stworzonego przez ustawę 3 maja, ani na dziedzictwo tronu w rodzinie saskiéj. Zdawaćby się mogło, że z obu takich wiadomości, królowi pruskiemu nie pozostawało nic innego, jak uznać fakt ewentualności przewidzianéj w traktacie przymierza z 29 marca 1790 i śpieszyć Polsce z przyrzeczoną w takim razie pomocą. Wiadomo, że się dwór warszawski o nią w Berlinie upomniał, wiadomo, jaką Ignacy Potocki odpowiedź na to odebrał. Nie dość na tém jednakże, zawiadamiała deklaracya pruska dwór wiedeński o usposobieniach petersburskich, wzywając go, aby wśród zmienionych okoliczności zarzucił swą dotychczasową politykę, przestał się interesować dla dziedzictwa w Polsce rodziny saskiéj, wszedł z Rosyą i z Prusami w nowe porozomienie co do losu mającego się zgotować Polsce.

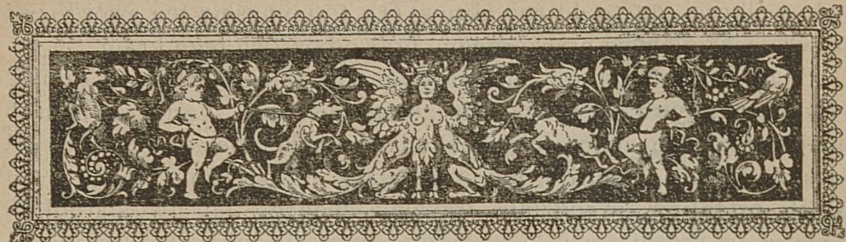
Na dopełnienie fatalności nastąpiło wtedy właśnie wypowiedzenie wojny cesarstwu niemieckiemu ze strony Francyi. Nie dziwić się, że wobec tego nowego wypadku sprawa polska zeszła w zajęciach i interesie dworu wiedeńskiego na drugi plan, że na pierwszym stanęła konieczność porozumienia się wspólnego trzech dworów co do wspólnéj akcyi przeciw rewolucyi francuskiéj. Przecież i w téj krytycznéj chwili nie można powiedzieć, aby mający niezadługo ustąpić ze sceny Kaunitz był sprawę polską zupełnie porzucił, aby jéj waż-

ności nie uznawał. W nowéj, z 12 kwietnia 1792, dla Ludwika Cobenzla w Petersburgu przeznaczonéj instrukcyi przedstawiał raz jeszcze Kaunitz zgodę trzech mocarstw w sprawie polskiéj, jako przedwstępny warunek porozumienia ich w akcyi przeciw Francyi, zaręczał stanowczo, że nowy cesarz stoi pod tym względem na tém samém stanowisku, na jakiém stał poprzednio Leopold II, przemawiał ponownie za uznaniem ustawy 3 maja i dziedzictwem korony polskiéj w rodzinie saskiéj. „W tym to zbawiennym celu — pisał Kaunitz — miał zmarły cesarz tak serdeczny zamiar widzieć ową wspólną trzech mocarstw zgodę, opartą równocześnie na ostatecznem uregulowaniu spraw polskich, któreby zaręczało nazawsze pokój téj rzeczypospolitéj i jéj trzem sąsiadom, a usuwało równocześnie powody nieporozumień i nieufności między niemi samemi, którym doświadczenie dowiodło, że stan poprzedni ustawy polskiéj dawał tego częstokrotną sposobność. Cobenzl odebrał nadto wyraźną instrukcyą, aby oświadczył ubolewanie, iż gabinet petersburski na podobne zapatrywanie w sprawie polskiéj zgodzić się nie chce.

Czyn ten przynosi Kaunitzowi tém większy zaszczyt, że polityka jego co do Polski nie zadaje sobie ani na chwilę kłamu już nawet wśród zmienionych okoliczności, już nawet wtedy, kiedy ze wszech stron biją nań przeciwne prądy, kiedy z jednéj strony rozpoczyna się owa nieszczęsna kampania roku 1792, kiedy z drugiéj wypowiedziana przez Francyą wojna odwraca główną uwagę akcyi wojennéj i politycznéj Austryi w strony nad nadreńskie. Ktokolwiek zaś zastanawia się choć pobieżnie nad ówczesnemi wypadkami w Polsce, niechaj nie zapomina, że owo roztargnienie francuskie nie przestaje od pierwszéj chwili odgrywać zgubnéj, fatalnéj w sprawach Polski roli.

(*d. n.*)





SIŁY OBECNE I PRZEWIDYWANA PRZYSZŁOŚĆ
ZAMORSKIÉJ KONKURENCYI ZBOŻOWÉJ.

(Dokończenie).

Płace robotników rolnych w Stanach Zjednoczonych w porównaniu z europejskiemi, a zwłaszcza naszemi, są bardzo wysokie. Fermerowie téż starają się o ile możności ograniczyć liczbę potrzebnych do uprawy rąk przez jak najszersze zastosowanie maszyn, które odznaczają się w Ameryce dobrocią, ale są dość drogie. Wreszcie, drobniejsi właściciele, uprawiający rolę osobiście, mają na widoku w użyciu maszyn nie tyle oszczędność, ile wygodę. Tak np. nie mając nic prawie do roboty przez większą część jesieni i całą zimę, z nader małymi wyjątkami nie młócą oni zboża ręcznie, lecz wynajmują sobie młocarnie parowe. Na pługach, żniwiarkach i wszelkich tym podobnych machinach rolniczych urządzone są zawsze wygodne kozły do siedzenia, a często jeszcze nad nimi daszki w kształcie baldachimu, żeby pan fermer nie zmęczył się przy pracy i nie opalił. Rodowici jankesi lubią robić wszystko o ile możności jak najłatwiéj i jak najszybciéj, dla tego téż nie używają do roboty wołów, ale koni lub mułów, przyczém nie oszczędzają wcale bydła, byleby jak najprędzéj skończyć pracę. Wołami orzą tylko koloniści niemieccy. Wszystko to na drobnych fermach nie tylko nie zmniejsza kosztów produkcyi, ale je owszem podnosi. Skutkiem tego własność wielka, jakkolwiek musi używać wyłącznie drogiéj pracy najemnéj, dzięki przysługującym jéj pod innymi względami naturalnym przywilejom, produkuje w Ameryce wogóle taniéj, niż drobna, a jeżeli pomimo to ta ostatnia coraz bardziéj przeważa w Stanach Zjednoczonych nad pierwszą i znakomicie wzrasta ciągle tak pod względem zajmowanego przez nią ogólnego obszaru, jak i liczby gospodarstw pożąda-

néj wielkości (od 50 do 160 akrów) (1), to pomyślny ten swój rozwój zawdzięcza głównie przezornemu prawodawstwu tego kraju.

Liczba robotników, utrzymywanych stale na fermach za umową roczną, bywa zazwyczaj bardzo ograniczona. Fermerowie drobniejsi starają się najczęściéj obchodzić zupełnie bez stałéj służby folwarcznéj; zamożniejsi i nie posiadający dostatecznéj liczby dorosłych członków w rodzinie trzymają jednego lub dwu parobków. Dopiero w czasie siewu, a zwłaszcza w czasie żniwa wszyscy donajmują sobie mniéj więcéj znaczne siły obce. Skutkiem tego płace robocze w tych dwóch okresach zajęć rolniczych w dwójnasób podskakują w górę. Oto tablica przeciętnych płac *miesięcznych* robotników rolnych, pozostających na własném utrzymaniu, *przy najmie rocznym* w stanach produkujących najwięcéj zboża:

TABLICA XIII. (*)

Nazwa stanu	1865	1868	1874	1878	1881	1884
	w dolarach i centach					
Ohio	28,46	26,35	24,05	20,72	24,55	23,00
Michigan	31,26	31,01	28,22	22,88	25,76	24,00
Indiana	27,71	25,42	24,20	20,20	23,14	22,20
Illinois	28,54	27,32	25,20	20,61	23,91	23,50
Wisconsin	30,84	30,08	25,50	21,07	26,21	23,54
Minnesota	31,65	28,61	26,16	24,55	26,36	25,50
Jowa	28,34	28,39	24,35	22,09	26,21	25,33
Missouri	26,75	24,47	19,40	17,59	22,39	21,35
Kansas	31,03	28,96	23,20	20,67	23,85	24,70
Nebraska	38,37	33,25	24,00	23,04	24,45	25,00
Dakota	30,20	—	32,50	28,56	—	25,55
California	45,71	46,38	44,50	41,00	38.25	38,75
Oregon	35,75	—	38,25	35,45	33,50	34,00

Przeciętne płace dzienne przy najmie czasowym w ciągu całego roku za wyjątkiem czasu żniwa w tych samych stanach i latach dla robotników na własnym stole wynosiły:

(1) Faktu tego dowiodłem liczbami i przytoczyłem w krótkości prawa, popierające ten rozwój w Nr. 70 „Gazety Polskiéj“ z r. z.

(*) Wzięta z „Report of the area of winter grain.“ Washington, April 1885.

TABLICA XIV. (*)

Nazwa stanu	1865	1868	1874	1878	1881	1884
	w dolarach i centach					
Ohio	1,54	1,44	1,35	1,00	1,19	1,11
Michigan	1,78	1,66	1,55	1,16	1,30	1,28
Indiana	1,45	1,36	1,30	0,90	1,08	1,08
Illinois	1,62	1,50	1,37	1,01	1,19	1,14
Wisconsin	1,78	1,56	1,42	1,12	1,33	1,20
Minnesota	1,75	1,64	1,50	1,27	1,37	1,25
Jowa	1,62	1,52	1,38	1,12	1,34	1,31
Missouri	1,44	1,44	1,07	0,67	1,00	0,95
Kansas	1,65	1,56	1,30	1,05	1,12	1,20
Nebraska	1,93	1,62	1,43	1,29	1,21	1,35
Dakota	2,00	—	1,62	1,34	1,50	1,31
California	2,26	2,13	1,84	1,65	1,71	1,57
Oregon	1,75	—	1,47	1,44	1,33	1,30

Przeciętne płace dzienne w czasie żniwa były następujące:

TABLICA XV. (**).

Nazwa stanu	1865	1868	1874	1878	1881	1884
	w dolarach i centach					
Ohio	2,20	2,15	2,05	1,51	1,79	1,75
Michigan	2,62	2,76	2,50	2,02	2,13	1,90
Indiana	2,23	2,16	2,20	1,68	1,89	1,85
Illinois	2,41	2,34	2,20	1,52	1,91	1,80
Wisconsin	2,68	2,45	2,40	2,11	2,50	1,89
Minnesota	2,68	2,90	2,82	2,63	2,61	2,29
Jowa	2,38	2,85	2,57	1,66	2,25	2,00
Missouri	2,15	2,30	1,75	1,47	1,59	1,62
Kansas	2,31	2,08	1,86	1,70	1,70	1,87
Nebraska	2,65	2,41	2,40	2,17	1,95	1,98
Dakota	2,50	—	2,37	—	2,65	1,38
California	2,56	2,82	2,50	2,27	2,30	2,20
Oregon	2,40	—	2,11	2,02	1,92	1,95

Z tablic tych widzimy, że płace pieniężne zarówno parobków, jak najmowanych na dni wyrobników w ciągu ostatnich lat dwudziestu prawie stale się zmniejszają, naśladując w tym względzie mniéj więcéj dokładnie ruch cen zboża. Tak np. wiemy, że w roku

(*) Zapożyczona z tegoż raportu, co poprzednia.
(**) Zaczerpnięta z tego samego źródła.

1878 (1) ceny pszenicy czasowo gwałtownie spadły, otóż we wszystkich tablicach powyższych spostrzegamy, że i płace w tym roku nagłéj uległy zniżce. Gdy w latach następnych ceny zboża napowrót podskoczyły, podniosły się téż i płace, lecz spadły znowu w r. 1884 równolegle z upadkiem cen, chociaż nie tak gwałtownie, jak ostatnie. Jeżeli na podstawie przeciętnych cen pszenicy w r. 1874, 78, 81 i 84 tym, jakie posiadamy dla 7-miu stanów zachodnich i które przytoczymy późniéj, wyrazimy płace miesięczne robotników stałych, wzięte z tablicy XIII. w równoznacznéj im ilości buszli tego ziarna, to otrzymamy cyfry następujące:

TABLICA XVI. (*)

Płace miesięczne robotników rolnych wyrażone w buszlach pszenicy.

Nazwa stanu	1874	1878	1881	1884
Ohio	23,3	24,1	19,0	30,7
Illinois	29,6	27,5	19,6	37,3
Minnesota . . .	32,7	48,1	24,9	51,0
Jowa	37,5	44,2	24,7	46,1
Missouri . . .	21,8	26,3	18,8	34,4
Kansas	28,6	35,0	22,7	54,9
Nebraska. . . .	41,4	47,0	25,2	59,5

Tabelka powyższa przekonywa nas, że jakkolwiek pieniężne płace robotników rolnych, czyli absolutne koszta pracy ludzkiéj w Stanach Zjednoczonych z biegiem czasu zniżają się, to jednakże koszta względne robocizny, rozpatrywane w stosunku do dochodu fermerów, nietylko nie zmniejszają się, lecz owszem wzrastają. Fakt ten potwierdza długim szeregiem cyfr zebranych od r. 1860 do 1884 dla stanu New Jersey, tamtejszy reprezentant waszyngtońskiego biura statystycznego, p. Dawid C. Voerhees (2). Podług jego obliczenia przeciętna płaca roczna robotnika rolnego wyrażona w równoznacznéj ilości pszenicy wynosiła: w r. 1860—93 buszle, w 1870—114 busz., w 1880—134 busz., w 1884—187 buszli; w ilości kukurydzy w tych

(1) Patrz tablicę VI na str. 99 i objaśnienia na str. 100.

(*) Cyfry z roku 1874 w tabelce powyższéj nie są zupełnie pewne, ponieważ cen szczegółowych pszenicy z tego roku nie posiadam. Oznaczyłem je w ten sposób, że ceny z r. 1875 zmniejszyłem o 6 centów, gdyż przeciętna cena pszenicy w całych Stanach Zjednoczonych *loco ferma* była w r. 1874 o tyle niższa, niż w r. 1875. Skutkiem tego jedne z cyfr podanych przezemnie dla tego roku muszą być zapewne niższe od rzeczywistych, inne wyższe, a więc ogółem można je wziąć do porównania.

(2) Ułożoną przez niego tablicę podaje cytowany przezemnie wyżéj *Report of the area of winter grain.*

samych latach płace roczne czyniły: 173, 267, 300 i 350 buszli; w ilości owsa: 433, 400, 600 i 560. W r. 1881 w tabelce naszéj otrzymaliśmy wyjątkowo cyfry bardzo nizkie skutkiem tego, że w roku tym ceny pszenicy, jak się o tém przekonać możemy z tablicy IV, dosięgły w Ameryce na rynkach wewnętrznych niebywałéj nigdy wysokości skutkiem jednoczesnego nieurodzaju w Stanach Zjednoczonych i Indyach Wschodnich (porównać tablicę VIII). Wypadek taki jednakże, jako rzadki wyjątek, nie może być brany w rachubę. Widzimy więc, że wogóle zniżka płac roboczych w Ameryce nie wyrównywa bynajmniéj strat, ponoszonych przez fermerów na upadku cen zboża, lecz przeciwnie upadek ten, wobec niemożności odpowiedniego obniżenia płac, podnosi stosunkowo koszta robocizny i zmusza amerykańskich właścicieli rolnych do ograniczenia produkcyi zboża i wytwarzania innych, lepiéj opłacających się produktów, w celu podniesienia cen ziarna. Wobec takiego położenia rzeczy, gdy jeszcze weźmiemy na uwagę tę okoliczność, że w miarę wyczerpywania się ziemi uprawa jéj musi być coraz staranniejsza, oraz dodamy, że wszystkie korespondencye ze stanów rolniczych, jakieśmy znaleźli w raportach biura statycznego z roku zeszłego, utyskują bardzo na brak rąk najemnych, nie potrzebujemy w obliczeniach na przyszłość obawiać się wcale znacznéj obniżki kosztów robocizny w Ameryce.

Szczegółowe pozycye tych kosztów podają wszyscy autorowie dość zgodnie. I tak, Meyer pisze, że w dolinie rzeki Czerwonéj (gdzie podług Semlera ziemia jest tak lekka, że w czasie pogody wiatr podnosi tumany czarnego pyłu z jéj powierzchni) spekulanci, którzy zakupili wielkie obszary gruntów, w celu sprzedania ich z czasem po wysokiéj cenie, i nie chcą sami prowadzić gospodarstwa, najmują drobnych fermerów do uprawy i płacą im zazwyczaj następujące ceny od akra:

Za pierwszą orkę ziemi nowinnéj	dolarów	3,—
„ drugą orkę	„	1,50
„ bronowanie przed siewem	„	0,50
„ siew	„	0,50
„ bronowanie po siewie.	„	0,50
„ żniwo i związanie w snopki	„	1,50
„ ustawienie w mendle	„	0,40
„ zwózkę	„	0,50
„ młockę 18 buszli	„	1,80
Razem	dolarów	10,20
Po odciągnięciu za pierwszą orkę . . .	dolarów	3,—
otrzymamy jako zwykłe koszta robocizny na akr.	**dolarów**	**7,20**

W tejże dolinie rzeki Czerwonéj na wielkiéj fermie Dalrymple'a, który posiada wszelkie maszyny najlepszéj konstrukcyi i wyborną organizacyą sił roboczych przy pracy, lecz dla ograniczenia kosztów robocizny do możliwego minimum, uprawia ziemię nadzwyczaj powierzchownie i niedbale, koszta te, obliczone na podstawie ścisłéj buchalteryi, wynoszą podług Meyera:

Orka akra ziemi już od kilku lat uprawlanéj	dolarów	1,16
Siew i jednorazowe bronowanie . . . . , ...	„	0,54
Żniwo, związanie w snopki i ustawienie w mendle . . .	„	1,62
Młocka i zwózka do magazynu	„	1,57
Drobne wydatki	„	0,04
	Razem dolarów	4,93

Ponieważ Dalrymple orze zaledwie na 3 do 4 cali głęboko, posiada maszyny do siewu połączone z bronami tak, że jeden robotnik zarazem sieje i bronuje, używa żniwiarek samowiążących i ma własne młocarnie parowe, więc koszta powyższe nie mogą być brane za miarę dla ferm średnich i małych, które panują w stanach zachodnich. Są one dla nich stanowczo o wiele za nizkie.

Cytowany przez Lorenza von Steina (1) p. Hutchinson z Penrith ocenia koszt orki akra na dol. 1,50, bronowania: dol 1,50, siewu wraz z ziarnem na 1,75 dol., żniwa i młocki na 3,50 dol., ogółem koszt robocizny na akr ziemi wraz z ziarnem do siewu dol. 8,25.

Tenże autor przytacza drugi rachunek innego fermera amerykańskiego, niejakiego p. Peata. Ten liczy orkę akra dol. 1,57½, bronowanie 1,57½, siew 0,54 dol., żniwo, młockę i transport do najbliższéj stacyi 3,39 dol.

Moglibyśmy tutaj przytoczyć jeszcze kilkanaście podobnych obliczeń. Wszystkie one podają koszta uprawy akra, wraz z ziarnem na zasiew, na 7 do 8 dolarów na fermach wielkości 100 do 500 akrów. Szczegółowe pozycye obracają się około cyfr następujących które przyjmiemy za podstawę w naszym rachunku:

Za orkę akra liczą wszyscy zgodnie po **1,50 dol**. Koszta siewu i bronowania oznaczane bywają zazwyczaj razem i rozmaicie: od 50 centów do 1,50 dol. Pochodzi to stąd, że niektórzy niedbali fermerowie, zwłaszcza w okolicach, gdzie dzięki właściwościom gleby niewiele chwastów się pleni, nie bronują roli wcale, inni raz tylko, inni 2 razy, przed i po siewie. Możemy więc za średnią normę kosztów

(1) „Drei Fragen des Grundbesitzes."

siewu i bronowania przyjąć **1 dolar**. Żniwo, związanie w snopki i ustawienie w mendle oceniają rozmaici rolnicy na 1,60 do 1,90 dol. weźmy przeciętnie: **1,75 dol**. Za zwózkę do magazynu (tylko w Kalifornii zboże idzie wprost od żniwa do młocki i od młocki na koléj) rachują ogólnie około 50 centów, przyjmijmy więc **40 centów**. Za wynajęcie młocarni parowéj płaci się zazwyczaj 5 centów od buszla pszenicy. Koszta obsługi podług Meyera wynoszą 3 centy od tejże miary. Razem więc młocka 1 buszla czyni wydatku 8 centów, czyli za przyjęte przez nas 16 buszli z akra wyniesie **1,28 dol**.

Pszenicy na zasiew używa się zazwyczaj w Ameryce 100 funtów ($1^2/_3$ buszla) na akr. Ponieważ ziarno to musi być wyborowego gatunku i bardzo starannie oczyszczone, więc choćbyśmy je liczyli tylko według kosztów produkcyi, musimy wartość buszla oznaczyć przynajmniéj na 70 centów. skąd za $1^2/_3$ buszla wypadnie nam **1,16 dol.**.

Do wszystkich pozycyi powyższych należałoby jeszcze dodać wydatki na restauracyą budowli i ogrodzenia fermy, na naprawę maszyn, koszta administracyi, lub utrzymania fermera z rodziną, gdy ten gospodaruje sam, koszta ubezpieczenia od pożaru (premie bardzo wysokie) itp. Kosztów tych nie można bynajmniéj uważać za nic nie znaczące, bo już sama naprawa maszyn obciąża bardzo dotkliwie budżet fermerów amerykańskich, jak to zgodnie stwierdzają wszyscy znający rzecz sprawozdawcy (między innymi: Semler, Meyer. oraz delegowany do Stanów Zjednoczonych przez rosyjskie ministeryum finansów prof. Orbiński (1)). Według Meyera ogólnie w Ameryce rachują, że naprawa bardziéj skomplikowanych maszyn wynosi w pierwszym roku 5% ich wartości, przez cztery następne lata po 25% co rok, w szóstym zaś roku już co najmniéj 50%. tak, że po pięciu latach już naprawa się nie opłaca i korzystniéj jest starą maszynę zarzucić, a kupić nową. Ponieważ jednak wszystkie te wzmiankowane wyżéj wydatki w rozmaitych gospodarstwach są bardzo zmienne i trudno byłoby oznaczyć przeciętną ich wysokość, przeto, zamiast się kusić o to, przypuścimy zgodnie z Semlerem, że pokrywa je wartość słomy, pośladu i zgonin, którą inaczéj musielibyśmy odjąć od ogólnych kosztów produkcyi ziarna. Wobec tego, że słoma w większości stanów rolniczych nie ma wartości żadnéj, w innych zaś bardzo małą, nie policzymy z pewnością za wiele.

Zestawmy teraz wszystkie znalezione pozycye szczegółowe i obliczmy koszta produkcyi jednego buszla pszenicy:

---

(1) Patrz jego obszerne sprawozdanie „O chlebnoj torgowle sojedinionnych sztatow siewiernoj Amieriki". Petersburg, 1880.

Orka 1 akra	*dolarów*	*1,50*
Siew i bronowanie	„	*1,00*
100 funtów pszenicy na zasiew	„	*1,16*
Żżęcie, związanie i ustawienie w mendle	„	*1,75*
Zwózka snopków do śpichrza	„	*0,40*
Młocka 16 buszli	„	*1,28*
Podatki od ziemi	„	*0,21*
Razem	*dolarów*	*7,30*
Procent od 35 dol. kapitału zakład. po 8%	„	*2,80*
„ *od 5 dol.* „ *obrotow.* „	„	*0,40*
Ogółem koszta produkcyi 16 buszli	**dolarów**	**10,50**

Z obliczenia tego przeciętne koszta produkcyi jednego buszla pszenicy *w stanach zachodnich* wypadają—bez uwzględnienia procentu od kapitału na 45,6 centów, (rs. 3, 31 kop. za nasz korzec) z procentem zaś na **65,6 centów** (rs. 4, 77 kop. korzec). O kosztach produkcyi w stanach oceanu Spokojnego pomówimy osobno później, gdy będziemy zastanawiali się nad przewidywanym wpływem przekopania kanału Panama na ceny zboża. Tymczasem zaś sprawdźmy otrzymaną cyfrę przez porównanie jéj z rezultatami, do jakich doszli dawniéj poważniejsi badacze stosunków amerykańskich i inteligentni rolnicy miejscowi.

Delegowani w r. 1879 dla zbadania sił konkurencyi amerykańskiéj członkowie parlamentu angielskiego, Pell i Read, oznaczyli przeciętne koszta produkcyi buszla pszenicy w Stanach Zjednoczonych na 84 centy. Towarzyszący im korespondent *Times'a*, Finlay Dun, redukuje tę sumę w r. 1881 do 74½ centów, licząc przeciętne koszta 10 dol. na akr, a zbiór 13 buszli. P. Hubard, rolnik z Minnesoty, rachował wzmiankowanym delegatom angielskim koszta produkcyi w swoim majątku na 10,17 dol. przy przeciętnym zbiorze 15 buszli, czyli 68 c. za buszel. P. Randolf, sekretarz izby handlowéj w Chicago, obliczał przeciętnie dla stanów, zaopatrujących ten rynek zbożowy, koszta z odstawą do stacyi (0,50 dol.) na 8,75 dol., zbiór na 12 buszli, czyli 73 c. za buszel. Biuro rolnicze dla stanu Illinois oznaczyło w r. 1880 przeciętny zbiór z akra na 17⅓ buszli koszta uprawy i sprzętu na 7,14 dol., procent od kapitału na 3.30 dol., skąd koszta produkcyi buszla wypadają 60 centów. Ponieważ jednak przeciętny zbiór z lat dziesięciu wynosił w tym stanie tylko 13,1 buszli, przeto przeciętne koszta produkcyi 1 buszla równają się tam 80 centów.

Są to wszystko cyfry wyższe od znalezionéj przezemnie. Nie brak wprawdzie z drugiéj strony kalkulatorów, którzy podają koszta produkcyi znacznie niżéj, niż ja: na trzydzieści kilka, czterdzie-

ści kilka i pięćdziesiąt kilka centów za buszel pszenicy, lecz nie liczą oni wcale procentu od kapitału i przyjmują zbiory wyjątkowo wysokie: po 20, 30 i 40 buszli z akra. Naturalnie więc, że cyfry takie nie mogą być brane za normę przeciętną. Rudolfowi Meyerowi wypadają koszta średnie na 54 do 72 centów za buszel i na téj podstawie oznacza je przeciętnie na 60 centów, lecz na procent od kapitału zakładowego i obrotowego na akr, liczy on tylko 1 dolar, co przy 8% odpowiada przeciętnéj wartości akra 12 dol. Wykazaliśmy już w swojem miejscu, że cyfra ta jest stanowczo za nizka. Przyjąć jéj niepodobna w żadnym razie wobec tego, że dziś już za dobrą ziemię surową trzeba płacić po 15 i więcéj dolarów za akr.

Naturalnie, że otrzymana przez nas przeciętna cyfra kosztów produkcyi nie znaczy bynajmniéj, żeby koszta te wynosiły we wszystkich stanach zachodnich 65 centów za buszel. W stanach gęściéj zaludnionych i leżących blizko głównych rynków zbytu, jak Ohio, Michigan, Indiana, Illinois, Missouri, Wisconsin, Jowa, koszta skutkiem wyższéj ceny ziemi muszą być wyższe od przeciętnych i dosięgają w takiém np. Ohio, Indiana i Illinois 70 do 80 centów za buszel, za to znów w Kansas, Nebrasce i Dakocie nie przenoszą zapewne średnio jakich pięćdziesięciu kilku centów, lecz różnice te wyrównywają za to koszta przewozu, wynoszące w Kansas, Nebrasce, Dakocie, a nawet Minnesocie, od fermy do głównych wewnętrznych rynków zbytu, jak Chicago i St. Louis, znacznie więcéj, aniżeli od tych rynków do portów zewnętrznych. Znaczne te różnice kosztów przewozu odbijają się wyraźnie na cenach miejscowych w różnych stanach. Wykaże nam to najlepiéj następująca tabelka przeciętnych cen pszenicy na fermie za ostatnie lat 10 w tych stanach zachodnich, które najwięcéj tego ziarna produkują i wywożą:

TABLICA XVIII. (*)

Przeciętne ceny buszla pszenicy loco ferma w centach.

Nazwa stanu	1875	1876	1877	1878	1879	1880	1881	1882	1883	1884
Ohio . . .	109	114	124	86	120	102	129	95	99	75
Illinois . . .	91	93	104	75	107	95	122	86	92	63
Minnesota. .	86	90	91	51	94	87	106	82	80	50
Jowa . . .	71	90	87	50	92	82	106	70	80	55
Missouri . .	95	89	100	67	101	89	119	85	88	62
Kansas . . .	87	86	82	59	89	70	105	67	78	45
Nebraska . .	64	73	83	49	84	73	97	67	70	42
Dakota . .	—	—	—	—	—	—	—	80	72	46

(*) Zaczerpnięta z *Report on the distribution and consumption of corn and wheat* etc.

Porównawszy te ceny z przeciętnemi kosztami produkcyi w tych stanach łatwo zrozumiemy, dlaczego w przeszłym lat dziesiątku wytwór pszenicy tak kolosalnie wzrastał, oraz dlaczego *powierzchnia ziemi wzięta pod uprawę tego ziarna w roku 1884/5*, jak o tém donoszą ostatnie raporty biura statystycznego, *była o 15% mniejsza, niż w roku 1883/4.* Zagadkę tę wyjaśnia nam fakt zupełnie pewny, że *ceny pszenicy w Ameryce w r. 1884 nie pokryły nawet kosztów produkcyi i naraziły większość fermerów na dotkliwe straty.*

Ponieważ pomimo tak znacznego ograniczenia uprawy pszenicy w Ameryce, połączonego przytém z nieurodzajem, co razem sprawiło, że zbiór w r. 1885 zmniejszył się do 350 milionów buszli, kiedy w r. 1884 wynosił 513 milionów, ceny zeszłoroczne jakkolwiek wykazały pewną tendencyą ku zwyżce w stosunku do roku 1884, to jednakże skutkiem nagromadzenia się wielkich zapasów ziarna dawniejszego (w samych Stanach Zjednoczonych było staréj pszenicy w magazynach w d. 1 lipca r. z. 40 mil. buszli), oraz dobrego plonu w Indyach, nie podniosły się na tyle, ażeby mogły uczynić uprawę pszenicy korzystną, przeto z wielkiém prawdopodobieństwem należy przewidywać dalsze ograniczenie produkcyi tego ziarna w Ameryce, a tém samém w niedalekiéj przyszłości zwyżkę cen na rynku międzynarodowym. W jakich granicach przypuszczalnie wahać się ona będzie, zastanowimy się w zakończeniu niniejszéj pracy.

Przejdźmy teraz do sprawy kosztów transportu zboża amerykańskiego do Europy.

Napomknęliśmy już na początku, że tak świetny swój rozwój produkcyi i wywozu zboża zawdzięczają głównie Stany Zjednoczone szybkiemu postępowi budowy coraz nowych linii dróg żelaznych, który od r. 1869 przybrał prawdziwie kolosalne rozmiary, jak to nam wykażą następujące cyfry (1).

W całych Stanach Zjednoczonych było dróg żelaznych w ruchu z końcem roku:

1868 . . .	42229	mil ang.			
1869 . . .	46844	„	przybyło	4615	mil. ang.
1870 . . .	52914	„	„	6070	„
1871 . . .	60522	„	„	7608	„
1872 . . .	66242	„	„	5720	„
1873 . . .	70311	„	„	4069	„
1874 . . .	72616	„	„	2305	„
1875 . . .	74374	„	„	1758	„
1876 . . .	77031	„	„	2657	„

(1) Wzięte z „Uebersichten der Weltwirthschaft“ Neumanna-Spallarta, rocznik za rok 1881 i 2.

1877 . . .	79208	mil ang.	przybyło	2177	mil ang.
1878 . . .	81841	„	„	2633	„
1879 . . .	84393	„	„	2552	„
1880 . . .	91147	„	„	6754	„
1881 . . .	101949	„	„	10802	„
1882 . . .	113329	„	„	11380	„
1883 . . .	119598	„	„	6269	„

W ciągu *dwóch lat*: 1881 i 1882 pobudowano w Stanach Zjednoczonych tyle nowych linii, ile w całéj Europie w ciągu ostatnich lat *siedmiu*. Kiedy w r. 1883 na 10,000 mieszkańców przypadało w Anglii i Irlandyi 8,5 kilometrów dróg żelaznych, we Francyi i Niemczech po 7,9 kil., w Belgii 7,7, w Austro-Węgrzech 5,4, we Włoszech 3,3, w Rosyi 3 kil., w Stanach Zjednoczonych 36,8 kil.! (1). Naturalnie, że przy tak szybkim wzroście coraz nowych linii, obsługujących często jedne i te same okolice, konkurencya musiała wywołać odpowiednie obniżenie opłat przewozowych. Gdy jednakże skutkiem nadmiernéj spekulacyi w r. 1877 wybuchło przesilenie i papiery wielu dróg spadły w kursie nieledwie do zera, rozmaite towarzystwa, poniósłszy znaczne straty, w końcu bądź porozumiały się pomiędzy sobą, bądź połączyły i poczęły na nowo przywracać wysokie taryfy. Gdzie do porozumienia nie doszło, tam dla tych miejscowości, które miały dwie drogi do wyboru, ustanawiano taryfy nadzwyczaj nizkie, dla tych zaś okolic, które mogły korzystać z jednéj tylko wyłącznie drogi, podnoszono opłaty przewozowe do niesłychanéj wysokości. Nadużycia tego rodzaju dzieją się podobno jeszcze i dzisiaj, lecz w daleko mniejszym stopniu, gdyż wszystkie już prawie stany pooznaczały u siebie taryfy maksymalne, których drogom pod surowemi karami przekraczać nie wolno. Główną jednakże przyczyną, która wywołała nadzwyczaj nizkie opłaty przewozowe dla zboża amerykańskiego, było otwarcie i udogodnienie dróg wodnych.

Głównymi punktami krańcowymi wywozu produktów rolnych ze stanów, leżących na wschód od gór Skalistych, są porty atlantyckie: Quebeck, Portland, Boston, New-York, Baltimora i Filadelfia, oraz port zatoki Meksykańskiéj, Nowy Orlean, który od r. 1879 nabiera coraz większego znaczenia i dąży do odebrania palmy pierwszeństwa New-Yorkowi. Do wymienionych portów atlantyckich zboże początkowo dowożone było przeważnie drogami żelaznemi, po których musiało przebiegać 1000 do 1500 mil angielskich. Wprawdzie New York ma i wodną komunikacyą od Duluth, Milwaukee, Chicago, Detroit i Toledo przez wielkie jeziora, kanał Erie i rzekę

(1) Patrz „Zeit. des Vereins deutscher Eisenbahn-Verwaltungen" N. 16 z r. 1885.

Hudson, lecz najprzód kanał wymieniony przez znaczną część roku zamarza, a następnie jest zaledwie na ośm stóp głęboki, tak, że mogą przezeń przechodzić tylko małe barki, zawierające przeciętnie po ośm tysięcy buszli. Skutkiem tego wodna ta komunikacya nie była dla dróg żelaznych zbyt straszna, zwłaszcza że do roku 1882 pobierano za przewóz zboża po kanale stosunkowo dosyć wysokie opłaty. W czasie zimowych miesięcy, kiedy kanał zamarza, stosunki były jeszcze gorsze, gdyż koleje zmawiały się i znacznie podnosiły taryfę. Ażeby temu zaradzić i wytworzyć kolejom silną konkurencyą, rząd Stanów Zjednoczonych postanowił pogłębić ujście rzeki Mississipi tak, żeby w nie mogły wchodzić okręty morskie i żeby tym sposobem umożliwić spław zboża po téj rzecze w wielkich rozmiarach ze stanów rolniczych, na jéj porzeczu leżących. Roboty w tym celu rozpoczęte zostały w r. 1875-tym pod kierunkiem inżyniera Eadsa, i w roku 1879-tym pożądana głębokość ujścia (30 stóp) została osiągięta. Od tego czasu mogą zazwyczaj wielkie okręty morskie wchodzić w rzekę aż do Nowego Orleanu, który dzięki temu dziś już stał się jednym z najważniejszych portów wywozu zboża, a wzrastający z każdym rokiem jego eksport każe przypuszczać, że w niezbyt dalekiéj przyszłości odniesie on zwycięstwo nad New-Yorkiem.

Drugim niebezpiecznym współzawodnikiem tego ostatniego portu stał się Montreal, położony na rzece ś-go Wawrzyńca, od czasu gdy w roku 1881-wszym otworzony został nowy kanał Welland, łączący jezioro Erie z jeziorem Ontario. Kanał ten jest znacznie krótszy, głębszy i szerszy od kanału Erie, a więc daleko dogodniejszy dla żeglugi. Kiedy drugi z tych kanałów ma 350½ mil angielskich długości i tylko 8 stóp głębokości, pierwszy jest zaledwie 26 mil długi, a za to 13 stóp głęboki; miał zaś być jeszcze pogłębiony do 14½ stóp. Przecięcie prostopadłe kanału Erie przedstawia zaledwie 400 stóp □, nowego kanału Welland—1648 stóp □. Skutkiem tego, podczas gdy przez pierwszy mogą przechodzić tylko barki, zawierające 8,000 buszli, drugi jest już dziś dostępny dla okrętów o objętości 43,000 buszli, gdy zaś zostanie pogłębiony będą mogły po nim kursować okręty, zawierające 100,000 buszli. Opłata za żeglugę po tym kanale wynosiła w pierwszych latach ½ centa od buszla, lecz miała być zniesiona.

Przerażeni wzrastającém stale i groźnie współzawodnictwem dwóch tych nowych dróg wodnych, kupcy nowojorscy poczęli się natarczywie domagać u rządu zniesienia opłat za żeglugę po kanale Erie, oraz pogłębienia i rozszerzenia go. Zadośćuczynieniu tym żądaniom sprzeciwiały się silnie towarzystwa dróg żelaznych, lecz po-

mimo to pierwszy z tych projektów został przeprowadzony i koszta utrzymania kanału rozłożono na mieszkańców stanu New-York. Być może, że dotąd zaspokojone już zostało i drugie z wymienionych wyżéj żądań, a jeżeli nie, to należy przewidywać, że stanie się to zapewne w niedalekiéj przyszłości.

Ponieważ, jak powiedzieliśmy wyżéj, główną przyczyną nizkich opłat przewozowych na kolejach amerykańskich jest współzawodnictwo dróg wodnych, więc téż w czasie zimy, kiedy rzeki zamarzają, taryfy stale się podnoszą. Za to jednak w lecie spadają niekiedy do tego stopnia, że czynią przewóz drogami żelaznemi tańszym, niż wodą. Tak np. w r. 1881 od 15 czerwca do 31 października wynosił fracht od 100 funt. pomiędzy Chicago i New-Yorkiem—drogą wodną 13.3 centów, drogami żelaznemi tylko $12\frac{1}{2}$ do 20 centów. W następnych latach opłaty kolejowe podniosły się znowu i czyniły na wzmiankowanéj przestrzeni r. 1882-go 20 do 30 centów, 1883-go w lecie 25, w zimie 30 centów (1). Na liniach nie posiadających komunikacyj wodnych taryfy są wogóle znacznie wyższe, niż na uprzywilejowanych w tym względzie. Okoliczność ta sprawia, że transport zboża z fermy do głównych rynków zbożowych wewnętrznych kosztuje stosunkowo kilka, a niekiedy nawet kilkanaście razy więcéj, niż od tych rynków do portów. Przytém ponieważ prawo nie wymaga uprzedniego ogłaszania o zmianach w taryfie, więc wiele towarzystw podnosi ją często tajemnie i naraża kupców, którzy porobili terminowe zobowiązania dostawy, na wielkie straty, co zmusza ich do liczenia zawsze na wyższe koszta przewozu, niż istniejące w danéj chwili, i obniżania o ile możności cen zakupu. Naturalnie, że najwięcéj na tém tracą producenci.

Po tych uwagach ogólnych przystąpmy do szczegółowego obliczenia przeciętnych kosztów transportu buszla pszenicy ze stanów zachodnich do Europy.

Za przewóz końmi od fermy do najbliższéj stacyi drogi żelaznéj płaci się zazwyczaj, podług Meyera, najętym furom za pierwszą milę angielską (2) 2 centy, za następne kilka po 1 cencie, ale daléj opłata tak się zmniejsza, że już za 7 mil ma wynosić jakoby tylko 5 centów od buszla. Koszt ten przeciętnie trudno jest bardzo obliczyć, ale w każdym razie musi on czynić jakieś kilka centów na buszlu. Wzmiankowany już p. Randolph, sekr. izby handl. w Chicago, obliczał ten wydatek na 50 centów z akra przy 12 buszlach zbioru, a więc

(1) „Zeitung des Ver. deutscher Els. Verw.“ N. 9 z r. 1885.
(2) 1 mila angielska—1,5086 wiorsty, czyli okrągło $1\frac{1}{2}$ wiorsty.

na 4 centy od buszla (1). P. Hubard w swojem gospodarstwie rachował tylko 3 centy od téj miary ziarna.

Koszta przewozu drogą żelazną do ważniejszych rynków zbożowych w lecie roku 1881 za 100 funtów ciężaru, podług Meyera (str. 614 i 615). wynosiły: z St. Vincent do Duluth, lub St. Paul (389 mil ang.) 30 centów; z Bismarck do St. Paul (469 mil) 55 centów, z Selkirk do St. Paul (454 mile) 40 c.; z Fargo do St. Paul (275 mil) 25 centów. Zauważmy tutaj, że z St. Paul do głównych rynków centralnych wywozu zboża. Chicago i St. Louis, jest jeszcze po kilkaset mil; do Chicago mianowicie 410 mil, za które fracht w r. 1881 od 100 funt. czynił 20 centów. Do wszystkich więc powyższych kwot trzeba dodać jeszcze te 20 centów, żeby otrzymać koszta frachtu do Chicago. Z bliższych rynków do Chicago za 100 funt. opłacano frachtu w tymże roku: z Florence w stanie Wisconsin (376 mil) 33 centy; z Madison w tymże stanie (139 mil) 16 centów; z Watertown w Dakota (619 mil) 36 centów; z Huron w Dakota (662 mile) 42 centy; z Tracy w Minnesota (526 mil) 29 centów.

Na podstawie frachtów pobieranych w lecie roku 1881 (najniższych, jakie kiedykolwiek istniały do owego czasu) za przewóz pomiędzy ważniejszymi rynkami zbożowymi w stanach zachodnich ułożył Meyer następującą tablicę najniższych i najwyższych taryf od buszla pszenicy (60 funt.) i mili ang:

za 10 do 100 mil	po 0,091 do 0, 36 centa
za 100 do 200 „	„ 0,05 do 0,075 „
za 200 do 300 „	„ 0,036 do 0,056 „
za 300 do 400 „	„ 0,046 do 0,052 „
za 400 do 500 „	„ 0,037 do 0,07 „
za 500 do 600 „	„ 0,033 do 0,041 „
za 600 do 700 „	„ 0,034 do 0,041 „
nad 700 mil	„ 0,038 do 0,04 „

Na zasadzie tych cyfr, przyjmując za średnią odległość ważniejszych rynków w stanach zachodnich od Chicago i St. Louis 350 mil ang., a za przeciętną normę taryf 0,044 centa od buszla i mili, otrzymuje Meyer jako przeciętny koszt transportu buszla pszenicy do wymienionych rynków centralnych 16 centów. Ponieważ od roku 1881 frachty na wewnętrznych liniach amerykańskich dróg żelaznych uległy dalszéj jeszcze zniżce, więc powyższa cyfra przeciętna mogłaby się dziś okazać za wysoką. Sprawdźmy ją przy pomocy najnowszych danych.

---

(1) Patrz „Reports of the assistant commissioners." Presented to both Houses of Parliament by Command of Her Majesty. London, 1880.

Na najważniejszéj linii wewnętrznych dróg żelaznych w stanach zachodnich „Chicago, Milwaukee i St-Paul,“ podług sprawozdania z r. z., przedrukowanego w „Zeitung des Vereins deutscher Eisenbahn-Verwaltungen“ (N. 31 z r. 1885), wynosiła przeciętna roczna norma frachtów za tonę krótką (2.000 funt. ang.) i milę angielską:

w r. 1865—4,11 centów	w r. 1881—1,70 centa
„ 1870—2,82 „	„ 1882—1,43 „
„ 1875—2,10 „	„ 1883—1,39 „
„ 1880—1,76 „	„ 1884—1,29 „

Zamieniwszy powyższą przeciętną cyfrę z r. 1884 w ten sposób, żeby znaleść normę frachtu od buszla (60 ℔) i mili ang., otrzymamy 0,0387 centa, czyli za 350 mil 14 centów. Ponieważ ze wszystkich przytoczonych przez Meyera cyfr droga „Chicago-St Paul“ wykazała najniższą normę taryfową, więc dla wszystkich ważniejszych dróg wewnętrznych należałoby oznaczyć cyfrę cokolwiek wyższą. Ze względu jednak na to, że rozpatrywana przez nas droga na wielkich dystansach pobiera normę niższą od przeciętnéj, przyjmiemy znalezione 14 centów za cyfrę średnią dla ogółu dróg dowożących zboże do Chicago, St. Louis itp. rynków centralnych. Tym sposobem na przeciętny koszt dowozu zboża do tych rynków, drogą kołową do najbliższéj stacyi kolejowéj i daléj drogą żelazną, otrzymamy ogółem 14 + 4 = *18 centów.*

Zanim przystąpię do obliczenia kosztów dalszego transportu zboża do Europy, uważam za potrzebne nadmienić tutaj o ile możności jak najkrócéj o tych znakomitych urządzeniach, jakie posiadają Stany Zjednoczone w celu taniego i szybkiego przeładowywania zboża z wagonów i statków rzecznych do magazynów i z pierwszych, lub drugich na okręty, oraz w celu gromadzenia wielkich zapasów zboża w portach i głównych punktach składowych dla tych portów, by mieć możność wyczekiwania stosownéj chwili dla sprzedaży, a gdy ona nadejdzie rzucenia bezzwłocznego żądanéj ilości towaru na rynek. Urządzenia te, znane dzisiaj w całym świecie pod nazwą *elewatorów*, stanowią obok nizkich taryf przewozowych główną przyczynę przewagi Stanów Zjednoczonych w handlu zbożowym nad Rosyą i Polską, w których koszta produkcyi zboża nie są wcale wyższe, niż w Ameryce. Bez elewatorów nie mogła by była nigdy Ameryka tak zawładnąć międzynarodowym rynkiem zbożowym, jak tego w ciągu ostatnich lat kilkunastu dokonała.

Elewatory są to, jak wiadomo, olbrzymie magazyny, w których wszelkie manipulacye, ze zbożem dokonywane, uskuteczniają się przy pomocy motorów parowych. Wysokość tych budowli mierzy zazwyczaj przeszło 100 stóp. Wewnętrzna ich budowa przedstawia

kilka kondygnacyj. Zboże przechowuje się w nich w wielkich skrzyniach drewnianych, mających po 100 stóp kwadratowych w przecięciu poprzecznem i na 70 stóp wysokich. Są one zawieszone nad ziemią i zakończone lejkowato, z dnem ruchomém. Tym sposobem wyładowywanie z nich zboża odbywa się mechanicznie. W największym elewatorze filadelfijskim można z nich w ciągu godziny przeładować na okręt 25,000 buszli (około 6,900 korcy) zboża. W tymże elewatorze wszystkie skrzynie razem mieszczą 900,000 buszli (247,500 korcy). Ogólna objętość skrzyń magazynowych w elewatorach nowojorskich wynosiła już w r. 1881 przeszło 23 miliony buszli (6,325,000 korcy), w chicagoskich 22 mil. buszli (1).

Taki sposób magazynowania zboża, jaki ma miejsce w elewatorach, jest możliwy tylko wtedy, gdy handel odbywa się nie na podstawie próbek, lecz ścisłéj klasyfikacyi ziarna według jego przymiotów. Tak się téż dzieje w Ameryce. We wszystkich ważniejszych punktach wywozu zboża wyznaczają tam giełdy produktowe specyalnych urzędników przysięgłych, którzy obowiązani są każdy przybywający na miejsce jakąkolwiek drogą ładunek ziarna dokładnie zbadać i stosownie do jego przymiotów, a głównie koloru, jakości i wagi, oznaczyć stopień jego dobroci, wyrażający się odpowiednią nazwą jego odmiany i numerem (np. White N. 1, Red N. 2, Spring N. 3 itp.). Kiedy już ziarno zostało w ten sposób określone, może iść na skład do elewatora, a właściciel magazynu wydaje właścicielowi zboża kwit składowy na taką a taką ilość ziarna, téj a téj odmiany i numeru. Tym sposobem rozmaite partye zboża jednego i tego samego gatunku i dobroci, należące do różnych właścicieli, nie potrzebują być przechowywane osobno, co pozwala na wielką oszczędność miejsca w magazynach i zmniejsza koszta składowe.

Znany nasz kupiec zbożowy, p. Bronisław Werner, tak charakteryzuje przymioty elewatorów w marcowym zeszycie „Ateneum" z r. z.

„Główna zaleta elewatorów polega na szybkości roboty, oraz dokładności i taniości takowéj. Ponieważ budynki stawiane w tym celu mogą być bardzo wysokie, bo koszt podniesienia zboża pod sam dach prawie wcale drożéj nie wypada, niż przeniesienie zboża z jednego punktu na drugi tego samego poziomu, przeto zyskuje się wiele swobodnego miejsca bardzo przydatnego na tory dla wagonów i przystanie okrętowe. Nie mniéj ważną zaletą elewatorów jest taniość przeróbki zboża, gdyż byleby jedna skrzynia była próżna łatwo jest poruszyć wszystko zboże w magazynie będące, przyczem rozpoczyna się robota od warstw najgłębiéj leżących. Łyżki blasza-

(1) R. Meyer „Ursachen der amer. Concur."

ne, osadzone na pasach bez końca, czerpią zboże ze spodu, podnosząc je pod dach, a stamtąd, jak deszcz, spada ono do pustéj skrzyni, każde więc ziarno zosobna musi się znaleść w zetknięciu z powietrzem. Niezależnie od przeróbki za pomocą przesypywania zboża ze skrzyni do skrzyni, istnieje stała wentylacya za pomocą kanałów drewnianych, które przebiegają przez całą szerokość i długość magazynu. Kanały te, ułożone w kształcie długich korytek, dnem do góry obróconych, czerpią powietrze bezpośrednio z zewnątrz budynku. Bywają jednak wypadki częściowego zagrzewania się zboża, lecz trafiają się one nieczęsto i zwykle tylko wśród najskwarniejszych letnich miesięcy, gdy szczelnie zapełniono magazyny nie zupełnie suchem zbożem.“

Oprócz magazynów-elewatorów istnieją w Ameryce elawatory pływające. Służą one do przeładowywania zboża z wagonów na statki wodne, oraz ze statków rzecznych na okręty morskie.

Do jakiego stopnia taniości doprowadzili Amerykanie przy pomocy elewatorów koszta przeładowywania zboża, da nam wyobrażenie to, że za wyładowanie z barki lub wagonu, magazynowanie przez dni 10, ważenie, czyszczenie i naładowanie na okręt płaci się tam przeciętnie 1 $^1/_4$ centa od buszla, czyli zaledwie 9 kopiejek od korca. Koszta te w Rosyi wynoszą podług obliczenia p. Wernera 5 do 10 razy więcéj. Tymczasem przedsiębiorcy amerykańscy przy tak nizkiéj opłacie robią świetne interesa na elewatorach!

W Europie istnieje dotąd bardzo niewiele elewatorów. Największy z nich zbudował przed kilku laty w Peszcie inżynier Miklos Oedön. Koszta budowy tego magazynu wyniosły 2 miliony guldenów czyli rs. 1,600,000, a może on pomieścić 300,000 cetnarów metrycznych zboża (prawie że tyleż korcy).

Z istnieniem opisanych wyżéj śpichrzów łączy się jeszcze jedna ważna dogodność dla fermerów i kupców, a mianowicie kredyt warrantowy. Warrantami, jak wiadomo, nazywają się kwity składowe na złożony w magazynie towar. Otóż pod zastaw takich kwitów na złożone zboże banki depozytowe w Stanach Zjednoczonych wydają pożyczki do wysokości 80 i 90% wartości rynkowéj danego ziarna w danéj chwili. Niedość na tém: kredyt ten można nawet przedłużyć na czas transportu zboża, gdyż i na świadectwa frachtowe, tak zw. *lading bills*, banki amerykańskie równie chętnie udzielają pożyczki, pobierając od nich tak w pierwszym, jak w drugim wypadku zwykłą w danéj miejscowości stopę procentową. Dogodność ta potęguje siły finansowe fermerów i kupców zbożowych i pozwala im w chwilach upadku cen zmniejszać zaofiarowanie i wyczekiwać na poprawę warunków zbytu.

Wróćmy teraz znowu do kosztów przewozu zboża.

Przeciętny fracht od Chicago do New Yorku za buszel pszenicy podług Neumanna-Spallarta wynosił:

	1868	1873	1878	1879	1880	1881
Przez jeziora i kanał Erie .	25,3	19,2	10,1	13,0	13,2	8,6
„ „ i drogą żelazną	29,0	26,9	11,4	13,3	15,7	10,4
Wyłącznie drogą żelazną .	42,6	33,2	17,7	17,3	19,7	14,4

Frachty z r. 1881, skutkiem otwarcia w tym roku kanału Welland, były najniższe, jakie się kiedykolwiek dotąd zdarzyły. W lecie w tym roku kosztował przewóz drogą żelazną, jak już o tém wzmiankowaliśmy, tylko 12½ centów od 100 ℔., czyli 7½ c. od buszla. Od tego czasu koszta przewozu na téj drodze tak wodą, jak koleją cokolwiek się podniosły, a mianowicie w ciągu roku 1881 i 1882 wynosiły koleją przeciętnie 25 centów od 100 ℔., czyli 15 c. od buszla (1) w grudniu zaś 1884 r. dosięgły aż 25 centów od buszla (2); w marcu 1885 spadły znowu do 15 centów (3). Jeżeli więc za przeciętną normę frachtu na téj linii przyjmiemy *10 do 11 centów*, to w żadnym razie nie weźmiemy za wiele, nawet dla saméj drogi wodnéj.

Koszta miejscowe w Chicago, podług Meyera, wynoszą:

1)	Inspekcya i klasyfikacya zboża przez przysięgłych inspektorów 25 centów za *car* = 400 do 450 buszli, czyli .	0,06	centa od buszla
2)	Wyładowanie i naładowanie w elewatorze, oraz składowe za pierwsze 10 dni	1,25	„ „ „
	Za każde dalsze 10 dni 0,5 centa.		
3)	Ubezpieczenie od ognia w elewatorze za ½ miesiąca . .	0,25	„ „ „
4)	Inspekcya przy wyładowywaniu z elewatora.	0,05	„ „ „
5)	Ubezpieczenie na jeziorach.	0,20	„ „ „
	Razem. .	1,81	centa od buszla

Podług rachunku z r. 1884, przytoczonego przez Maryusza Morand w „La crise agricole", koszta przeładowania w elewatorze, wraz z komisowem od sprzedaży wynoszą 3 centy, składowe zaś i inspekcya liczone są przeciętnie na 5 centów, czyli ogółem 8 centów od buszla. Tém niemniéj do obliczenia naszego weźmiemy normę podaną przez Meyera.

---

(1) „Zeitung des Vereins Deutscher Elsenbahn-Verw." N. 9 z r. 1885.

(2) Patrz „Erster Versuch einer Lösung der Elsenbahn - Tariffrage in Russland u s. w." von Fr. Hoch. St. Petersburg, 1885.

(3) „Report on the distribution and consumption of corn and wheat" etc.

Za wyładowanie do elewatora, naładowanie na okręt i 5 do 10 dni magazynowania płaci się w New Yorku, podług Meyera, 1,25 cen. Ogółem więc wszystkie koszta transportu z Chicago do New Yorku wynoszą: przewóz 10 do 11 cen., koszta inne 3 do 4 centów, razem przeciętnie — *14 centów.* Ponieważ linia Chicago - New York dominuje nad wszystkiemi drogami, prowadzącemi z Duluth, Milwaukee, Chicago, St. Louis i t. p. do innych portów atlantyckich i zmusza je ze względu na współzawodnictwo do regulowania taryf podług jéj normy, przeto możemy przyjąć, że oznaczona powyżéj cyfra kosztów transportu jest przeciętną dla wszystkich portów atlantyckich.

Fracht morzem z New Yorku do Londynu ulega bardzo znacznym zmianom w ciągu rozmaitych pór roku. Pomiędzy r. 1875 a 1880 wynosił od $10\frac{1}{2}$ do 24 centów od buszla; w 1880, w styczniu $5\frac{1}{4}$ do 8 cen., w sierpniu $13\frac{1}{2}$ do 17 c. Wogóle, podług Meyera, może być przyjęty na 8 do 10 centów od buszla. Podług Neumanna-Spallarta w roku 1882 czynił przeciętnie 12 szyl. 2 den. od tony długiéj (2240 ℔. avoirdupoids), czyli 8 centów od buszla. W marcu r. 1885 kosztował do Liverpool 6 c., do Glasgowa 7 c., do Londynu $7\frac{1}{2}$ c. (1). Premia ubezpieczenia na morzu wynosiła w tym samym czasie 5% od wartości, a więc przy dzisiejszych cenach około 5 centów od buszla. Ponieważ jednak nie zawsze bywa ona tak wysoka, więc średnio można ją szacować na 3%. Koszta przeładowania i składowego w Londynie, podług członków komisyi rolnéj parlamentu angielskiego, wynosiły w r. 1880-tym $6\frac{1}{4}$ centów od buszla. Dzisiaj prawdopopobnie musiały się zniżyć do jakich 3 lub 4 centów. Razem więc koszta transportu z New Jorku do Londynu wynoszą przeciętnie: fracht 8 do 10 c., ubezpieczenie 3 c., wyładowanie w Londynie 3 do 4 c. = minimalnie *15 centów.* Tym sposobem transport buszla pszenicy od miejsca produkcyi w stanach zachodnich przez Chicago, St. Louis etc., a następnie przez porty atlantyckie do Londynu wynosi ogółem przeciętnie 18 + 14 + 15 = **47 centów**.

Koszta transportu z St. Louis w dół Mississipi przez Nowy Orlean do Europy, obliczał Meyer w r. 1881, przyjmując wszędzie nie przeciętne, ale najniższe cyfry, jak następuje:

Przeładowanie i składowe w St. Louis	2,00	centy od buszla
Przewóz wodą z St. Louis do Now. Orleanu.	5,00	„ „ „
Ubezpieczenie na Mississipi	0,45	„ „ „
do przeniesienia	7,45	„ „ „

(1) „Report on the distribution and consumption of Corn“ etc.

z przeniesienia	7,45	cent. od buszla
Przeładowanie przy pomocy pływającego elewatora w Nowym Orleanie	0,75	„ „ „
Klasyfikacya	0,10	„ „ „
Przewóz z Nowego Orleanu do Liverpool	12,00	„ „ „
Ubezpieczenie na oceanie.	1,65	„ „ „
Przeładowanie w Liverpool, wraz ze stratą w drodze na t. zw. „shortage“, „Schwinden“ (niknienie, wysychanie ziarna).	6,50	„ „ „
Razem.	. 28,45	cent. od buszla.

Cyfra ta na przeciętną dla r. 1881 była o wiele za nizka, a i dziś jeszcze przewóz z St. Louis do N. Orleanu i ubezpieczenie na oceanie kosztuje przeciętnie więcéj, niż liczył Meyer. Ponieważ jednak należy przypuszczać, że koszta przeładowania w Anglii przy pomocy zaprowadzonych już i tam elewatorów, a być może, że i koszta przewozu przez ocean zmniejszyły się cokolwiek, przeto możemy przyjąć cyfrę Meyera za przeciętną dla czasów obecnych. W takim razie koszta transportu buszla pszenicy od fermy przez St. Louis i Nowy Orlean do Anglii wyniosą ogółem $18 + 28\frac{1}{2} = \mathbf{46\frac{1}{2}}$ **centów**, czyli mniéj więcéj tyleż, co przez porty oceanu Atlantyckiego.

Ponieważ przeciętne koszta produkcyi buszla pszenicy w stanach zachodnich obliczyliśmy na 65 centów, koszta transportu na 47 centów, przeto w rezultacie dochodzimy do wniosku, że (abstrahując nawet zupełnie od wynagrodzenia pośredników handlowych, albo przypuściwszy, że ono się już zawiera w otrzymanéj przez nas cyfrze ogólnéj) fermerzy amerykańscy w stanach położonych na wschód od gór Skalistych, *nie mogą bez straty dostarczać swéj pszenicy do Anglii taniéj, jak po 1 dolarze 12 centów za buszel winczesterski*, czyli (licząc średnio 5 dolarów i 10 rs. za 1 funt sterling) około **37 szylingów za quarter**, lub **8 rs. 15 kop. za korzec polski**.

* * *

Ażeby odpowiedzieć na pytanie kwestyonaryusza: „czy kanał Suezki wpłynął na ułatwienie Azyi południowéj i Australii współzawodnictwa na targach europejskich, i o ile ono może rozwinąć się w przyszłości?“—przyjrzyjmy się przedewszystkiém cyfrom ogólnego przewozu towarów przez ten kanał od czasu otwarcia go dla żeglugi do ostatniéj daty, z któréj cyfrę posiadamy (1):

---

(1) Cyfry do téj tablicy wzięte częścią z „Uebersichten“ Neumanna-Spallarta, częścią z „Revue maritime“ N. 8 i 18 z r. 1884.

W roku	Przeszło przez kanał okrętów	Przewiezłono ton	Opłata od tony	Ogólny dochód z opłat za przejście
			f r a n	k ó w
1870	486	435911	?	5159327
1871	765	761467	?	8993733
1872	1082	1439169	?	16407591
1873	1173	2085073	14,00	22897319
1874	1264	2423672	14,00	24859383
1875	1494	2940709	14,00	28886302
1876	1457	3072107	13,50	29974999
1877	1663	3418950	13,00	32774344
1878	1593	3291535	12,50	31098229
1879	1477	3236942	12,00	29686061
1880	2026	4344519	12,00	39985000
1881	2727	5794401	11,50	51274300
1882	3198	7122126	11,00	60320900
1883	3307	8051307	10,50	65847800
1884 (w pierwszéj połowie)	—	—	10,00	34715442

Wiadomo, że kanał Sueski skrócił bardzo znacznie drogę z Azyi i Australii do Europy. Nowa ta droga wszelako przedstawiała z drugiéj strony dwie ważne niedogodności. Najprzód, jakkolwiek przez kanał przechodzić mogą największe okręty, to jednakże morze Czerwone jest tak trudne i niebezpieczne do przebycia dla okrętów żaglowych, że transport tą drogą odbywać się musi prawie wyłącznie na parostatkach, co kosztuje znacznie drożéj. Następnie, koszt ten powiększa jeszcze opłata za przejście kanału. Skutkiem tego początkowo, dopóki opłata była bardzo wysoka, przez kanał mogły być przewożone te tylko towary, które, nie znosząc długiego transportu, posiadają względnie do swéj wagi dość znaczną wartość, by wygórowany fracht nie podniósł nadmiernie ich ceny. Dla wszystkich towarów względnie małéj wartości, a przytém nie łatwo podlegających zepsuciu, ciągle jeszcze korzystniejszym był przewóz drogą dłuższą, ale tańszą. około przylądka Dobréj Nadziei. To téż dopóki opłata nie została obniżona, a konkurencya pomiędzy okrętami żaglowemi i parostatkami nie zredukowała znacznéj normy frachtu na tych ostatnich. dotąd wzrost przewozu przez kanał postępował stosunkowo dość wolno. Dopiero pod działaniem obu tych przyczyn, począwszy od roku 1880, cyfry przewiezionych ton poczęły się podnosić z niebywałą dotąd szybkością, tak, że podczas gdy w ciągu czterech lat od r. 1875 (2.940.709 ton) do 1879 (3.236.942 ton) przyrost wynosił zaledwie 10%, od 1879 do 1883 (8.051.307 ton) wzmógł się o 149%, czyli wykazał chyżość 15 razy większą!

Gdybyśmy posiadali za te same lata dokładne liczby ton, przewiezionych około przylądka Dobréj Nadziei, moglibyśmy łatwo obrachować, o ile ruch na kanale Sueskim ożywił się kosztem drogi dawnéj i o ile wzmógł się dzięki bezwzględnemu wzrostowi handlu wymiennego pomiędzy Europą, a Azyą i Australią. W braku tych cyfr cel powyższy możemy osiągnąć częściowo z następującéj tablicy wartości handlu zewnętrznego angielskich Indyj Wschodnich, przytoczonéj przez Neumanna-Spallarta:

	Ogólna wartość handlu zewnętrznego Indyi angielskich w milionach rupil	Z tego przeszło przez kanał Sueski w milionach rupli			
		Wwóz	Wywóz	Razem	W procen. ogólnego handlu
W roku 1878—79 . . .	1097,8	289,4	244,5	533,9	48,64%
„ 1879—80 . .	1220,7	366,8	263,5	630,3	51,64%
„ 1880—81 . . .	1381,3	477,7	334,3	812,0	58,79%
„ 1881—82 . . .	1435.0	448,9	432,0	880,9	61,39%
„ 1882—83 . . .	1500,0	489,5	444,7	934,2	62,28%

Podług cyfr powyższych ogólna wartość zewnętrznego handlu indyjskiego od r. 1879 do 1883 wzrosła o 402.9 milionów rupii, wartość zaś towarów przewiezionych przez kanał Sueski podniosła się o 400,3 mil. rupii. Wynika z tego, że wartość transportu około przylądka Dobréj Nadziei prawie nie uległa zmianie i że cały rozwój swego handlu zewnętrznego w ostatnich latach zawdzięczają Indye udogodnieniu transportu przez kanał Sueski. Porównawszy daléj cyfry wwozu do Indyi z wywozem, przekonywamy się, że pierwsze w ciągu czterolecia wykazały zwyżkę tylko o 69% (1), kiedy drugie o 82% (2), czyli innemi słowy bilans handlowy Indyi dzięki kanałowi Sueskiemu poczyna się układać dla nich korzystniéj.

Jeżeli teraz przyrost procentowy wartości towarów, przewiezionych w jednę i drugą stronę przez kanał w r. 1883 w stosunku do r. 1879, porównamy z przyrostem liczby przewiezionych ton, wykazanym w tablicy poprzedniéj, to dojdziemy do nadzwyczaj ważnego dla naszych celów wyniku. Mianowicie, widzieliśmy poprzednio, że przewóz przez kanał *w liczbie ton* wzrósł w ciągu zaznaczonych lat czterech o 149%, tutaj zaś wypada nam z rachunku, że *wartość* przewiezionych tą drogą towarów podniosła się w tym samym czasie

(1) Przyrost 200,1 w stosunku do liczby 289,4 = 69,1%.
(2) Przyrost 200,2 w stosunku do 244,5 = 81,8%.

tylko o 75% (1). Wypływa stąd wniosek, że droga przez kanał Sueski staje się coraz bardziéj dostępną dla towarów mniejszéj wartości. Ta to właśnie okoliczność, łącznie z pobudowaniem nowych linii dróg żelaznych, które otworzyły ujście na zewnątrz wewnętrznym rynkom kraju, sprawiła, że Indye w ostatnich latach poczęły odgrywać tak ważną rolę w międzynarodowym handlu zbożowym.

Rozwój dróg żelaznych w Indyach, jakkolwiek nie dorównywa niezmiernéj chyżości postępu w tym względzie w Stanach Zjednoczonych, a nawet ustępuje wielu krajom europejskim, to jednakże podąża naprzód z każdym rokiem, a rząd angielski stara się go usilnie przyśpieszyć. Ogólna długość linii w r. 1870 wynosiła 4767 mil ang.; w 1880 podniosła się już do 8993, w 1881 do 9939, w 1882 do 10144, w 1883 do 10341 mil.

Dowóz pszenicy indyjskiéj do Europy rozpoczął się w r. 1873 (gdy obowiązujące do tego czasu cło wywozowe od zboża zostało zniesione) i wzrastając z początku bardzo szybko, upadł nagle w roku 1878 skutkiem nieurodzaju, lecz znów od r. 1880 olbrzymi wykazał postęp. Oto dokładne cyfry ogólnego wywozu pszenicy z Indyi od roku 1871 do 1883:

W r.	1871—72 (*)	wywieziono centn. ang.	637039
„	1872—73	„ „ „	394010
„	1873—74	„ „ „	1755954
„	1874—75	„ „ „	1069076
„	1875—76	„ „ „	2498185
„	1876—77	„ „ „	5583336
„	1877—78	„ „ „	6340150
„	1878—79	„ „ „	1044709
„	1879—80	„ „ „	2195550
„	1880—81	„ „ „	7444375
„	1881—82	„ „ „	19863520
„	1882—83	„ „ „	14144407

Wywóz z r. 1882/3 rozdzielił się pomiędzy następujące kraje:

Anglia	centnarów ang.	6575160
Francya	„ „	3567712
Belgia	„ „	1458898
Egipt	„ „	799530
Holandya	„ „	578246
Gibraltar	„ „	494098
Włochy.	„ „	176063
Malta	„ „	163358
Aden	„ „	140132
Inne kraje.	„ „	191210
	Razem cetn. ang.	14144407

(1) Przyrost 400,3 w stosunku do 533,9 = 75%.

(*) Rok fiskalny od 1 kwietnia do 31 marca. Cyfry wzięte od Maryusza Morand z „La crise agricole.“

Z tablicy VIII i IX widzieliśmy już, jak pszenica indyjska zdobywała sobie w ostatnich latach na rynku angielskim i francuskim coraz poważniejsze stanowisko, ograniczając import amerykańskiéj. Do jakiego stopnia jednak Indye mogą spotęgować dowóz tego ziarna do Europy określić nadzwyczaj trudno wobec zupełnego braku dokładniejszych wiadomości o rozmiarach produkcyi i konsumcyi tego kraju. Dr. Forbes Watson w raporcie złożonym rządowi angielskiemu w r. 1879 oceniał roczną produkcyą pszenicy w Indyach angielskich na 35 milionów quarterów, w niezależnych zaś państwach Pendżabu, pozostających tylko pod opieką Anglii, na 5 mil. quar. (1), czyli ogółem na 40 mil. quar.=330 mil. buszli amer. Stany Zjednoczone w owym czasie produkowały już przeszło 400 milionów buszli. W r. 1883, w nowym raporcie do rządu brytańskiego, major Baring utrzymuje, że przestrzeń ziemi obsiewana pszenicą w całych Indyach może być oszacowana na 21 milionów akrów. Zbiór z akra waha się od 8 do 13½ buszli angielskich (2), przeciętnie zaś ma wynosić 11½ buszli. Opierając się na téj podstawie, cały zbiór przeciętny w Indyach oznacza autor przypuszczalnie na 241½ mil. buszli ang., czyli 249 mil. buszli amer. (3). Cyfra ta jest już o wiele skromniejsza od przyjętéj przez pierwszego sprawozdawcę. Tymczasem produkcya pszenicy w Stanach Zjednoczonych dosięgła już naówczas 500 mil. buszli, a więc ilości dwa razy większéj. Wprawdzie p. Watson twierdził, że Indye mogą w krótkim czasie produkcyą swoją podwoić, ale do tego potrzeba by było jedne okolice osuszyć, w innych zaprowadzić sztuczne nawodnienie, a wszystkim otworzyć zbyt przy pomocy nowych linii dróg żelaznych i kanałów. Wszystkiego zaś tego przytrudno byłoby dokonać w „krótkim czasie.“ Wreszcie, znaczenie zbożowéj konkurencyi indyjskiéj będzie zawsze poniekąd osłabiała okoliczność, że w kraju tym prawie regularnie co lat kilka zdarzają się susze, wywołujące głód i drożyznę. Tak np. w ciągu ostatnich dwu dziesiątków lat miało to miejsce w r. 1861/2, 1865/6, 1868/9, 1873/4 i 1878/9 (4).

O konsumcyi pszenicy w Indyach wiemy bardzo nie wiele. Wiadomo tylko, że ludność ich wynosi dzisiaj co najmniéj 250 milionów (5), a jakkolwiek ogromna jéj większość, złożona z nędzarzy,

---

(1) Cytowane u Neumanna-Spallarta.

(2) Buszel ang. (imperial bushel) jest cokolwiek większy od amerykańskiego (winchester bushel), tak, że 32 b. ang.=33 b. amer.

(3) Patrz „Revue-gazette maritime et commerciale“ N. 8 z r. z.

(4) Patrz „Ubersichten...“ Neumanna—Spallarta rocznik za r. 1881 i 2.

(5) Podług „Statistical abstract for India“ z r. 1877/8 wynosiła 240,258,143, z czego na posiadłości angielskie przypadało 191 mil., na państwa niezależne 49 mil. (Rocznik statystyczny Blocka za r. 1883).

zarabiających zaledwie po kilkanaście centymów dziennie, żywi się wyłącznie prosem i ryżem, to jednakże część jéj lepiéj uposażona zdolna jest przy spadających cenach pszenicy powiększyć bardzo znacznie spożycie tego ziarna, zwłaszcza, że z biegiem rozwoju ekonomicznego Indyj, wywołanego ulepszeniem środków komunikacyi, i dobrobyt rozlewać się musi na szersze warstwy (1). Jedna z poważnych gazet indyjskich, w artykule cytowanym przez *Report of the area of winter grain*, zapewnia, że ceny miejscowe pszenicy w Indyach nie są bynajmniéj wyłącznie zależne od cen europejskich, gdyż jeżeli tylko spadną na głównych rynkach wewnętrznych niżéj 1 rupii za 20 seerów (20½ do 22 szylingów za quarter), znaczny wzrost spożycia miejscowego powstrzymuje dalszy ich upadek. Zdanie to potwierdzają przytoczone przez gazetę ceny z miesiąca stycznia roku 1884 i 1885 r. W styczniu bowiem r. 1885 w głównych portach wywozu zboża pszenica notowana była: w Kalkucie 16 seerów za rupią (czyli, licząc rupię po średnim kursie 20½ pensów (2), *26 szyl. 8 pensów za quarter*), w Kurrachee 15 s. (*27 szyl. 5 p. za qu.*), w Bombay 12 s. (*34 szyl. 3 p. za quarter*). Ponieważ zaś koszta transportu z tych portów do Londynu wynosiły naówczas od 7½ do 10 szyl. od quartera (3), więc żeby dowóz pszenicy do Anglii kupcom indyjskim się opłacił, musiałaby cena w Londynie stać co najmniéj od 36 do 42 szyl., tymczasem w rzeczywistości płacono naówczas na tym rynku przeciętnie tylko po 32½ szyl. za quarter (4). To téż, jak konstatuje gazeta indyjska, upadek cen w Anglii w r. 1884 powstrzymał znacznie dowóz do niéj pszenicy indyjskiéj.

Według wzmiankowanego wyżéj raportu biura statystycznego w Waszyngtonie, „ostatnie urzędowe sprawozdanie roczne o handlu

---

(1) Porównać zdania w tym względzie członka ostatniéj komisyi głodowéj indyjskiéj, deputowanego Jamesa Cairda, cytow. przez Eug. Risler w „La crise agricole en France et en Angleterre“ (Revue des deux mondes, zeszyt z 1 lutego 1885). Caird powątpiewa, żeby pszenica indyjska mogła kiedykolwiek przybywać *stale* na rynki europejskie w ilościach wielkich i po cenie niższéj, niż amerykańska.

(2) Nominalnie 1 rupia=22 pensy.

(3) Mianowicie fracht morski wynosił w pierwszéj połowie r. 1884, (kiedy wszyscy właściciele okrętów żalili się, że ponoszą znaczne straty) 28,75 do 43,75 fr., czyli przeciętnie 36,50 fr., od tony=6½ szyl. od quartera (Revue maritime N. 18 z r. 84). Koszta przeładowania w Kalkucie, według Maryusza Morand, czynią 0.20 fr., ubezpieczenie na morzu 0,30 fr. razem 0,50 fr. od 100 kgr.=około 1 szyl. od quartera. Koszta przeładowania w Londynie oznaczyliśmy poprzednio na 3 centy od buszla, czyli również 1 szyl. od quar. Ogółem więc przeciętny koszt transportu z portów indyjskich do Europy, wynosi co najmniéj 8½ szyl. od quartera.

(4) William Fowler. *The present low prices and their causes*, w zeszycie kwietniowym *The contemporary rewiew* z r. 1885.

indyjskim mówi, że handel pszenicą indyjską musi zawsze mieć charakter bardzo niepewny i zmienny. Prowadzenie go na szeroką skalę zależy od współdziałania czterech następujących warunków: 1) bogatych zbiorów w Indyach, 2) mniéj niż przeciętnych urodzajów w Stanach Zjednoczonych i Europie, 3) nizkich frachtów i 4) nizkich kosztów handlowych (*low rates of exchange*). Gdy wszystkie te warunki razem się zejdą, Indye mogą dostarczyć tak wielką ilość pszenicy na rynki spożywcze, że zadziwią swoją zdolnością produkcyjną wszelkie oczekiwania, lecz gdy którykolwiek z tych warunków zawiedzie, skala zysku—będąca zawsze w najlepszym nawet razie tak małą (*which is so slender at the best*), że kupcy muszą prowadzić interesa bardzo rozległe, żeby wyjść na swoje—upada, i handel może być prowadzony wtedy jedynie tylko dla zadośćuczynienia zobowiązaniom, lub z powodu nieuniknionéj potrzeby monety dla płacenia za towary, wwożone do Indyj.“ W r. 1884, dodaje autor amerykański od siebie, drugi z wymienionych czynników (złe urodzaje w St. Zjed. i Europie) zawiódł, ceny były w Europie niższe, niż przed stoma laty, jednakże w Indyach nie upadły w równym stopniu, chociaż zapewniano na podstawie obliczeń pozytywnych, że Indye mogą produkować pszenicę taniéj, niż Stany Zjednoczone. O prawdzie tego twierdzenia autor stanowczo powątpiewa i ostatecznie przyjmuje za fakt, „że Indye w obecnych okolicznościach nie mogą sprzedawać (w Europie) swéj pszenicy z zyskiem po 37 szylingów za quarter.“ (*The fact remains that India in present circumstances cannot afford to sell her wheat with profit for the price of 37 shillings per quarter*.“ Podobnież obliczała w r. 1884 gazeta marsylska *Sémaphore*, że producenci indyjscy mogą dostarczać pszenicę z dostatecznym zyskiem na położone w średniéj odległości od portów wywozu rynki wewnętrzne po 18½ szylingow za quarter, lecz że „transport z tych rynków do Europy kosztuje, *co najmniéj* drugie tyle i *dlatego ceny europejskie regulują wywóz z Indyj angielskich* (1).“

Ze wszystkiego więc, cośmy wyżéj powiedzieli, wnosić należy, że Indye Wschodnie nie są w możności przy obecnych warunkach dostarczać swojéj pszenicy w wielkich ilościach na rynki europejskie, jeżeli cena na nich spada niżéj 37 szylingów za quarter.

Co do Australii, to podług Maryusza Morand koszta robocizny są w niéj co najmniéj równe, jeżeli nie wyższe jeszcze, niż w Stanach Zjednoczonych, koszta transportu również wyższe, nie można więc przypuszczać, żeby ta część świata mogła dostarczać zboże taniéj, niż Ameryka.

---

(1) Cytowane w *Revue-gazette maritime et commerciale* N. 8 z r. 1884.

Ogólna produkcya kolonii angielskich w Australii w r. 1882/3 przedstawiała następujące cyfry:

		Zbiór ogólny.		Zbiór z akra.
Victoria	buszli	8,751,454	przeciętnie buszli	9,03
Nowa Walia południowa . .	„	4,042,395	„	16,35
Queensland	„	145,752	„	13,89
Zachodnia Australia	„	7,356,117	„	4,21
Południowa Australia . . .	„	249,900	„	11,00
Tasmania	„	946,889	„	20,37
Nowa Zelandia	„	10,270,591	„	26,28
	Razem buszli	31,763,098	przeciętnie buszli	9,25

Widzieliśmy już w tablicy VIII, że dowóz pszenicy australskiéj do Anglii jest jeszcze bardzo niestały i stosunkowo szczupły. Cyfry ogólnego wywozu ze wszystkich wymienionych wyżéj kolonii nie mają w sobie dotąd również nic groźnego:

W r. 1873/4	buszli	17,971,921	1877/8	buszli	26,025,360
„ 1874/5	„	21,229,806	1878/79	„	26,041,482
„ 1875/6	„	21,543,915	1879/80	„	31,568,928
„ 1876/7	„	18,654,527	1880/81	„	29,675,899

* * *

Co do prawdopodobnego wpływu przekopania międzymorza Panama na targi europejskie i produkcyą wywozową północnéj Ameryki, to będzie on przedewszystkiém zależał od tego, czy przyszły kanał będzie dostępny dla wielkich okrętów morskich i jak wysokie będą opłaty za przejście. Przeciwnicy amerykańscy tego przedsięwzięcia utrzymywali, że z drogi téj stanowczo nie będą mogły korzystać okręty żaglowe, z powodu zupełnéj ciszy panującéj na morzu Karaibskiem na przestrzeni 1,500 do 1800 mil na wschód od międzymorza. Senator Windom w swojéj mowie na korzyść projektu inżeniera Eads'a zbudowania drogi żelaznéj dla okrętów przez międzymorze Tehuantepec powoływał się na poparcie powyższego zdania na pierwszorzędne powagi w tym względzie (1). Gdyby rzeczywiście tak było i kanał Panama był tylko dostępny dla statków parowych, to zmniejszyłoby to znacznie korzyść ze skrócenia drogi dla towarów małéj wartości gatunkowéj.

Wysokość opłat za przejście przyszłego kanału przewidzieć dziś trudno. Wielkie koszta przekopania (dojdą one zapewne co najmniéj do 700 lub 800 milionów franków, kiedy kanał Sueski do roku przeszłego pochłonął ogółem tylko 500 mil fr.), nakazywałyby przypusz-

(1) Meyer, *Ursachen der amer. Konkurrenz.*

czać, że taksa nie będzie bardzo nizka. Z drugiéj jednakże strony współzawodnictwo z innemi drogami, a zwłaszcza z kanałem Suezkim, nie pozwoli jéj zbyt wygórować. Kanał Panama bowiem skróci dość znacznie dzisiejsze drogi pomiędzy Azyą wschodnią i Australią, a Europą i Ameryką. Tak np. najkrótsza dziś droga przez kanał Sueski pomiędzy New-Yorkiem a Yokohamą zmiejszy się przez kanał Panamski o 6.250 kilometrów, czyli o 29%, pomiędzy New-Yorkiem a Hong-Kong—o 893 km., czyli o 4,9%. Najkrótsza droga około przylądka Horn pomiędzy New-Yorkiem a Melbourne zredukuje się o 4,225 km.=20%, między New-Yorkiem i Auckland o 4,670 km., czyli o 24%. Linia Liverpool-Auckland będzie przez Panamę krótsza o 1,851 km. (9%), niż przez Suez, i o 815 km. (4,2%), niż około przylądka Horn (1). Ażeby okręty z tych linij zwrócić ku kanałowi Panama, akcyonaryusze jego obniżą zapewne opłaty dla nich do możliwego minimum. Należy jednak przypuszczać, że zaprowadzą taksy różnicowe: nizkie dla okrętów, mających wybór pomiędzy kilkoma drogami i wyższe dla nie cieszących się tym przywilejem.

Pierwszym wnioskiem, jaki się wysnuwa z powyższych danych, jest ten, że otwarcie kanału Panama spowoduje przedewszystkiém obniżenie opłaty na kanale Sueskim dla okrętów, płynących z Japonii, Chin i Australii, a jeżeli, jak się spodziewać należy, zarazem i na kanale Panamskim zaprowadzona dla nich zostanie odpowiednio nizka taksa, to koszta transportu z tych ziem znacznie się zmniejszą. Dla rolnictwa europejskiego sprowadzi to przedewszystkiém ten skutek, że Australia rozszerzy zapewne swą produkcyą zboża i, obniżywszy jego ceny, wystąpi jako silny współzawodnik Stanów Zjednoczonych i Indyj Wschodnich.

Ażeby przewidzieć, jaki wpływ kanał Panamski wywrze na produkcyą wywozową zachodniego pobrzeża Ameryki północnéj, musimy poznać dzisiejsze warunki eksportu z tych krajów. Wiemy już, że z pomiędzy nich obecnie wywozi znaczne ilości pszenicy Kalifornia (około 35 milionów buszli) i Oregon (około 11 mil. b.). Koszta produkcyi w Kalifornii są podług Meyera niższe, niż w dolinie rzeki Mississipi, podług Semlera mniéj więcéj takie same. Ponieważ Meyer swego twierdzenia dokładnie nie uzasadnia, więc trudno wiedzieć, kto z tych dwu autorów ma słuszność. Jak już mówiliśmy w swojem miejscu, w Kalifornii przeważają latifundia, produkujące dzięki szerokiemu zastosowaniu maszyn i oszczędności na budowlach, ogrodzeniu itp. taniéj. Ziemia przytém jest tam urodzajniejsza, lecz za to cena jéj znacznie wyższa i robotnik droższy. W każdym razie po-

(1) Neumann-Spallart. *Uebersichten der Weltwirthschaft* za rok 1881/2.

nieważ Oregon, terytoryum Waszyngtona i pobrzeże Kanady, w których otwarcie kanału Panama wywoła zapewne znaczne wzmożenie się produkcyi zbożowej, nie cieszą się już takimi przywilejami pod względem urodzajności ziemi i przymiotów klimatu, jak Kalifornia, więc sądzę, że na przyszłość przeciętnych kosztów produkcyi dla wszystkich tych ziem nie można liczyć niżéj, niż dla doliny Mississipi. Obecnie jeszcze być może, że są one cokolwiek tańsze. Oznaczmy je mniéj więcéj na 60 centów za buszel ($20^1/_3$ szyl. za quarter). Koszta transportu buszla pszenicy od fermy do portu, wynoszą, podług Meyera, przeciętnie 9 centów od buszla; koszt worków skórzanych, w które pszenica ze stanów oceanu Spokojnego musi być na wywóz do Europy pakowana, wypada około 4 centów na buszel. Fracht morzem około przylądka Horn do Anglii waha się bardzo znacznie, bo podobno od 27 do 82 szyl. za tonę, przeciętnie liczy Meyer 55 szyl. za tonę. Ubezpieczenie na morzu średnio 2%. Wszystkie więc te koszta razem, po dodaniu do nich 3 centów za przeładowanie w Londynie, dadzą 54 centy od buszla. Tym sposobem w ostatecznym wyniku tego obliczenia, dochodzimy do przekonania, że i Kalifornia dzisiaj nie może bez straty dostarczać swéj pszenicy do Europy taniéj, jak po 1 dol. 14 centów za buszel, czyli około 38 szyl. za quarter. Wobec tego mamy wszelkie prawo przewidywać, że dopóki kanał Panama nie zostanie otwarty (ma to nastąpić z początkiem r. 1889), ceny zboża na rynku międzynarodowym po wyczerpaniu dawnych zapasów muszą się podnieść co najmniéj do jakich 37 szyl. za quarter pszenicy (około rs. 8,15 kop. za korzec). Po nad tę cyfrę jednak na dłuższy czas mogłyby podskoczyć tylko w razie nieurodzaju w Indyach Wschodnich, gdyż inaczéj kraj ten byłby w możności dostarczyć wielkie ilości ziarna na rynek i obniżyć znowu cenę.

Obliczmy teraz w przybliżeniu, o ile taniéj stany oceanu Spokojnego będą mogły dostarczać swoję pszenicę po przekopaniu międzymorza Panama, przypuściwszy, że wszystkie inne koszta za wyjątkiem frachtu morskiego pozostaną bez zmiany, a odpadnie tylko jeszcze koszt worków, gdyż drogą przez kanał prawdopodobnie będzie mogło zboże być przewożone bez upakowania. Wiemy, że fracht morski z New-Yorku wynosi przeciętnie 8 centów, z Nowego Orleanu 12 centów od buszla, z San Francisco więc wypadnie zapewne co najmniéj 18 do 20 centów. Opłata za przejście przez kanał Sueski oznaczona jest obecnie na 10 franków od tony, w pierwszych zaś latach po otwarciu téj drogi wynosiła 15 franków i więcéj, niepodobna więc przypuszczać, żeby na kanale Panama ustanowiono dla krajów Ameryki północnéj opłatę niższą nad 10 do 12 franków od

tony, czyli $3\frac{1}{2}$ do 4 centów od buszla. Ogółem więc przypuszczalne przeciętne koszta produkcyi i dostawy pszenicy ze stanów oceanu Spokojnego do Anglii po otwarciu kanału Panama wynosić będą $60 + 9 + 19 + 2 + 3\frac{1}{2} + 3 = 96\frac{1}{2}$ centów za buszel, czyli **$32\frac{1}{2}$ szyl. za quarter (rs. 7, 15 kop. za korzec)**. Zdaje się, że jest to najniższa cyfra, do jakiéj przeciętne ceny pszenicy pod wpływem zmniejszenia kosztów transportu przez przekopanie międzymorza Panama na rynku angielskim na czas długi spaść mogą. Chwilowo naturalnie, dopóki stosunek produkcyi do konsumcyi mniéj więcéj się nie ureguluje, zniżka może być o wiele znaczniejsza.

* *

*

Zastanówmy się teraz, jakich cen, wobec powyższych przewidywań, możemy się spodziewać w przyszłości na rynku naszym i co by należało zrobić z jednéj strony dla ich podniesienia, z drugiéj dla zmniejszenia kosztów produkcyi.

Zboże nasze, podług wiadomości dostarczonych T-stwu pop. przem. i handlu przez p. B. Wernera w odpowiedzi na postawione przezemnie pytania, wywozi się z Królestwa kolejami: na Szląsk pruski i austryacki, do Czech, do Gdańska i Torunia,—wodą: do Gdańska i Berlina. Handel tranzytowy prowadzi się głównie przez Gdańsk, w części przez Królewiec. Bezpośrednich stosunków tutejsi kupcy z krajami zamorskimi nie mają, lecz niejednokrotnie stosunek jest bezpośredni z eksporterami gdańskimi,—w przeważnéj zaś części konsygnują zboże komisyonerom gdańskim i królewieckim.

Koszt przewozu z Warszawy do Gdańska *wodą* wynosi zwykle 6 talarów od łasztu, czyli około 5 kop. od puda,—*koleją* około $11\frac{1}{2}$ kop. od puda.

Koszt przewozu z Gdańska do Londynu wynosi $1\frac{1}{2}$ szylinga od 500 funtów angielskich, co stanowi około 35 kopiejek od naszego korca (koszt ten jest niezwykle nizki obecnie).

Koszt miejscowy w Warszawie, licząc w to najem śpichlerza, przeróbkę, asekuracyą, naładowanie do berlinki, wynosi od 25 do 30 kop. od korca, komisowe bez zaliczenia, przyjąć można przy partyach na 1%; jeśli na zboże dane zaliczenie—$1\frac{1}{2}$% do 2%.

Koszta miejscowe w Gdańsku wynoszą: wynagrodzenie komisyonera 6 marek od tony, czyli 30 kop. od korca; wynagrodzenie eksportera około 4—5 marek od tonny, czyli od 20—25 kop. od korca; najem śpichlerza w Gdańsku 40 fenigów od tonny i miesiąca, czy-

li 2 kop. od korca; przeróbka 2—4 kop. od korca, asekuracya 4—5 per mille.

Przeciętne więc koszta transportu korca zboża z Warszawy do Londynu wypadają, jak następuje:

Przewóz z Warszawy do Gdańska od 30 do 69 kop.	50	kop.
„ z Gdańska do Londynu	35	„
Koszta miejscowe w Warszawie	27½	„
Komisowe 1½% od 6 rs.	9	„
Eksporter w Gdańsku	22½	„
Komisyoner w Gdańsku	30	„
Najem śpichl., przeróbka i asekuracya w Gdańsku . .	8	„
Razem	Rs. 1, 82	kop.

Do sumy téj dodać należy jeszcze, jakeśmy to wszędzie czynili poprzednio, na koszta miejscowe w Londyie 20 kop., a otrzymamy jako przeciętny koszt transportu z Warszawy do Londynu okrągło rs 2.

Koszt ten znacznie by się zmniejszył, gdybyśmy zboże nasze sprzedawali wprost do Anglii, Belgii i Skandynawii, bez pośrednictwa kupców niemieckich. Mogłoby zaś to mieć miejsce jedynie w takim razie, gdybyśmy na dolnym biegu Wisły posiadali magazyny, w których mozna by było gromadzić znaczne partye zboża i sprzedawać je na podstawie próbek kupcom wymienionych krajów „franco bord" w Gdańsku. Wtedy zamiast płacić za pośrednictwo komisyonerowi i eksporterowi gdańskiemu 50 do 55 kop., ponosilibyśmy tylko około 2 marek kosztów od tony, czyli około 10 kop. od korca za oddanie pszenicy z berlinek, lub wagonów na okręt. Tym sposobem oszczędzilibyśmy na korcu co najmniéj 40 do 45 kop. Zanim jednakże na zbudowanie podobnych magazynów się zdobędziemy. nie możemy oczekiwać na rynku warszawskim cen przeciętnych wyższych nad rs. 6 do 6.50 za korzec pszenicy, a za lat 4, lub 5 i ta niewysoka cyfra może spaść jeszcze niżéj o jakiego rubla. Wobec tego smutnego dla ziemian naszych przewidywania, muszą się oni koniecznie postarać o zmniejszenie kosztów produkcyi zboża. W szczegóły techniczne w tym względzie, jako niespecyalista, wdawać się nie mogę, lecz zwrócę tylko uwagę na nieodzowną potrzebę dostarczenia rolnictwu naszemu taniego kredytu na kapitał obrotowy, gdyż główną przyczyną, wpływającą u nas na nadmiernie wysokie, w stosunku do ceny ziemi i robotnika, koszta produkcyi, są lichwiarskie procenty, płacone przez większość rolników wierzycielom. Zbudowanie wzmiankowanych magazynów zbożowych od-

dałoby i w tym względzie niemałą przysługę, gdyż umożliwiłoby zaprowadzenie kredytu warrantowego (1).

---

(1) Oprócz dzieł wymienionych w dopiskach korzystałem w pracy niniejszej z następujących źródeł:

H. Gerdolle. *La crise agricole et les sociétés d'agriculture* Leipzig, 1884.

Léon Maudult. *La crise de l'agriculture et les moyens de l'atténuer*. Paris, 1885.

Droz. *Die landwirthschaftliche Krisis. Ihre natürlichen, legislativen, socialen und individuellen Ursachen und Vorschläge zur Abhülfe*. Aarau, 1884.

Puyer Quertier. *Discours sur la crise agricole*.

Alex. Peez. *Die amerikanische Concurrenz*. Wien, 1881.

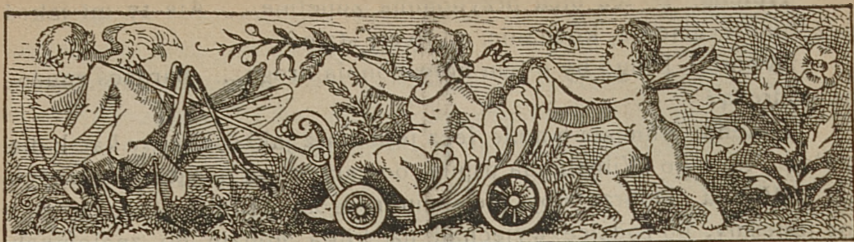
Rodolph Meyer. *La crise internationale de l'industrie et de l'agriculture*. Berlin, 1885.

Reports of the assistant commissioners. Presented to both Houses of Parliament by command of her Majesty. London 1880 i 1882.

Re port from her Majesty's commissioners on agriculture Presented to etc. London, 1882.

Władysław Wścicklica.





WANDA.

OBRAZEK DRAMATYCZNY W I^nym AKCIE.

OSOBY:

WANDA.
HELENA, jéj przyjaciółka.
KAROLEK, jéj syn
FRYDERYK.
MARYSIA, służąca.
WILHELMINA, plastunka.

Rzecz dzieje się w Poznaniu.

Scena przedstawia pokój bawialny, gustownie umeblowany — fortepian, kwiaty wazonowe i w bukietach, na stołach książki i dzienniki.

SCENA I.

Wanda (*sama, wstaje od fortepianu i przechodzi się parę razy po pokoju, poczém staje, a skloniwszy głowę na ręku, mówi wzruszonym, przytłumionym głosem*): Boże mój! co się dzieje ze mną?!.. Więc ja kocham go!?... Tak, na cóż się zda ukrywać to dłużéj przed sobą. (*Z rozpaczą*): Biedneż, biedne serce moje!...

SCENA II.

(Taż, MARYSIA, potém HELENA, KAROLEK i WILHELMINA).

Marysia (*wbiega żywo wołając*): Panienko, panienko! jacyś goście (*wybiega*).

Wanda (*podchodząc ku drzwiom, w których spotyka się z Heleną*). Helenka!.... (*rzucają się sobie w objęcia*).

Helena. Wandziu! aniołku mój, jakże mi się miewasz?

Wanda. A ty Helenko.... co się z tobą dzieje, czemu tak dawno nie pisałaś do mnie? — ja dziś więcéj niż kiedy potrzebuję przyjaźni twojéj! (*spostrzegając dziecko*). Cóż za śliczny chłopczyk, to zapewne twój jedynak, — nie spostrzegłam go odrazu (*ściska go*). Ślicznota moja! Ale całkiem niepodobny do ciebie, typ obcy.

Helena. Bo też ojca przypomina zupełnie.... Ale ty mi jakoś mizernie wyglądasz, kochanie, co to się stało?

Wanda. Długo by o tém mówić moja droga.... Bardzoś znużona podróżą?

Helena. Mniejsza o mnie, lecz jeśli masz jaki spokojny kącik dla małego, toby go Wilhelmina uśpiła, bo całą drogę ocząt nie zmrużył.

Wanda. Dobrze moja Heleńciu, rozgość się tu tymczasem—same jesteśmy, bo rodzice wyjechali na kilka godzin do znajomych (*bierze dziecko za rączkę*) Pójdziesz ze mną Karolku? — jakie śpiące biedactwo! (*wskazując wzrokiem Wilhelminę*) Niemka?

Helena. Niemka, nie rozumie nawet po polsku.

Wanda. Fräulein Mina. gehen Sie mit mir. (*Wychodzą, ode drzwi jeszcze Wanda zwraca się do Heleny*): A może on głodny.

Helena. Nie Wandzieczko, jedliśmy obiad na stacyi.

Wanda. Powrócę za chwilę (*wychodzą*).

SCENA III.

(Helena sama, potém Wanda).

Helena (*po wyjściu Wandy siada na kanapce i opiera się wygodnie o poduszki*). Co się jéj stało, wygląda tak jakoś niezwyczajnie, niemal tragicznie: pobladła, oczy ma podkrążone, a śliczniejsza jak kiedy. Założyłabym się że zakochana; przyszła kréska na Matyska,— tak, tak.... ciekawam tylko, kto jest ów wybrany.... (*zamyśla się, po chwili wchodzi Wanda*).

Wanda (z *odcieniem łagodnéj wymówki*). Dlaczego, Helenko, Niemce powierzyłaś swego jedynaka?!

Helena (*trochę zmieszana*). Niema lepszych i wierniejszych nianiek jak Niemki, wierz mi, — wreszcie mąż mój życzył sobie tego.... (*chwila milczenia*).

Wanda. Opowiedz-że mi teraz, moja Helenko, co się z tobą działo przez te kilka tygodni, w których zaprzestałaś pisywać do mnie. Przypuszczałam już najokropniejsze rzeczy, a nie miałam sposobu dowiedzenia się o tobie, nie znając adresu.

Helena. Jakto, czyżbyś nie odebrała mego ostatniego listu?

Wanda. Żadnego listu nie odebrałam. Ostatni był ten, gdzie mi donosisz, że zmieniacie mieszkanie i obiecujesz donieść wkrótce o nowém.

Helena. Tak też zrobiłam i nie rozumiem doprawdy, co się stać mogło z moją epistołą... Chybabym przez roztargnienie położyła niedokładny adres....

Wanda (*z uśmiechem*). Przypuszczenie bardzo prawdopodobne, nie potrafiło mnie jednak zadowolnić.

Helena. Nic zatém nie wiesz o naszéj wielkiéj podróży, w któréj twoja przyjaciółka kąpała się jak rybka w wodzie, w najmilszych dla siebie wrażeniach. Ach mówię ci, niema piękniejszego kraju nad Szwajcaryą, zwłaszcza gdy go możesz podziwiać w towarzystwie ukochanego człowieka Cudna, czarująca przyroda górska silniéj każe uderzać sercu, a w téj rozkosznéj atmosferze piękna, każdy upajający powiew wietrzyka zdaje się szeptać: kochaj... kochaj... kochaj... Żebyś miała dokładne wyobrażenie o téj wycieczce, wystarczy gdy ci powiem, że przypomniały mi się pierwsze miodowe miesiące naszéj miłości, kiedy to czułam owo wielkie, niezrównane szczęście, jakie dać nam może jedynie nieograniczona, nic prócz ukochanego przedmiotu nie widząca miłość. Ach! moja Wandziu, chętniebym ci opowiadała szczegół po szczególe, wszystkie wrażenia, jakich dostarczyć może Szwajcarya, lecz czuję, że za wiele by mi to czasu zabrało.

Wanda. Czy myślisz, że tak prędko puszczę cię od siebie?

Helena. Moja pieszczotko, jutrzejszym rannym pociągiem muszę wracać do domu; inaczéj, (*z rozkosznym uśmiechem*) pan mój na śmierć zatęskni się za mną,—już i tak chmurzył mi się trochę, że go dobrowolnie porzucam na parę dni dla ciebie.

Wanda. Strasznie, jak widzę, rozpieściłaś swego męża.

Helena. Potrafisz i ty to samo! Niech tylko serduszko żywiéj poruszać się zacznie, obaczysz, co to za szczęście! Lecz bodaj czy ty już nie wiesz coś o tém, prawda? (*przytula ją do siebie i patrzy filuternie w oczy*).

Wanda (*z wybuchem*). Moja Helenko, jam bardzo nieszczęśliwa.

Helena. Nieszczęśliwa? jakto, czyżbyś... nie miała wzajemności?... niepodobna!...

Wanda. Och, są rzeczy stokroć nad nią straszniejsze! Lecz jakże ja ci to wytłómaczę? Ty mnie już może zrozumiéć nie jesteś w stanie! obrazić cię nawet może, co ja mówić będę.... A jednak posłuchaj, bo czuję, że oszaleję chyba, jeśli dłużéj tłumić w sobie będę tę walkę sprzecznych uczuć, które mną władną. Wiesz dobrze, że dotąd nie kochałam żadnego mężczyzny...

Helena. Nigdy się temu dość nadziwić nie mogłam, znając usposobienie twoje i serce skłonne do uczuć nadzwyczajnych: przepowiadałam ci też zawsze, jak pewno przypominasz sobie, że równie gorąco jak dziś rodzinę i swoje piękne ideały, pokochasz kiedyś jakiego szczęśliwego wybrańca. I zdaje mi się, że przepowiednie moje iścić się już zaczynają, nie widzę tylko powodu....

Wanda (*przerywając*). A jeśli to nowe uczucie staje w sprzeczności z dawnemi i zmusza do zrobienia wyboru?...

Helena. Pytanie twoje jest dla mnie ogólnikiem, na który również ogólnikiem tylko odpowiedzieć bym ci mogła. Opowiedz mi historyą swéj miłości (bo widzę, że o nią tu chodzi), a jeśli rada starszéj i doświadczeńszéj przyjaciółki przydać się na co może, postaram się dać ci jak najlepszą.— Jakże to zatém było?

Wanda. Przypominasz sobie może, gdyż donosiłam ci o tém, że w zeszłym roku w jesieni poznałam na imieninach u państwa Buchholtz młodego człowieka, doktora filozofii z Berlina.

Helena. Owego pana Fryderyka? Pamiętam, że wyrażałaś się o nim bardzo sympatycznie.

Wanda. O czém jednak nie mówiłam ci nigdy, to, że wspomnienie jego, pomimo a nawet wbrew méj woli, prześladowało mnie odtąd nieustannie we śnie i na jawie. Znasz mnie, egzaltowaną nie jestem i zawsze się staram posiadać świadomość własnych uczuć, to téż ta przedłużająca się choć niczém niepodsycana sympatya, zaczęła mnie wkońcu niepokoić i dołożyłam wszelkich starań, by ten natrętny obraz wyrzucić z pamięci. Silna wola dużo może, — życie czynne, któremu się prawie gorączkowo oddałam, dopomogło mi do osiągnięcia celu, a i czas był mi dzielnym sprzymierzeńcem... Ślad jedyny w tém tylko chyba pozostał, że mimo najszczerszéj chęci nie mogłam w sobie obudzić większéj życzliwości dla żadnego z dwóch starających się o mnie panów, którzy w tym właśnie czasie, niezrażeni chłodném obejściem, oświadczyli się o moję rękę. Odmówiłam obu, ku niemałemu zmartwieniu poczciwych rodziców — tego jednak przemódz na sobie nie mogłam. Związek z człowiekiem obojętnym uważam za czyn nieuczciwy i niemoralny, postanowiłam zatém czekać aż moje młode serce znowu się o swoje prawa upomni....

Helena. Tymczasem....

Wanda. Pewnego dnia wstawszy raniéj niż zwykle, prosiłam mamy, abyśmy korzystając z prześlicznéj pogody, poszły do ogrodu odetchnąć nieco chłodném powietrzem poranka. Przeszedłszy kilka ulic, siadłyśmy spocząć na jakiéjś ustronnéj ławeczce... cisza była zupełna, bo miasto spało jeszcze, — mama kończyła pacierz poranny, ja byłam dziwnie czegoś rozrzewniona, lecz spokojna. Zadumałam się, łza nawet jakaś zabłąkała mi się do oka.... ale po chwili podniosłam głowę i chciałam się uśmiechnąć, gdy nagle wzrok mój spotkał się z tém wejrzeniem, którego tak długo zapomnieć nie mogłam; — o kilka kroków przedemną stał on i w téj chwili widząc się spostrzeżonym, zaczął nas witać z tak szczerą radością, jakbyśmy nieraz jeden widzieli się w życiu...

Helena (*żywo*). I cóż ty na to?

Wanda. Ja byłam tak oszołomiona i przerażona niemal tém niespodziewaném spotkaniem, że słowa przemówić nie mogłam; lecz mama za to wypytywała go, co porabia w tych stronach, jak długo będzie bawić i t. p., na co odpowiedział, że ma tu bliskich krewnych, którzy go na całe wakacye zaprosili do siebie. I tak późniéj potrafił ująć mamę miłą rozmową i serdeczném obejściem, że przy pożegnaniu pierwsza zachęciła go do odwiedzenia nas w domu, z czego on tego jeszcze dnia skorzystał. — Miesiąc upłynął od tego czasu a ja....

Helena (*czule*). A ty... pokochałaś pana Fryderyka, nieprawdaż?

Wanda. Ja z początku starałam się walczyć z tém uczuciem. wzrastającém co chwila jak górski potok, dziś widzę, że to napróżno; czuję że kocham go całą siłą serca, wszystkiemi najszlachetniejszemi porywami młodości — nad życie!

Helena. A on? kocha cię również — wszakże tak?

Wanda (*cichutko*). Zdaje mi się....

Helena (z *uśmiechem*). I to już całe twoje nieszczęście, Wandzieczko?

Wanda (z *wybuchem*). Helenko! ale on Niemiec.

Helena. Ach, więc w tém powód zmartwienia!... Moja droga, znam twoje przekonania pod tym względem, sama podobneż miałam kiedyś. Jak widzisz jednak los lubi czasem robić sobie zabawkę z naszych najdroższych wierzeń, a życie druzgocze bez litości jeden po drugim piękne ideały. Moja Wandzieczko, my kobiety—do miłości jesteśmy stworzone. po za nią niema dla nas życia. Na cóż się darmo temu prawu opierać, kiedy w niém spoczywa nasze szczęście. Och i jakie szczęście!

Wanda (*nieśmiało*). Więc ty zupełnie, zupełnie zadowolona jesteś ze swego losu?

Helena. Zupełnie!.. gdzież znajdziesz człowieka, co by ci to mógł powiedzieć? I w mojéj przeto doli znajdują się owe przysłowiowe ciernie, związane z każdą ludzką egzystencyą. Zapewne że chętniejbym na bardziéj swojskim obracała się gruncie, wolałabym wychować syna w wierze i tradycyi ojców moich... I teraz nawet, wiesz, wolałabym, żeby serce twe inny było wybór zrobiło. Lecz czémże jest wola ludzka wobec siły przeznaczenia? A przeznaczeniem naszém—kochać. Wszakże nawet Pismo święte mówi: „opuścisz ojca twego i matkę twoję, a pójdziesz za mężem twoim.“ Och, nie byłabyś kobietą, gdybyś usłyszawszy wyszeptane namiętnie słowa miłości i znalazłszy ich echo we własnéj piersi, odepchnęła od siebie tego, ku któremu wyrywa się cała istota twoja. Tak, Wandziu droga, opór tu daremny i doprowadzić by cię mógł najwyżéj do moralnego

samobójstwa; bo powiedz, czémby się stało życie twoje! gdybyś je dobrowolnie zepchnęła ze zwykłéj kolei?

Wanda. *Zawsze* to jednak będzie odstępstwo, odstępstwo niegodne....

Helena. Ach, jakież z ciebie jeszcze dziecko! Chcesz może wzorem twojéj bajecznéj imienniczki poświęcić życie dla ocalenia twego ludu? Nie zapominaj jednak śliczna entuzyastko, że owa bohaterka stała *na czele* narodu, miała zatém dla niego i znaczenie i obowiązki. Twoja ofiara.... nikogo nie podniesie, nie zachęci, wierz mi—nikt może nawet wiedziéć o niéj nie będzie. No i powiédz, wartoż wyrzekać się szczęścia dla jakichś urojonych celów?!

Wanda (*tuląc się do Heleny*). A jednak, ileż ja walk stoczyłam z tém biedném sercem mojém, które jak zbuntowany niewolnik, nie już cicho i pokornie, lecz z całą potęgą młodzieńczéj siły przypominało mi prawa swoje. — ale je dotąd umiałam jeszcze trzymać na wodzy, a dziś (*nieśmiało*) ty mówisz, że ja także mogę być szczęśliwą!?...

Helena (*ściskając ją*). Będziesz nią z pewnością! (*figlarnie*): Tylko wypuść już co prędzéj na wolność biednego więźnia, bo czasy niewoli minęły. Chyba że znowu....

SCENA IV.

(Też i Marysia, potém Karolek).

Marysia. Proszę pani, paniczyk się obudził i płacze, bo ta panna zabrała się i poszła gdzieś (*wychodzi*).

Helena. Ach, ona ma tu jakąś ciotkę, czy coś podobnego,— w drodze jeszcze prosiła mnie, żeby ją mogła odwiedzić (*idzie ku drzwiom, Wanda wstaje także, Helena zatrzymuje ją*). Zaczekaj zaraz ci go tu przyprowadzę (*wychodzi*).

Wanda (*sama, kryje twarz w dłoniach, cisza, po chwili wchodzi Helena, prowadząc za rączkę Karolka*).

Helena (*wesoło*). Jesteśmy! Cóż kiedy mój synuś z niczém ci się dziś nie popisze, bo biedactwo rozespane jeszcze okropnie.

Wanda. Cóż się stało że się obudził tak prędko?

Helena. Podobno kot wskoczył na łóżko i był tak niedyskretny, że mu przerwał senne marzenie.

Wanda. Nic dobrego! Ale pójdź-że do mnie Karolku, poznajmy się bliżéj. — Idzie, kochana dziecina! kochasz ty mnie z troszkę, co?

Karolek. Kocham!...

Helena. No, kiedyście się już tak pokochali wzajemnie, to was zostawię razem, a sama pójdę się nieco przebrać. Nie chcę ci przecie robić wstydu na wypadek gości.

Wanda (*z uśmiechem*). Obawiasz się stracić opinią piękności? I tak ci ładnie, wierz mi.

Helena (*śmiejąc się*). W téj chwili nie myślałam o tém, ale nawet dla siebie samej lubię być zawsze odpowiednio ubraną. Jakże tak, kostyum podróżny.... (*ruchem ręki zatrzymuje Wandę, która chciała wstać z miejsca*). Nie wstawaj, widziałam mój kosz w twoim pokoju, dam sobie i sama radę. Adio, carina mia! jak cię mały bardzo znudzi, przyślij go do mnie.

Wanda. O, nie rozstaniemy się tak prędko!

Helena. Do widzenia zatém (*wychodzi*).

SCENA V.

(Wanda i Karolek).

Wanda (*przygarnia dziecko do siebie i całuje je*). Możebyśmy oglądali jakie obrazki, lubisz je pewno?

Karolek. O lubię, mam ich tak dużo, ciągle dostaję nowe.

Wanda. A jakie podobają ci się najwięcéj?

Karolek. Żołnierze, konie; papa mówi, że jak urosnę, także pójdę do wojska i będę jak papa, jenerałem.

Wanda. A tobie się to podoba?

Karolek. O, chciałbym, żeby to już prędko było!

Wanda (*zamyśla się, po chwili przecierając ręką czoło*). A będziesz lubił się uczyć?

Karolek. O, ja się już uczę, umiem przecież czytać i po niemiecku i po polsku,—ale po niemiecku wolę.

Wanda. Dlaczego?

Karolek. Nie wiem... wszyscy w domu tak mówią i papa... z mamą tylko rozmawiam się po polsku, ale papa mówi, że jak będę bardzo grzeczny, to i mama będzie do mnie mówić po niemiecku.

Wanda. Ale mama tego nie robi?!..

Karolek. Czasem, jak papa zacznie mamę po rękach i buzi całować i prosić, to powie do mnie mama kilka słów, a papa tak się cieszy.... Pokaże mi pani jakie obrazki?

Wanda (*z roztargnieniem*). Prawda, mieliśmy obrazki oglądać.... (*bierze dziecko za rękę, prowadzi ku jednéj ze ścian i wskazuje na obraz przedstawiający Kościuszkę*).

Karolek. Jakiś pan, kto to taki?

Wanda. Nie widziałeś go nigdy?—to bohater polski, nazywa się Kościuszko.

Karolek. U nas tego niema.... (*odbiega do stołu, na którym leży album Matejki i uchyla pierwszą kartę*). O, tu są obrazki, można?

Wanda. Można, ale czekaj, pokażę ci najładniejsze (*przerzuca karty*). O, patrz!

Karolek. Jak tu dużo osób, co oni robią? jakiś pan leży na ziemi, taki porozpinany, czy on chory, taki straszny.

Wanda. To, mój Karolku, Polak rozpacza, że mu ojczyznę rozszarpały wrogi.

Karolek. Biedny!.. ja się jego boję.

Wanda. A wiesz ty, co znaczy ojczyzna?

Karolek. Papa często mówi: za króla i ojczyznę.... to pewnie Berlin, bo tam król mieszka. (*Wanda kryje twarz w dłoniach, Karolek przewraca jakiś czas kartki, po chwili*): Ja to mamie pokażę, dobrze? (*Wanda nie odpowiada*). Mogę pojść do mamy?

Wanda (*podnosząc głowę z udanym spokojem*). Idź dziecko, idź...

Karolek (*bierze w obie rączki album i wychodzi*).

SCENA VI.

Wanda (*sama, podnosi się żywo i załamuje ręce*). Jakto, to jéj syn, syn polskiéj matki! Boże! więc i ja kiedyś miałabym mieć *takiego* syna! I takaż by była nieśmiertelność moja na ziemi, taki ślad mego istnienia. Ach, jak mogłam przez jedną chwilę choćby, przez jedną sekundę przypuścić myśl podobną! Oni idą do nas z pogardą i zaborem, miejmyż i my dla nich przekleństwo! (*chwila milczenia*). Przekleństwo... i dla niego przekleństwo?... za co? on taki zacny, szlachetny, kochający.... och, jakże ja kocham go! (*chwila milczenia*). A obowiązek? wroga rodzić—wroga ojczyźnie, Niemca!... W źródle najwyższego szczęścia znaleść piołun wiekuistéj zgryzoty!.. (*przyciskając czoło ręką*). O Boże, wspomóż biedne dziecię twoje! (*chwila milczenia*).

SCENA VII.

Marysia (*wbiegając*). Panienko, pan Fryderyk!

Wanda (*zrywa się z miejsca z ruchem, jakby broniła wejść, lecz po chwili siada z determinacyą*). Proś. (*do siebie*): Raz to skończyć trzeba.

Marysia (*wybiega*).

SCENA VIII.

(Wanda i Fryderyk).

Fryderyk (*wchodzi żywo i podaje rękę Wandzie*).

Wanda (*wzruszona lecz spokojna*). Witam pana, nie spodziewałam się go dzisiaj. . . .

Fryderyk. Wiedziałem że zastanę panią samę i dla tego przyszedłem. Niech to pani nie dziwi, dawno już chciałem z nią mówić w pewnéj kwestyi, która czyni obecność świadków zbyteczną.

Wanda. Jakaż to kwestya?

Fryderyk. Pani się jéj nie domyśla? (*chce wziąć jéj rękę*).

Wanda (*cofając rękę*). Nie wiem o co chodzi. . . .

Fryderyk. Panno Wando, co znaczy ten chłód, dlaczego mnie pani rozumiéć nie chce?

Wanda. Może nie mogę. . . .

Fryderyk. Mamże się wyraźniéj tłómaczyć? Panno Wando, czyż nie widzisz, że ja kocham ciebie! że jedyném marzeniem, jedyném pragnieniem mojém jest, byś podzieliła uczucie moje, byś zechciała podać mi rękę na dolę i niedolę żywota!... Ty milczysz Wando, zbladłaś, więc nie kochasz mnie?!

Wanda (*cicho i z wysiłkiem*). Nie. . . .

Fryderyk. Nie! więc oczy twoje kłamały uczucie?... głos kłamał drżenie?.. więc ty nie aniołem byłaś, lecz — kokietką! (*po chwili, zmieniając ton*): Ach przebacz mi, przebacz te bluźniercze słowa, lecz i swoje cofnij, — o, boś mi zanadto pozwoliła czytać w swém sercu, bym ci mógł dzisiaj uwierzyć; dziś, gdy ja marzę o szczęściu i w szczęście wierzę!

Wanda. Posłuchaj mnie panie Fryderyku. Jakkolwiek poprzednie słowa twoje obraziły mię, nadto cię jednak cenię, abym z jakichbądź powodów taiła przed tobą prawdę. Choć zatém w początku naszéj rozmowy nie miałam tego zamiaru, w téj chwili jednak czuję, że się to panu odemnie należy. Ja ciebie panie Fryderyku kocham— ale twoją nigdy być nie mogę.

Fryderyk. Dlaczego?!

Wanda. Dlatego, że drogi nasze rozchodzą się, a ja bez przeniewierzenia się moim najświętszym przekonaniom, swojéj porzucić nie mogę.

Fryderyk. Ach... więc obawy moje okazać by się miały słusznemi! Czyżby istotnie ten wzgląd, że do obcych należymy narodowości, dostatecznym był do zaważenia na szali przyszłości naszéj?... Pani zdajesz się to potwierdzać?... dlatego zatém, że wieki wytworzyły antagonizm plemienny, my za to cierpiéć mamy, my, cośmy nadeń wyżsi? (*z żalem*): I twojeż to serce taki wyrok wydało?....

Wanda. Nie potępiaj go panie, zanim się dowiesz....

Fryderyk. Wiem wszystko, co mi pani powiedziéć możesz—nie pierwsza to bowiem w tym przedmiocie rozmowa nasza i dlatego mnie musisz wysłuchać pierwéj. Rozumiem dobrze wrogi stosunek do siebie mas i tłómaczę jego pobudki, nie jestem również tak ogra-

niczonym, aby nie brać w rachubę nie już przekonań, bo to się rozumie samo przez się, lecz nawet uprzedzeń pewnych, od których zresztą żaden, nawet oświecony umysł w zupełności wolnym nie jest; lecz my, my, silni miłością naszą i wyższym nad pospolity poziom wzlotem myśli, nie potrafiliżbyśmy zdobyć się na tyle nawet tolerancyi, aby uszanować wzajemnie swą narodową indywidualność? Mówię: wzajemnie, bo wszakże i pani jesteś względem mnie cudzoziemką, a jak wysoko cenię twe przywiązanie do ojczystego kraju i języka, masz chyba najlepszy dowód, że niemało czasu strawiłem na nauczenie się twéj rodzinnéj mowy, chcąc się przez to więcéj zbliżyć do ciebie. Pamiętam, z jak słodkiém wzruszeniem spojrzałaś na mnie, gdym poraz pierwszy przemówił do ciebie po polsku... jam myślał wtedy, że ostatnia zapora znikła między nami — a ty dziś!... oh, pani — Wando! cofnij swój wyrok, bo inaczéj nieszczęście moje jak kamień spadnie ci na serce i ciężyć będzie zgryzotą.

Wanda. Nie mylisz się, panie Fryderyku. Nieszczęście twoje jak kamień grobowy zamknie się nad sercem mojém i pogrzebie w niém na wieki wszystkie promienne o szczęściu marzenia i nigdy już anioł zmartwychwstania nie powie im: wstań! A jednak ty mi tę zbrodnię samobójstwa w twych oczach przebaczyć musisz, przebaczysz z pewnością, tylko chciéj mię zrozumiéć i posłuchać trochę. Widzisz przed sobą nie dziecko, lecz kobietę dwudziestodwuletnią, któréj serce z całą potęgą młodości i niezmarnowanego uczucia— kocha!.... kocha człowieka, który stokroć téj miłości godzien, a jednak wyrzeka się go na zawsze.... o, chybaż nie bez powodu to czyni!

Fryderyk. Ukochana moja! powody stworzyła twoja gorąca, szlachetna, lecz egzaltowana wyobraźnia — o, niech cię nie obrażają te słowa, lecz czy myślisz, że ja potrafię wyrzec się ciebie, teraz, kiedy wiem, że całą duszą do mnie należysz, dlatego, że fanatyzm narodowy stawia przed tobą fantastyczną zaporę! Nam-że to, wrzącym żarem uczucia, stać w obec siebie jak dwie wrogie idee, nam, ludziom z krwią gorącą, z duszą ognistą, młodym? Jest-że jakie prawo, istniałaż-by jaka siła, zdolna zabronić nam kochać, żyć!.. (*chwyta jéj rękę i przyciska do ust i piersi*). Nie, Wando! ty musisz być moją! miłość nasza większe przepaści wypełnić zdoła — ja nie wyrzeknę się ciebie za nic!

Wanda (*słabym głosem*). Nie odbieraj mi odwagi, panie Fryderyku, nie odbieraj mi siły, (*z wybuchem*) och, bo gdybyś wiedział, jak ich potrzebuję!

Fryderyk (*puszczając rękę Wandy*). Słucham pani.

(**Wtedy** gdy Fryderyk całuje rękę Wandy, we drzwiach ukazuje się Helena i postawszy chwilę, z domyślnym uśmiechem cofa się).

Wanda (*z początku spokojnie, potém z coraz większém ożywieniem*). Może pan, panie Fryderyku, znajdując się w położeniu zupełnie różném, nie potrafisz odczuć w całéj sile, czém jest *dla nas* idea ojczyzny; gdybym téż nie należała do narodu, dla którego jedynym warunkiem istnienia jest osobista moc i działalność jego obywateli, położenie moje nie byłoby równie straszne, bo jakkolwiek nie bez wielkiéj przykrości zdołałabym może jednak wcielić się w obce społeczeństwo, wspierana myślą, że silne i zdrowe państwo. nie potrzebuje zbyt się troszczyć o jednostkę, któréj losy na obcym kazały żyć gruncie. Ale opuścić ten mój biedny kraj, któremu zwolna zaprzeczają wszelkich praw narodowego bytu, wyrzec się go i porzucić upadających na siłach w nierównéj walce braci po to, żeby podzielić szczęśliwą dolę zwycięzcy, a jako jedyną po sobie pamiątkę zostawić kilka młodych latorośli, które może kiedyś do téj nieszczęsnéj braci mojéj poniosą sztandar germanizacyi, nie, do tego nie czuję się zdolną. Była wprawdzie chwila, kiedy na nic nie pomna, chciałam razem z drugimi biedz do źródła rozkoszy, ale chwila ta minęła już. Szczęście... jakże prędko rozwiałoby się ono! Przy każdéj pieszczocie, przy każdym uśmiechu zadowolenia i radości, stawałoby straszne widmo mojego sumienia i krzyczało: zdrada! W powiewie wiatru, coby mi przynosił woń rodzinnéj ziemi, słyszałabym cichą, bolesną skargę: opuściłaś mnie, dziecię moje... Och nie, nie! ja zostanę tu, tu będę żyć i pracować wedle sił i możności mojéj, a choć trud mój jak kropla w morzu zaginie bez wieści, spokojna umierać będę, bom na ołtarzu świętego obowiązku złożyła ciężką, o ciężką serca mojego ofiarę!...

Fryderyk. Starałem się zrozumiéć powody kierujące postanowieniem pani, więcéj powiem, domyślałem się ich trochę oddawna: inaczéj bowiem nie potrafiłbym zrozumiéć tych nagłych, jakby mimowolnych objawów czułości i przymuszonego chłodu, jakie zauważyłem naprzemian w obejściu pani, sądziłem jednak, że owo uczucie potężne, które od wieków bywało rozjemcą narodowych i kastowych nienawiści, zaważy na tyle w oswobodzonym z przesądów umyśle pani, abyś zechciała czegoś się wyrzec i coś poświęcić dla ukochanego człowieka. Myślałem, że w stanowczéj chwili nie oprzesz się méj gorącéj prośbie, nie odważysz potargać zuchwale cudzego i własnego szczęścia, i choć na jedno mgnienie oka zapomniéć potrafisz, że co z takiém poczuciem bohaterstwa depczesz nogami, to nie jakaś martwa, ta, lub owa teorya, lecz krwią i bólem drgające serce ludzkie!... Omyliłem się i (*z bolesną ironią*) zawstydzonym się czuję doprawdy; nie mnie to, lecz pani należy się tytuł doktora filozofii, którym się szczycę; ja bo czułem się wytrąconym z ogólnéj

równowagi, pani, kobieta—potrafiłaś ją zachować.... Tobie też w nagrodę pozostanie wieniec męczeństwa, którym się dobrowolnie stroisz, mnie na pociechę chyba to jedno, że może gdy po latach wielu mąż pani, jaki *polski szlachcic* sprzeda odłużony majątek któremu z moich ziomków — pożałujesz swojéj ofiary.

Wanda (z *okropnym żalem*). Fryderyku!

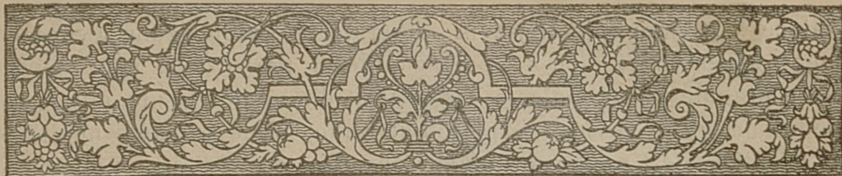
Fryderyk. Ha, ha, niepodoba się pani ta przepowiednia? cóż robić! nie stać mnie w téj chwili na słodszą, gorycz duszy nie wypłynie na usta potokiem miodu, ostry sztylet nie wyda się sercu balsamem.... (*po chwili*): Lecz—jakżeś pani zbladła strasznie! Ha i ciebie snać boli serce i ty cierpisz!—a ja, ja szydzę!... O Wando moja! przebacz, przebacz!... i żegnaj—na wieki! (*wybiega*).

Wanda (*chwilę stoi nieruchoma*, *potém z okrzykiem*). Boże! (*pada zemdlona*).

(Zasłona spada).

Jadwiga L.





ERNEST RENAN.

II.

W nauce francuskiéj, Renan zajmuje wyosobnione prawie we Francyi stanowisko krytyka religijnego. Powszechna krytyka historyczna jest nauką prawie nową, powstałą zaledwie przed stuleciem. Krytyka religijna, będąca jedną z gałęzi krytyki historycznéj istnienie swe rozpoczęła znacznie wcześniéj, w skutek reformy religijnéj zaszłéj w wieku 16-m, która wyznawcom protestantyzmu umożliwiła racyonalne badanie i rozbiór biblii. W Niemczech szczególniéj, które z rąk Lutra otrzymały biblią, przełożoną na język dla wszystkich dostępny, ruch w tym kierunku rozpoczął się wcześnie, w 18-m wieku, płynął już szerokim i śmiałym strumieniem, a w 19-m, korzystając z pomocy nowożytnéj nauki wytworzył liczne grono surowych i przenikliwych badaczy. Inaczéj działo się w ściśle katolickiéj Francyi, która w wiekach ubiegłych, za pomocą prześladowań i wytępień pozbyła się innowierców i tym sposobem zatamowała u źródła rozwój téj nauki. Krańcowy sceptycyzm i ateizm, które w niéj przeto istniały i w pewnych epokach wybuchały nawet z gwałtownością niszczącą i bezwzględną, wynikały z postępów wiedzy o przyrodzie i z filozoficznego ujęcia całokształtu świata i ludzkości; nauki historyczne w ogóle, w szczególności badania nad historyą religii, nie brały w ich powstawaniu żadnego prawie udziału. W połowie b. wieku, kiedy zastosowana do historycznych dokumentów metoda doświadczalna i porównawcza wytworzyła w Niemczech liczny szereg erudytów i myślicieli, zmieniających cały punkt zapatrywania się na początki i rozwój chrześcianizmu, we Francyi ruch myśli na tém polu ograniczał się na szlachetnych, lecz bardzo mało loicznych usiłowaniach, tak zwanych liberalnych katolików. Gorącemi sercami i płomienistą wymową obdarzeni: Lamenais, Lacordaire, Montalambert i inni, dopominali się u kościoła o refomy i ustępstwa, nie naru-

szające w stopniu najmniejszym saméj istoty katolicyzmu, wynoszonego owszem przez nich z zapałem miłości prawdziwie synowskiéj, która pragnie udoskonalenia się matki dla tego właśnie, aby ją na piedestale wyżéj jeszcze wznieść i utrwalić. Była to zapewne niejaka krytyka, ale z nauką w żadnéj styczności nie zostająca i apologetycznemi dążnościami całkiem prawie przyćmiona. Renan, dla téj szkoły reformatorów wyznawał zawsze niechęć i lekceważenie. Nie widział w niéj podstaw wystarczających do stawiania tez tak poważnych, jakiemi dlań były zawsze rzeczy tyczące się religii; przedstawicieli jéj uważał za retorów, którzy kwiecistą deklamacyą walczyć próbowali „ze sztabą żelaza.“ Gdy po opuszczeniu seminaryum ś-go Sulpicyusza, bezpośrednio zapoznał się z krytyką niemiecką, ogarnęło go zachwycenie niemal uroczyste. „Wydało mi się, żem wszedł do świątyni.“ Była to świątynia naukowych badań surowych i bezstronnych, przedsiębranych bez namiętności i uprzedzeń, nawet bez praktycznych przewidywań i dążności, z jedynym celem, znalezienia i wyświetlenia prawdy. Taki kierunek pracy pociągnął ku sobie panującą w nim zdolność krytyczną, a należne przysposobienie znalazł w swym wysoko posuniętém filologicznėm wykształceniu, przeważnie w doskonałéj znajomości hebrajszczyzny i w ogóle języków semickich, która pozwalała mu wprost i bezpośrednio przystąpić do literatury biblijnéj i chrześciańskiéj. Po napisaniu dwóch dzieł: *historyi początków mowy* i *historyi języków semickich*, które wchodząc w zakres nauki ścisłéj, postawiły go w rzędzie najuczeńszych filologów europejskich, oddał się przeważnie egzegetyce—czyli krytycznemu badaniu dokumentów religijnych. Z badań tych wyniknąć miały najwięcéj znane z dzieł jego: długi szereg studyów nad historyą religii i siedmiotomowa historya początków chrześcianizmu.

Dzieło krytyki historycznéj, porównaném być może do gmachu wznoszonego z mnóstwa różnéj wielkości cegieł, spajanych filozoficzną myślą autora. Cegieł dostarcza erudycya, czyli, zebrany w umyśle zbiór faktów, odkrytych, rozpoznanych i niewątpliwych. Erudycya zostaje do myślicielstwa w stosunku takim, jak materyał do budownictwa. Materyał może istnieć w stanie nieobrobionym i do żadnego użytku nie zastosowanym, budowa żadna obejść się nie może bez niego i obfitość jego warunkuje obszerność jéj i gruntowność. Nadzwyczajnie zajmującą jest rzeczą, przypatrzenie się procederom, z których pomocą krytycy historyczni zdobywają potrzebną im erudycyą, czyli znajomość faktów. W krytyce religijnéj, procedury te są szczególniéj utrudnione przez to, że dokumenty sięgają niezmiernie odległych czasów i przez to, że długie czasy przyoblekały je w naturę i znaczenie specyalne i wyosobniające je z pomiędzy

wszystkich innych. Ażeby otrząść dokument z przywiązanych do niego mniemań, wyświetlić trzeba pochodzenie jego co do czasu i miejsca, wykazać wpływy pod któremi powstał, wydzielić z niego zawartą w nim część historycznéj prawdy, oznaczyć położenie, które zajmować powinien w dziedzinie twórczości ludzkiéj. Z poddania dokumentu takiéj krytyce, wynika częstokroć, że to, co miano za utwór epoki bardzo dawnéj, jest płodem czasów daleko bliższych, lub naodwrót; że to, co poczytywano za historyą, jest legendą lub bajką; że rzecz przypisywana pewnemu autorowi, należy do wcale innego; że utwór uważany za jednolity posiada w sobie wtręty lub zmiany, poczynione inną ręką i w innych czasach. Zmienia to postać całych epok historycznych i usuwa rozumowe podstawy z pod mnóstwa mniemań, uważanych za prawdziwe. Takie podstawowe i mozolne prace, dokonywane na polu erudycyi, znajdujemy w trzech studyach Renana o biblijnych księgach Hioba, Ekleziasty i Pieśni nad pieśniami. Każdemu z nich, towarzyszy tłómaczenie odpowiedniéj księgi, dokonane w języku francuzkim nowożytnym i pięknością swą czarującym; zdaniem bowiem Renana, w przekładach biblii nie należy kierować się zasadą używania językowych archaizmów, ani obrażania ducha mowy współczesnéj, dla zachowania dosłowności przekładu. Wystarcza tu, według niego, zupełnie wierne oddanie treści i ducha utworu i, o ile być może, najwierniejsze naśladowanie głównych cech jego formy. Tłómaczenia te są dziełem filologa i poety, lecz w obszernych studyach, które je poprzedzają przypatrzyć się możemy sposobom, jakich używają—według wyrażenia Renana,— „szpony nowożytnéj krytyki“ dla zagłębiania się w grunt odległéj w czasie literatury.

Księga Ekleziasty uchodzi powszechnie za utwór Salomona, syna Dawida, trzeciego z rzędu króla izraelskiego, żyjącego na 1,000 około lat przed Chr. Mniemanie to wzięło swe źródło z tego, że autor księgi przedstawia się w niéj królem potężnym, organizatorem państwa, wielkim budowniczym, miłośnikiem zbytku, kobiet, wina i wszystkich w ogóle rozkoszy tego świata. Wszystkie te cechy, historya i legenda przypisują Salomonowi. Imienia tego jednak autor księgi nie wymienia ani razu, zastępując je czterma spółgłoskami K. H. L. T. w których domyślano się samogłosek, tworzących wyraz *Kahelet*, oznaczający po hebrajsku: kaznodzieja. Ekleziasta, jest greckiem tłomaczeniem hebrajskiego *kahelet*, czyli kaznodzieja. Przymiot kaznodziejstwa, suponujący mądrość i zdolność do nauczania innych, stał się jedną więcéj przyczyną do utrwalenia wiary w pochodzenie księgi od Salomona, obdarzonego w podaniach historycznych mądrością, przechodzącą zwykłą miarę rozumów ludzkich.

Treścią księgi jest wykazywanie marności wszystkiego, co pod słońcem istnieje. W słowach: „próżność nad próżnościami i wszystko jest próżnością“ mieści się wniosek, wyprowadzony przez autora z najrozmaitszych doświadczeń życia. Władza, bogactwo, miłość, przyjaźń, nauka, mądrość, cnota, bezżenność i związki rodzinne, społeczeństwo, królowie, sędziowie, lud,—wszystko to nietylko przemijającém jest i podległém zmianom, ale nosi w sobie zarody trucizny, która prędzéj lub późniéj zmienia je w pierwiastki cierpień, upadków i próżni. Świat przedstawia szereg zjawisk zawsze jednostajnych i błędne koła zakreślających. Postępu niema. Przeszłość podobną była do teraźniejszości; przyszłość będzie taka, jaką jest teraźniejszość. Próby ulepszania rzeczy ludzkich są daremnemi, bo człowiek bezzaradnie znajduje się zamkniętym w ciasnym zakresie zdolności swych i możliwości. Niesprawiedliwość będzie wiekuistą; zło, które zdawało się być zniszczoném, zaraz odrasta, jadowitsze jeszcze niż było przedtém, nim sprobowano je wykorzenić. Bóg jest i nieustannie stwarza wszelkie życie; ale cele, dla których dopełnia swe twórcze akty, są dla człowieka nieprzeniknionemi. Należy skłaniać się przed tą wszechpotężną istotą, ale nie mniemać, aby ona bardzo zajmowała się naszym losem. Należy uczęszczać do świątyni, ale w pobożności strzedz się przesady. Nadewszystko zaś, należy unikać zuchwałych określeń rzeczy niepojętych i téj zarozumiałości umysłu, która mniema że czterma słowy zdoła wytłómaczyć wszechświat, błękity niebios zawrzeć w garnku do gotowania i nieskończoność oprawić w trzy calowe ramki.

Taką jest najogólniejsza treść téj księgi, nawskróś przenikniętéj rozpaczliwém zwątpieniem i subtelném odczuciem całéj boleści życia. Stokroć smutniejszą jest ona od księgi Hioba, grzmiącéj wymowną i straszną skargą starożytnego patryarchy. Tu niezgłębiony smutek rezygnacyi kryje się pod osłonę żartobliwéj niedbałości; czuć, że do krzyku i buntu, zmęczonéj piersi brakuje już siły. Widoczną jest rzeczą, że księga ta narówni z przypisywaną także Salomonowi Pieśnią nad pieśniami, posiada charakter zupełnie świecki i co więcéj przedstawia ostatni prawie wyraz sceptycyzmu. W jakiéj epoce powstać ona mogła? Pod jakiemi wpływami zostający duch ludzki wydać mógł z siebie to olbrzymie i cały świat zjawisk ogarniające westchnienie? Jakim sposobem włączoną ona została w poczet pism świętych, których źródłem być miało natchnienie bezpośrednio z góry otrzymane? Przedewszystkiém, podawanie się autora za króla żydowskiego i syna Dawida, traci wiarogodność swą wobec zwyczaju, w ostatnich wiekach przed Chr. i w pierwszych po Chr. powszechnie przez pisarzy żydowskich przyjętego, tytułowania

utworów literatury imionami osobistości starożytnych i budzących u ogółu cześć połączoną z bezgraniczném zaufaniem. Pisarze żydowscy owych wieków, własne swoje utwory okrywając imionami Mojżesza, Enocha, Barucha, Ezdrasza itp. pewnymi byli, że tym sposobem z łatwością zaszczepią w ogół myśli swe i wyobrażenia. Nie spotykali w tém zawodów. W epoce, nieposiadającéj najlżejszego wyobrażenia o jakiejkolwiek krytyce, z łatwością wierzono we wszystko. Pism zaopatrzonych w fałszywe imiona, czyli, apokryfów, było podówczas mnóstwo. Udziela to pierwszych naukowych podstaw do stawienia hipotezy, że księga Kaheleta, mianującego się Salomonem, jest jedném z napełniających przez kilka wieków literaturę żydowską pism fałszywo-imiennych.

Piętno epoki? Rozwój literatury żydowskiéj posiadał dwa okresy, różniące się z sobą bardzo odrębnemi cechami twórczości, z których pierwszy rozpościerał się do 500-go roku przed Chrystusem. Po roku 500-nym, pod wpływem klęsk i zaburzeń politycznych, nastąpiło 300 lat milczenia, albo też małéj i zaginionéj dla nas twórczości. Około 200-stu lat przed Chrystusem literatura odradza się znowu i płynie szerokim strumieniem. Okres pierwszy jest momentem najwyższéj wybujałości narodowego ducha; w nim to z siłą nieporównaną grzmią prorocy pełni niezachwianéj wiary religijnéj, płomienistego entuzyazmu, ponuréj lub elegijnéj poezyi, namiętności patryotycznéj, do bohaterstwa i fanatyzmu posuwanéj. Wszystkie te cechy są tak przeciwne tym, które panują w ks. Kaheleta, że niepodobném jest przypuszczać takiego absolutnego odskoku jednostki od całego ducha jéj epoki, bez zapoznania najkonieczniejszych praw, rządzących ludzką twórczością. Kahelet tworzący swą księgę w epoce proroków, byłby mniéj jeszcze zrozumiałym i możliwym, niż ktoś w wieku XIX, piszącym wierszami matematyczne albo chemiczne rozprawy. Wiara religijna bowiem, zapał i poezya były w téj epoce jeszcze powszechniejszemi i niezbędniejszemi niż są w naszéj ścisłość naukowych dowodzeń i potrzeba dla nich mowy nierymowanéj.

Drugi okres piśmiennictwa żydowskiego, zaczynający się w II w. przed Chryst. i napełniony właśnie fałszywo-imiennemi pismami, nosi na sobie piętno mesyanicznych oczekiwań i nadziei, których naturalnie, księga Kaheleta nie zawiera najlżejszego śladu ani objawu. Z drugiéj jednak strony, w téj już epoce, zaszło w społeczeństwie żydowskiém rozdwojenie narodowego ducha. Obok gorliwców narodowéj wiary, zelotów, mesyanistów, faryzeuszów istniał odłam społeczeństwa liczny i możny, złożony z arystokratów, bogaczy i kapłanów wyższych stopni, którzy w ręku swych dzierżąc władzę i boga-

ctwa krajowe, posiadali wszystkie wybredności umysłowe i oddawali się wszystkim uciechom cywilizacyi. Wśród tych to saduceuszów, nawpół zgreczonych, kierujących się w życiu zasadami Epikura, którego zresztą większość ich znała powierzchownie tylko, albo i nie znała wcale, mógł żyć, myśléć, czuć i pisać człowiek, który tak żył, myślał, czuł i pisał jak autor księgi Kaheleta. Możnaby nawet tę hipotezę za zupełnie uzasadnioną uważać, gdyby nie należało usunąć z drogi nasuwającéj się możliwości, że księga ta przedstawia płód owych lat 300-stu pomiędzy 500-m, a 200-m rokiem przed Chryst. przez które piśmiennictwo żydowskie albo całkiem milknie albo téż wydaje twory mające uledz zagładzie, która je na zawsze przed światem ukryje. Jest to może jedyny zabytek, uratowany dla potomności, z czasów, napełnionych klęskami politycznemi, ucichnięciem twórczości jednostkowéj pod brzemieniem cierpień ogólnych. Wprawdzie, w czasach wielkich klęsk i cierpień ogólnych, struna patryotyzmu rozbudza się gwałtownie i brzmi we wszystkich tonach narodowego życia; księga zaś Kaheleta nie zawiera nietylko żadnego jéj dźwięku, ale ani najlżejszego drgnienia. Nie jest to przecież argumentem stanowczym, przeciw pochodzeniu jéj z epoki nieszczęść, bo zbyt wytężone i przedłużone nieszczęścia posiadają także tę właściwość, że odbierają ludziom wiarę i nadzieję, niszczą moc woli i ze wszystkiego co ludzkie pozostawiają tylko ręce bezwładne, serca omdlałe i usta szydzące... Może Kahelet był wyrafinowanym i rozmiękłym w zbytkach Saduceuszem z ostatnich dwu wieków przed Chryst. a może osłabłym i do zwątpienia o wszystkiém nieszczęściami swego kraju dowiedzionym mieszkańcem Judei z 5-go albo 6-tego stulecia. Kwestyą tę roztrzygnie język, jakim księga jest napisaną i obraz społeczno politycznych okoliczności kraju, który się w niéj odbija.

Język pierwszego okresu literatury żydowskiéj, rozciągający się i na owe 300 lat jéj zniknięcia, bardzo jest różnym od panującego w okresie drugim. Styl starożytny odznacza się czystością hebrajszczyzny, siłą, jędrnością i zarazem zagadkowością wyrażeń. Styl epoki późniejszéj przedstawia silną przymieszkę jednego z dyalektów semickich, mianowicie aramejskiego, luźnym jest, bez sprężystości i surowéj harmonii brzmienia, Otóż, język Kaheleta należy w zupełności do epoki nowszéj, co więcéj, zdradza nawet pochodzenie bardzo świeże, przez zupełną prawie takożsamość z językiem Miszny, czyli Talmudu, pisanego jak wiadomo w pierwszych wiekach po Chrystusie. Takożsamość ta uwyraźnia się mianowicie, przez oczyszczenie się z arameizmów, panujące zarówno w Kahelecie jak w Misznie. Wyniknąłby ztąd wniosek, że księga pisaną była jedno-

cześnie z Miszną, gdyby nie widniejący w niéj obraz współczesnego stanu społeczno-politycznego. W obrazie tym świątynia Jerozolimska jeszcze istnieje, w Jerozolimie przebywa dwór królewski; dokoła, mnóstwo udzielnych państewek i dynastyi prowadzi z sobą nieustanne wojny, w obyczajach panuje swoboda, rozluźniająca węzły rodzinne, liczne potomstwo nawet, to odwieczne pożądanie Izraela, pociechą być przestaje, bo ulega fizycznym albo moralnym klęskom i zepsuciom czasu. Obraz ten, odpowiada w zupełności wszystkiemu, co zupełnie jasno historya opowiada o wieku I-m po Chrystusie; wyraziście i obszernie skreślonym, znajduje się w dziele o starożytnościach żydowskich, ówczesnego pisarza Józefa Flawiusza. Jest to widocznie koniec II-go, albo początek I-go wieku przed Chrystusem. Zbliżenie tego czasu do pory, w któréj rozpoczęto pisać Misznę, tłómaczy w zupełności takążsamość językową Kaheleta z Miszną.

Wnioski te, wyciągnięte z ducha utworu, języka jego i odbijających się w nim okoliczności współczesnych, wzmacnia wzgląd na późne ukazanie się w świecie księgi Kaheleta. Wszystkie pisma, składające biblię przetłómaczonemi zostały na język grecki w wiekach II i III-m przed Chrystusem. O Kahelecie świat dowiaduje się zaledwie w w. I-m po Chryst... Któryś z przewodników ówczesnych szkół żydowskich, Akwila czy Akiba, tłómaczenia tego dokonał i wtedy téż pierwsze wzmianki o niém zjawiły się u autorów chrześciańskich. Żydzi wahali się długo z przyjęciem go do biblii. Hiob, Ezechiel, księga Przysłów a szczególniéj Pieśń nad pieśniami, budziły także podobne wahania. Najdłużéj jednak wątpiono o świętości Kaheleta. Swobodny i sceptyczny ton téj księgi raził bardzo ówczesną, żarliwą i namaszczoną pobożność. Narady były długie, spory żywe; jednak kilka strof z pozorem religijności uratowało resztę; księgę włączono w poczet natchnionych z góry. Postępek ten wytłómaczonym jest w zupełności przez panujący wówczas system interpretacyi pism hebrajskich, czyli, nie brania ich treści w prostém jéj znaczeniu, ale wyszukiwania w niéj przenośni, symbolów, tajemniczych zbiegów liter i słów, tysiąca słowem znaczeń, które w rzeczywistości ani nasuwały się nigdy myśli autora. Takim interpretacyom poddana księga Kaheleta, uznaną została za świętą przez doktorów żydowskich pierwsz. w. ery naszéj. W ten sam sposób interpretacyjny przeczytali i do pism świętych zaliczyli ją w w. III-m ojcowie kościoła. „Taki sposób czytania,—powiada Renan,—polegający na szukaniu przenośni i aluzyi w rzeczach najprostszych, na grach wyrazów i liter i wyciąganiu zeń znaczeń dowolnych i z góry ułożonych, może doprowadzić do poczytania miłośnego poematu za książkę do nabożeństwa i krańcowego sceptycyzmu za religijną filozofią. Zresztą, w ogólności, źle się czyta, kiedy się czyta na klęczkach.“

Słowem, pismo poczytywane za utwór Salomona z r. 1000-go przed Chryst. i uważane za płód bezpośredniego natchnienia z niebios, wychodząc „ze szponów krytyki nowożytnéj“, ukazało się jako utwór jakiegoś Saduceusza, czyli żydowskiego epikurejczyka, żyjącego o 900 lat późniéj, utwór wytworny lecz ostatecznie sceptyczny i pesymistyczny, nie pozbawiony poezyi smutku i powabów zmieszanéj ze łzami ironii, lecz religijnym wiarom i nadziejom zupełnie obcy i nieprzyjazny im raczéj, niż je popierający. W najogólniejszym swym zarysie i z pominięciem mnóstwa naukowych szczegółów przedstawione studyum Renana o księdze Ekleziasty—może dostarczyć niejakiego wyobrażenia, o metodach i środkach, któremi erudycya przygotowuje fundamenty dla wielkich dzieł krytyki historycznéj i religijnéj.

Takiém wielkiém dziełem ze względu na rozległość epoki i na jéj niezmierną w dziejach ludzkości ważność, jest „Historya początków chrześcianizmu.“ Siedém jéj tomów obejmuje zakres czasu blizko 200-stu letni, bo od przypuszczalnéj daty urodzenia Chrystusa, przypadającéj za panowania Augusta, do śmierci Marka Aureliusza zaszłéj w 180 lat późniéj. Zbiorem źródeł dla téj epoki jest naprzód pierwotna literatura chrześciańska, zawierająca Dzieje Apostolskie, listy Apostołów, Apokalipsę ś-tego Jana, cztery Ewangelie kanoniczne, znajdujące się w pismach późniejszych pisarzy kościelnych wyjątki z Ewangelii współczesnych tamtym, lecz zaginionych, nakoniec, liczne pisma apokryficzne z téj epoki, noszące nazwy Ewangelii i Apokalips, które wychodziły z łona tak pierwotnego chrześcianizmu, jak judaizmu, w porze, w któréj stanowcze odłamanie się nowéj religii, od swego starożytnego pnia jeszcze spełnioném nie zostało. Następnie, wszystko, co poprzedziło powstanie nowéj wiary i towarzyszyło jéj rozwojowi, obficie jest oświetloném przez literaturę łacińską, greko-aleksandryjską i judeo-aleksandryjską, jako téż przez obszerne i dość liczne dzieła spółczesnego pisarza żydowskiego Józefa Flawiusza. Dla drugiéj połowy czasu objętego dziełem Renana, to jest dla II-go wieku po Chrystusie, kryterya historyczne stają się węższe i mniéj wyraźne. Zawierają się one w zubożałéj lecz jeszcze istniejącéj literaturze łacińskiéj i aleksandryjskiéj, w Talmudzie, w odnoszących się do tego czasu pismach późniejszych autorów kościelnych, nadewszystko może w bardzo licznych utworach, które wydały z siebie sekty religijne, szczególniéj zaś, najszerzéj podówczas rozpowszechniony i najzacięciéj walczący gnostycyzm.

Cały ten jednak, bardzo obfity na pozór, materyał wymaga od krytyka historycznego ostrożności niezmiernéj i właściwościami swemi czyni mu niezbędném nieustanne posługiwanie się metodą do-

świadczalną i porównawczą. W szczególności dział jego judaistyczny i chrześciański odznacza się trzema cechami, które utrudniają należyte jego wyczytanie: legendowością, apokryfizmem i mistycyzmem. Legendowość okrywa zasłonami ludowéj poezyi, tę części prawdy, którą wynaleść w niéj można; apokryfizm sprowadza zamięszanie dat i osób; mistycyzm przemawia symbolami i zagadkami. To téż najbogatsza, jaką tylko przypuścić można erudycya i zastosowanie najbieglejszéj krytyki do dokumentów pisanych, dla zbadania téj epoki w całéj prawdzie i we wszystkich jéj rozgałęzieniach wystarczyć nie może. Krytyk historyczny władać tu musi, oprócz tych materyalnych niejako instrumentów, tém wewnętrzném i niesłychanie delikatném narzędziem, jakiém jest psychologiczna przenikliwość i czułość, pozwalająca wyrozumiewać i odczuwać stany umysłowe i moralne oddalonych czasów i pokoleń. „Samą istotą krytyki — pisze Renan — jest możność rozumienia stanów zupełnie różnych od tego, w jakim żyjemy sami.“ Twierdzi on daléj, że zrozumienie duchowego stanu, w jakim znajdowali się pierwsi założyciele i wyznawcy chrześcianizmu, ułatwioném mu zostało przez okoliczność urodzenia się i spędzenia całego dzieciństwa w nieoświeconéj, zabobonnéj, naiwnéj i entuzyastycznéj Bretanii. Widział tam, z różnicami sprawionemi przez klimat i historyczne wpływy, taką samę bezwzględną i bezkrytyczną wiarę, takiż mistyczny i legendowy zwrot wyobraźni, takąż szczerość, czystość i często słodycz uczuć, takąż pierwotność w potrzebach i sposobie życia. Jednak krytyczne zbadanie dokumentów pisanych i intuicyjne przeniknięcie i odczucie epoki, nie zadawalniały jeszcze ani jego sumienności naukowéj, ani tego głębokiego poszanowania, z jakiém przystępował do przedmiotu swych badań. Przed rozpoczęciem dzieła swego udał się na wschód, aby w obliczu tamtejszéj przyrody i ludności wyczytać to, czego nie dopowiedziały mu książki. Przez 2000 lat topograficzna postać krajów owych uległa niejakim zmianom; poznikały dawne miasta i wsie; wyjałowiły się albo inną niż dawniéj roślinnością okryły się przestrzenie; wyschły strumienie niektórych wód. Przecież to samo słońce i to samo niebo, ten sam koloryt przedmiotów i wiele widoków i płodów natury niezmienionych, wszystkie prawie obyczaje ludzkie, takie, jakiemi wówczas były, zobaczył on na tym wschodzie, kędy wszystko trwa dłużéj niż gdziekolwiek indziéj, a ludzie zewnętrznėm swém wyglądaniem i wewnętrznemi usposobieniami tworzą wierne prawie wizerunki odległych swych przodków.

Pierwszym tomem tak pracowicie przygotowanego dzieła jest „Życie Jezusa.“ Los, który książkę tę spotkał w świecie, przedstawiać może dla niewtajemniczonych w dzieje twórczości Renana zagadkę

do rozwiązania trudną. Żaden może inny twór literatury nie zdobył sobie tak szybko tak niezmiernego rozgłosu i zarazem nie ściągnął na siebie takiego mnóstwa i tak różnostronnych zarzutów. Właśnie ta różnostronność źródeł, z których płynęły zarzuty, wydaje się z pozoru dziwną i zagadkową. Z jednéj strony duchowieństwo katolickie wydrukowanie téj książki poczytało za największy występek, jakiego dopuściła się prasa francuska przez długie wieki swego istnienia, ta prasa, w któréj przecież z nawskróś przeczącém swém obliczem odbił się jak w nieśmiertelném zwierciedle schyłek XVIII w. Wyklęto ją z kazalnic; autora jéj zarzucono takim gradem potępień, podejrzeń, nawet potwarzy, jaki nie spadł był nawet na najzuchwalszego z buntowników, Woltera, i najlekkomyślniejszego z bluźnierców, autora wierszowanéj i w cynizmie swym ohydnéj „Wojny bogów.“ Z drugiéj strony, w świecie surowéj i ścisłéj nauki, przyjęto ją uśmiechem lekceważenia i usunięciem jéj na ten stopień hierarchii umysłowéj, na którym znajdują się utwory literatury nadobnéj. Do grona europejskich uczonych należący autor historyi mowy i historyi języków semickich, biegły badacz dokumentów biblijnych i profesor hebrajszczyzny w Collége de France, jako twórca książki o życiu Jezusa, z grona tego wyłączonym został. Spostrzegano w książce brak ścisłości i bezstronności naukowéj, nienaukowe lecz beletrystyczne traktowanie przedmiotu, przysłonienie historycznéj prawdy kunsztownością kompozycyi i ozdobami stylu. Wszystko to w obszernéj polemicznéj broszurze ostro mu wyrzucali uczeni bracia Jantet; słynny niemiecki krytyk, Strauss, przyznając swemu francuskiemu koledze wielką dozę nauki i przenikliwości umysłowéj, o téj jego książce wyrażał się z wyniosłém nieco lekceważeniem; znakomity krytyk duński, Brandes, długo zachowywał dla jéj autora niechętne uprzedzenia, z których nieprędko uleczonym został przez zapoznanie się z innemi jego dziełami; dziś jeszcze autor historyi religii, Juliusz Varron, nazywa tę książkę ładnym romansem. Kościół ją potępił i nie przyznała jéj za swoję ścisła nauka. Jednak sława jéj urosła do rozmiarów zupełnie niepospolitych i dając autorowi rozgłos, jakim bardzo niewielu pisarzy poszczycić się może, uczyniła mu zarazem ujmę wielką,— przygniotła sobą niejako inne jego dzieła, przysłoniła ogólny widok szerokiéj jego działalności.

Zagadka ta tłómaczy się jasno przez ten stan psychiczny, z którym autor do tego dzieła swego przystępował. W istocie rzeczy wychodził on w tém dziele z tych samych premis naukowych i używał téj saméj metody badań, które przysługiwały uczonym krytykom niemieckim. Tak jak tamci, z pola widzenia usunął nadprzyrodzoność i stanął na gruncie naturalnéj przyczynowości, która żadnemu

z historycznych zjawisk nie przyznaje nadnaturalnego pochodzenia, lecz wszystkie fakty i pojęcia wyprowadza z grupy faktów i pojęć poprzedzających, widząc w nich ewolucyą dokonywającą się w łonie samej ludzkości, pod wpływem dobrze określonych przyczyn. Z drugiéj przecież strony, daleką odeń była ta chłodna i bezstronna przedmiotowość, z jaką dzieł swoich dokonywa erudycya i krytyka niemiecka. Wychowaniec kościoła i czciciel ideałów, poddawał on krytyce rozumu pojęcia i osoby, które były niedawno przedmiotem bezwarunkowéj jego wiary i czci, a potężnego uroku nie przestały wywierać na poetyczne i entuzyastyczne instynkty jego natury. Z przedmiotu swych naukowych badań zdejmując gloryą nadprzyrodzoności, okryć go w zamian pragnął najwspanialszemi szaty, na jakie ziemia zdobyć się może. Na wykonanie szat takich dozwoliły mu naprzód: luźność tłómaczeń, jakiéj ulegać mogą dokumenty z niezupełnie rozjaśnioném pochodzeniem, pełne sprzeciwieństw i niedokładności; następnie, wielki jego talent pisarski. We wstępie do swéj książki ostrzega czytelników, aby w niéj nie szukali materyalnéj pewności faktów i dat, lecz tylko jak najwierniejszego ujęcia samego ducha Chrystusowego życia i nauczania. Ewangelie zalicza on do szeregu „biografii legendowych“, które wytwarzają się w łonie ludu, ilekroć potężna jakaś osobistość pociągnie ku sobie serca, uderzy wyobraźnię i nowy kierunek nada umysłom. W utworach téj natury legenda jest atmosferą świetlaną i nadziemską, którą uwielbienie otacza postać wielką. Za tą jednak przysłoną kształty i rysy postaci są takiemi, jakiemi były istotnie, i w nich to spoczywa prawda. „Przypuśćmy, że dziesięć lat temu kilku żołnierzy z czasów 1-go cesarstwa, bez porozumienia się z sobą i tylko na podstawie swych wspomnień, skreśliło życie Napoleona. Widocznem jest, że ich opowiadania zawierałyby mnóztwo błędów, niezgodności, fantazyi.... Lecz co najpewniéj i z wysokim stopniem prawdziwości wynikałoby z tych naiwnych opowiadań, to charakter ich bohatera i wrażenie, jakie wywierał on na spółczesnych.“ Niepodobna nie spostrzedz, jak szerokiego pola dla osobistych skłonności autora udzielają materyały téj natury i zarazem jak bogatemi hafty okrywać je może wielki pisarski talent. Dla ideału, w książce swéj opisywanego, do głębi przejęty miłością i czcią, oko w oko z naturą, wśród któréj objawił się on światu, pamięcią i sercem bliski wrażeniom, które mu napełniły dzieciństwo i młodość, Renan stworzył arcydzieło stylu i kompozycyi. Nigdy może jeszcze piękna proza francuska nie brzmiała taką harmonią dźwięków i nie tworzyła takich akordów płomiennych i słodkich. Nigdy może jeszcze postaci, przed wiekami znikłe z téj ziemi, nie zmartwychwstawały pod ludzkiém piórem, z taką plastyką

rysów i kształtów; nigdy może obrazy natury nie były przyobleczone w tak wyrazisty i nazawsze w pamięci pozostający koloryt; nigdy harmonia kompozycyi, ustawienie szczegółów, zaokrąglenie całości, wyższego stopnia doskonałości nie dosięgły. Od niewymównéj słodyczy galilejskiéj sielanki, do wstrząsającego dramatu na Golgocie, od wiecznie błękitnych jezior tyberyadzkich do swarliwych gwarów, napełniających podwórze jerozolimskiéj świątyni; od schylonych nad rybackiemi sieciami dobrych prostaczków, do wyniosłych arcykapłanów i wykwintnych Rzymian, poemat ten przebiega bardzo szeroką skalę uczuć, obrazów i postaci, nad którą, jako punkt ogniskowy i arcywzór niedościgniony, we wszystkie glorye uwielbienia przyodziana, unosi się postać mistrza.

W téj to właśnie literackiéj piękności spoczywa przyczyna niesłychanego rozgłosu książki i srogich sądów, jakie ściągnęła ona na siebie z dwu stron zupełnie różnych. Nie zuchwalstwo postawienia tego przedmiotu na gruncie przyrodzoności, skupiło na niéj ciekawość ogółu. Dopuszczali się go liczni przedstawiciele krytyki niemieckiéj, których jednak imiona znanemi są tylko szczupłéj garstce znawców i nie ono także ściągnęło na nią gromy kościoła tak surowe i głośne, jakim nie ulegali inni badacze na tém polu. Artystyczna jéj piękność i idąca za nią wziętość czyniły ją w znaczeniu praktycznem karygodniejszą, nad ciężkie i nieprzystępne foliały szperaczów....

Czy ta niezmierna dbałość o doskonałość kompozycyi i stylu, czy ten zapał i ta poetyczność, które nawskróś przenikają książkę, nie uszczupliły pola jéj naukowego widzenia i nie oddały niektórych przynajmniéj naukowych wywodów w poddaństwo uczuciu i fantazyi? Na zapytania te nauka odpowiedziała twierdząco i stało się to właśnie przyczyną zarzutów i lekceważenia, które spotkało ją z téj strony. Spostrzeżono w niéj podnoszenie hipotez do stanu pewników, zbytnie ufanie źródłom wątpliwym, skracanie historycznéj perspektywy i nie dość głębokie ujęcie gruntu, współczesnego opisywanemu faktowi. Wszystkie promienie swéj myśli skupiając na uwielbionéj postaci mistrza, Renan zbyt skąpe rzucił światło na poprzedzający rozwój pojęć o oczyszczaniu religii z obarczającéj ją formalistyki kultowéj, o miłości powszechnéj, wynoszeniu ubóstwa, pokory i łagodności. Nie widzimy tu prawie łańcucha tych pojęć, ciągnącego się przez całe dzieje Izraela, od Ozyasza, który zaręczał lud z panem w prawdzie i sprawiedliwości, w miłości i miłosierdziu; od Izajasza, który wołał, że czystych serc żąda pan a nie całopaleń, śnił o wiecznym pokoju, możnym tego świata przepowiadał: „biada tobie, który łupisz, ażali i sam złupionym nie będziesz, i który gardzisz, ażali sam

wzgardzonym nie zostaniesz!“ do Hillela, który o sto lat niespełna poprzedził moment powstania chrześcianizmu, i dwóch Gamalielów, uczniów jego, z których jeden był współczesnym Jezusa i którzy treść religii zawierając w słowach: „kochaj bliźniego jak siebie samego“, twierdzili, iż człowiek, który unosi się gniewem, nie godzien nauczać innych, a sobkowstwo odpierali pokornemi słowy: „czemże jestem, abym miał myśléć o sobie?“ Pojęcia takie, aczkolwiek nie przyjęte przez ogół, ale w stanie nieśmiertelnego zarodu istniały w demokratycznym ustroju społeczeństwa izraelskiego. Społeczeństwo to nie posiadało nigdy instytucyi dośmiertnego ani témbardziéj dziedzicznego niewolnictwa i podobnie twardego prawa własności jak te, które u siebie stworzyli Rzymianie. Przez dopuszczenie niewolników do święcenia na prawach równości z ich panami wszystkich tak licznych uroczystości i obchodów religijno-obyczajowych, przez prawem nakazane peryodyczne oswabadzanie niewolników, umarzanie długów i powrotu ziemi do wywłaszczonych z niéj przez jakiekolwiek okoliczności posiadaczy, klasy społeczne mieszały się z sobą ustawicznie i nie ulegały takiemu zamknięciu, jak to się działo gdzieindziéj; bogactwo téż, poddane peryodycznemu przechodzeniu z rąk do rąk, nie tworzyło kolosalnych skupień w jednych rękach, lub w jednych grupach społecznych. Z takiego stanu rzeczy wynikały opory przeciw teokratycznym ambicyom i przywłaszczeniom, zniechęcenia do wyobrażanego przez teokratyzm kultu, współczucie dla ubóstwa i podejrzliwa niechęć, często nienawiść względem przedstawicieli nadmiernego bogactwa. Opuszczając w swéj książce ten obraz przeszłości, Renan skrócił jéj historyczną perspektywę i zubożył filozoficzne motywy.

Współczesne powstaniu chrześcianizmu, okoliczności społeczne, umysłowe i obyczajowe tworzą w rozd. 4-tym książki obraz może za mało szeroki i pogłębiony, ale dość różnostronny i subtelnemi liniami skreślony. Najszerzéj uwzględnionym tu został motyw nieznmiernéj wagi w dziejach Izraela i chrześcianizmu, mianowicie idea mesyaniczna. Według Renana, najpierwotniejszych źródeł idei mesyanicznéj szukać należy w Persyi, która w epoce bardzo dawnéj pojęła historyą świata jako szereg ewolucyi, z których każdéj przewodniczyć miał wielki prorok. Ewolucye te miały posiadać trwanie tysiąca lat, a kolejno po sobie następując, przywieść czasy do ostatecznego ich okresu—do panowania Ormuzda. Po przeminięciu wielu takich tysiącoleci pod panowaniem Ormuzda, świat przemieni się w raj ostateczny, w którym ludzie będą doskonale szczęśliwi, a wszystkie ludy posiądą jeden język, jeden rząd i jedno prawo. Zanim to jednak nastąpi, dziać się będą na świecie rzeczy straszne.

Dahak czyli szatan zerwie swe pęta i zaleje świat nieszczęściami; aż przybędą ludziom na pomoc i pocieszenie dwaj prorocy, którzy zgotują już ostateczne przybycie Ormuzdowego królestwa. Księgi Daniela, Enocha i cała ówczesna literatura apokaliptyczna, przedstawiają żydowski wyraz téj perskiéj teoryi. Zaszczepieniu się jéj i rozwojowi u Żydów sprzyjała — wedle Renana — okoliczność nie istnienia w ich systemacie religijnym, w ścisły dogmat ujętego pojęcia o nieśmiertelności duszy. Gdyby Izrael posiadał doktrynę, rozcinającą człowieka na dwie połowy: ciało i duszę, i każącą wierzyć, że ciało tylko umiera, lecz dusza wiecznie żyje i na innym świecie otrzymuje należną sobie wypłatę, ten energiczny protest przeciw niesprawiedliwości w życiu jednostek i ludów widocznéj, jakim była idea mesyaniczna, nie miałby może przyczyny bytu. Lecz taka doktryna nie istniała w żydowskich tradycyach. Starożytne pisma żydowskie nie zawierają żadnéj wzmianki o nagrodach i karach pośmiertnych. Pojęcie to zastąpioném tam było przez solidarną odpowiedzialność pokoleń. Cierpienia człowieka cnotliwego poczytywano za część kary, wymierzanéj całemu jego pokoleniu. Jednak nie wystarczyło to na długo. Już w księdze Hioba brzmi straszna namiętna skarga na podobny wymiar sprawiedliwości. Cóż kiedy naród cały popadł w morze niedoli i kiedy najsroższe z tych niedoli dotykać go poczęły właśnie wtedy, gdy cześć jedynego Boga w zupełności już zwyciężyła w nim bałwochwalstwo i gdy najgorliwiéj strzedz on zaczął przepisów zakonu? Wtedy powstał w narodzie ruch poszukiwania. Sceptyczni i światowi Saduceusze usiłowali jaknajwiększą sumę uciech posiąść w tém życiu, stanowczo przecząc istnieniu jakiegokolwiek innego. Najwznioślejsi z mędrców zalecali praktykowanie cnoty dla niéj saméj, bez oczekiwania na wzór niewolników za nią zapłaty; inni marzyli o cząstkowéj i idealnéj nieśmiertelności, któréj dostępować mieli tylko najlepsi z ludzi, trwając na wieki w łonie Boga, przed oczami Boga, w pamięci ludzkiéj. Faryzeusze wierzyli w zmartwychpowstanie, lecz wiara ta miała u nich mnóstwo odcieni i niepewności. Tymczasem naród wybrany niósł większe niż kiedykolwiek brzemię nieszczęść i prześladowań, obrońcy jego ginęli męczeńską śmiercią; obce władze, obca mowa, obco pogańska cywilizacya zalewały świętą ziemię przodków i groziły zagładą narodowéj przyszłości. Dlaczego cierpieli sprawiedliwi a tryumfowali źli? Czy całą nagrodą pierwszych będzie zgnicie w ciemnym grobie, a na drugich nigdy nie spadnie pomsta i kara? Wtedy to, krzykiem rozpaczy i nadziei rozległo się wezwanie na pomoc Mesyasza, mściciela i sędzię ludów. Wtedy wzniosło się pragnienie zupełnego odnowienia świata, poprzedzonego przez jakąś straszną katastrofę kosmiczną,

która w samych korzeniach jego wstrząść miała światem i dla sprawiedliwych sprowadzić na ziemię wieczną szczęśliwość „królestwa bożego.“ Nie cały naród przyjął pojęcia te i nadzieje, ale znaczna część jego przejęła się niemi do głębi i żyła w gorączkowém oczekiwaniu koniecznego i już bliskiego przybycia Mesyasza....

Wrzenie namiętności politycznych utrzymywało umysły w stanie nieustannego naprężenia, sprzyjającego wszelkim objawom entuzyazmu. Ciągłe powstawanie i tłumienie cząstkowych buntów oswajało ludzi z myślą i widokiem męczeńskich śmierci. Walczono tam nieustannie i o wszystko. Z murów miejskich zrzucano orły cesarskie, psuto dzieła architektury rzymskiéj, przeszkadzano wznoszeniu posągów, odmawiano cesarzowi tytułu pana, bo Bóg jeden był „panem“ Izraela; wzbraniano się od płacenia podatków; wybuchano zgrozą przeciw różnym czynnościom administracyi rzymskiéj, jak naprzykład spisowi ludności krajowéj. Temu niezmordowanemu opieraniu się żywiołom obcym towarzyszyło wytężone strzeżenie wszystkich cech swojskości. Faryzeusze stanowiący patryotyczną demokracyą narodu i wbrew we wszystkiém przeciwni kosmopolitycznéj arystokracyi saducejskiéj, w skrupulatném, do najdrobiazgowszéj kazuistyki posuniętém spełnieniu przepisów zakonu, widzieli najważniejszy z obowiązków i ratunkowych środków ówczesnego położenia. Dla pociągnięcia ludu swym przykładem, a może i dla zamanifestowania uczuć narodowych przed Rzymianami, pełnili oni ten swój obowiązek ostentacyjnie, z umyślną i przesadną pompą, podnosili do kapitalnego znaczenia każdy suchy i już przeżyty drobiażdżek kultu. Po za tém stronnictwem, więcéj może politycznem niż religijném, istniały jeszcze stronnictwa i sekty inne. Powstawali wtedy właśnie Zelatorowie czyli gorliwcy, z krańcowym fanatyzmem, przez miecz i ogień niszczący każdy objaw przeciwny narodowéj religii lub niepodległości. Byli Esseńczycy, nauczający czystości i wzniosłości życia, a omywający się z grzechów przez symboliczne zanurzanie się w wodzie; Ebionici, stowarzyszenie ubogich, łagodnych, pokornego serca, miłych Panu w swém ziemskiém poniżeniu. Mnóstwo taumaturgów, czyli cudotwórców obiegało ten kraj wzburzony i udręczony i dobre przyjęcie znajdowało u tłumów, spragnionych widoku rzeczy nadziemskich i nadprzyrodzonych. Zepsucie moralne, pycha i zobojętnienie dla spraw narodowych duchowieństwa wyższego, budziło w ludzie wstręt i oburzenie i umniejszało powagę kultu, którego przedstawicielami byli kapłani chciwi, dumni, rozpustni, kupczący rzeczami świętemi.

Wtedy to właśnie, w téj atmosferze burz i udręczeń, suchéj kazuistyki i zarazem żywego ruchu umysłów, rozległ się głos niewy-

mownie słodki i wzniosły, nauczający, że Bóg nie jest srogim i mściwym panem, ale ojcem dobrotliwym, który słońcu wschodzić każe zarówno dla złych, jak dla dobrych i wobec którego wszyscy ludzie, bez różnicy pochodzenia, stanu i wiary są sobie braćmi. Była to nauka doskonałéj dobroci i czystości serca, wyłączająca gniew, zemstę, pychę, ubieganie się za korzyścią i użyciem ziemskiém, a na ich miejsce wynosząca przebaczenie bez warunków i granic, litość powszechną, cierpliwość, wznoszenie uczuć i myśli ku niebieskiemu ojcu. Była to nieprzyjazna bogactwu i wyrafinowanéj mądrości apoteoza ubóstwa i prostoty ducha. Była to nakoniec doktryna idealna, zupełnie oderwana od kultowego formalizmu i drobiazgowéj kazuistyki starego zakonu, zalecająca budowanie świątyń dla niebieskiego ojca nie w żadnych miastach i nie na żadnych wzgórzach, ale w sercach ludzkich.

Pomimo powierzchownego prześlizgiwania się po szeregu moralistów z żydowskiéj przeszłości, Renan uznaje, że oprócz pojęcia Boga jako ojca (bardzo zresztą płodnego w moralne wywody i następstwa) doktryna ta nie zawierała prawd i zaleceń, któreby wprzódy już wypowiadanemi nie były. Ale—dodaje on z zupełną słusznością — przyjęcie przez ogół nauki jakiejś, zależy wielce od przymiotów, cechujących jéj głosiciela. Aforyzmy ewangeliczne sprawiają wcale inne wrażenie niż te, które znajdują się w poprzedzających je pismach. Wieje z nich duch poezyi, entuzyazmu i szerokości uczuć, obejmującéj całą ludzkość. Mało oryginalna w tém znaczeniu, że wszystkie zdania jéj i przepisy były już wprzódy wypowiedzianemi, moralistyka ewangeliczna nie przestaje być przeto najzupełniejszą kodyfikacyą najwyższych pomysłów ludzkiego ducha i najpiękniejszą ustawą dla cnotliwego życia ze wszystkich, które kiedykolwiek kreślili moraliści świata. Oprócz zlania w jedną i zgodną z sobą całość, oderwanych dotąd kwiatów uczuć idealnych, oprócz przenikającéj tę całość poezyi i niezrównanéj dobroci, wrażenie sprawiane przez naukę nowego mistrza potęgował duch chwili ówczesnéj. Była to chwila wytężonego oczekiwania, pod którego wpływem wszystko nabiera niezwykłych znaczeń i ulega subtelnym tłomaczeniom. Jezus w przemówieniach swych nazywał siebie *synem Bożym* i mówił często o *królestwie bożem*. Były to wyrażenia mesyaniczne, znane dobrze ówczesnemu pokoleniu z ksiąg Daniela, Enocha i apokryficznych apokalips, przywodzące koniecznie na pamięć finalne katastrofy tego świata złości i ucisku i przyjście na ziemię ery pokoju i szczęścia.

Liczni i zachwyceni nauką mistrza uczniowie ujrzeli w nim mesyasza, czyli tego proroka nad prorokami, którego przybycie na

świat zwiastowało koniec bieżącéj, a bliskie nadejście nowéj ery świata. Ale oczom Faryzeuszów i Saduceuszów nowa nauka ukazała się we wcale innéj postaci. Ujrzeli w niéj oni pierwiastki wbrew przeciwne własnym zasadom i dążeniom. Umieszczając religią w sferze idealnéj, moralnością uczuć i życia zastępując formalistykę kultową, głośno i energicznie potępiając tych, którzy pobożność i doskonałość widzieli w drobiazgowém pełnieniu materyalnych przepisów zakonu, nowa nauka nie tylko drażniła dumę i raziła prawowierność Faryzeuszów, ale dążyła ku obaleniu tego, co poczytywali oni za ochronczy mur Izraela. Saduceusze znowu, skosmopolityzowani i z władzą rzymską pogodzeni, dbając przedewszystkiém o spokojne i legalne zachowywanie się ludności, drżeli przed każdą nowością, wywołać mogącą żywsze ruchy ludowe. Oświeceni i sceptyczni, nie podzielali oni narodowych wiar i nadziei: w życiu towarzyskiém i umysłowém zbliżeni do Rzymian, widzieli, że walka z tą potęgą byłaby nietylko daremną, lecz w ostatecznych wynikach swych zgubną, i że tylko w przedłużającym się pokoju spoczywała nadzieja przedłużenia bytu ich ojczyzny. Były to najpotężniejsze i najbardziéj wpływowe stronnictwa. Saduceusze dzierżyli wielkie bogactwa i najwyższe godności krajowe, a także wspierali się na powadze i sile władz rzymskich; Faryzeusze poważani i kochani przez naród jako patryoci i skrupulatni zachowywacze Zakonu, byli zarazem w synagogach i szkołach nauczycielami ludu. Walka pomiędzy dwoma temi potęgami, a głosicielem nowéj nauki, zawiązała się wnet po przybyciu Jezusa do Jerozolimy. Śledzono go bacznie i niespokojnie, zastawiano nań sieci z podstępnych zapytań i rozsiewanych pogłosek. Dążono do kompromitowania go w obec sanchedrynu, którego zadaniem było sądzenie przekroczeń religijnych i w obec władz rzymskich, bez których zatwierdzenia żaden wyrok śmierci spełnionym być nie mógł. Jezus na zaczepki i podstępy odpowiadał subtelną ironią, albo coraz otwartszém i bardziéj energicznėm gromieniem tych, którzy płacili dziesięcinę od ziarnka mięty, anyżu i kminu, a zaniedbywali sprawiedliwość, litość i uczciwość; którzy szeptali długie modlitwy, a z nad głów wdowich zrywali dachy; którzy filtrowali swe wino, aby nie połknąć z niém owadu a przełykali wielbłądy; którzy doglądali zewnętrznéj czystości półmiska, a wnętrze zanieczyszczali chciwością i zdzierstwem; którzy byli podobni grobom pobielanym, na zewnątrz pięknym lecz w głębi pełnym zgnilizny i trupich kości. Do entuzyastycznych tych potępień, przyłączały się groźby: zniszczenia świątyni wzniesionéj z cegieł a zastąpienia jéj przez inną, któréj ludzka ręka budować nie będzie; odebrania królestwa bożego zepsutemu i proroki swe krzyżującemu lu-

dowi, a obdarzenia niém pogan. W zapale walki, staczanéj przez jednostkę otoczoną nielicznén gronem wiernych, z najsilniejszemi i najwpływowszemi potęgami kraju, przedziwna słodycz i pogoda galilejskiego nauczania ustępuje miejsca wrzącéj potędze i energii słowa. Teraz już Jezus sam nazywał siebie nietylko synem Bożym ale Mesyaszem, czyli Zbawcą świata, a podstępnie zapytany, czyli uznaje się za żydowskiego króla, odpowiedział twierdząco, dodając, że królestwo Jego nie jest z tego świata. Stało się zadość żądaniom Faryzeuszów i Saduceuszów. Sanchedryn ścigać musiał tego, który mianował się „synem Bożym“, przekładał pogan nad Żydów i groził zniszczeniem jerozolimskiéj świątyni; w obec władz rzymskich, oskarżenie o mianowanie się królem żydowskim, posiadało wagę pewną, tém większą, że na cesarskim krześle zasiadał w Rzymie podejrzliwy i prokuratorów swych trwogą napełniający Tyberyusz.

Takie to zawikłania polityczno-społeczne i psychiczne usposobienia różnych odłamów żydowskiego społeczeństwa, sprowadziły dramat uwięzienia, stawiania przed różnorodnemi sądami i nakoniec śmierć Jezusa. Na tym szerokim i do głębi wzruszającym obrazie, mistrzowskie pióro autora kreśli w plastycznych i zarazem subtelnych rysach postaci lub profile działających w nim osób. W różnobarwnéj grupie, złożonéj z Faryzeuszów i poddanego ich wpływom motłochu, z duchownych i świeckich żydowskich dostojników i Jezusowych uczniów, oryginalnością fizyonomii swéj wyróżnia się prokurator cesarski w Palestynie, Pilatus Ponticus. W czasach cesarstwa Rzymianie udzielali podbitym przez się ludom szerokich praw autonomicznych i zupełnéj swobody wyznaniowéj. Wogóle po za pojedynczemi wyskokami tyranii niektórych cezarów, panowała w duchu obyczajów i ustaw rzymskich zupełna wolność słowa; po za wyjątkowém w ich dziejach i specyalnemi przyczynami spowodowaném prześladowaniem chrześcianizmu, nie znali oni wcale religijnéj nietolerancyi. Praktyczne przeważnie cele na oku mając, w wyższych warstwach społecznych przeniknięci światłem nauki i filozofii, trudnili się oni w krajach podbitych budowaniem dróg i gmachów publicznych, odbieraniem podatków państwowych, dokonywaniem w celach wojskowych i administracyjnych dokładnych spisów ludności, wznoszeniem miast, urządzeniem żeglugi, handlu i przemysłu. Dopuszczali się oni częstych i ciężkich nadużyć, lecz tylko na materyalnych dobrach krajów i ich mieszkańców; ducha narodowego bezpośrednio nie dotykali nigdy, żadnych pęt nie wkładając na obyczaje, wiarę, mowę i nauczanie. Teologiczne szczególniéj dociekania i spory całkiem były dla nich obojętne i nawet niezrozumiałe. Znajdowali się względem nich nietylko obojętnie ale nawet wzgar-

dliwie, wszelkie podobne zatargi uważając za piętno cywilizacyjnéj niższości narodu. I tutaj także, wytworny profil patrycyusza rzymskiego przesuwa się przed nami, z uśmiechem ironii na ustach a zarazem, z litością i wzruszeniem w oczach. O co tym ludziom idzie? Co znaczy ten zakon, w którego obronie tak gorliwie stają, i te nadnaturalne wyobrażenia i określenia, przeciw którym tak zażarcie walczą? Cóż występnego popełnił ten, którego śmierci żądają? Głosił nową naukę? W Rzymie wszystkiego nauczać można, co tylko nie godzi na porządek i spokój publiczny. W nauce Chrystusa prokurator rzymski nic karygodnego nie dostrzega. W ojczyźnie jego byłby to poważaniem publicznem otoczony filozof lub moralista. Nauka ta nawet wzrusza go i zdobywa jego szacunek. Czyż nie brzmi w niéj jakby echo tych uczuć i pojęć, które Cyceron ogarnął trzema słowy: *caritas generis humani*, a w niewiele lat późniéj Seneka miał zamknąć w czterech: *homo res sacra homini*? Rzymski prokurator broni oskarżonego wszelkiemi sposoby, jakich dostarcza mu kompetencya jego władzy. Ale Jezus nazwał się królem żydowskim, oskarżenie to stwierdzają świadkowie, w Rzymie panuje podejrzliwy, okrutny Tyberyusz. Po szlachetnym profilu rzymianina, napiętnowanym dotąd ironią i litością, przebiega drgnienie trwogi. Lęka się delatorów, drży przed srogą odpowiedzialnością, która go dotknąć może, jeżeli oszczędzi tego, którego poczytano za buntującego przeciw cesarskiéj władzy naród podbity. Po wielu jeszcze wahaniach, próbach ratunku i nawet wybiegach, urzędnik i poddany cezara podpisuje wyrok śmierci, ale uczeń nauki i filozofii greckiéj, ziomek Lukrecyusza, Wirgilego, Cycerona i Seneki, z gniewem i żalem zrzuca odpowiedzialność za krew niewinnego na głowy fanatycznych i zażartych jego oskarżycieli.

W następnym tomie noszącym tytuł: „Apostołowie“ Renan używa w najrozleglejszém jéj znaczeniu, téj zdolności, którą uważa za podstawową i niezbędną dla krytyki historycznéj, zdolności rozumienia stanów społecznych i psychicznych, najbardziéj różniących się ze współczesnością pisarza. Stan ludzkości w ogóle, a w szczególności i najbardziéj ludności wschodnich, niesłychanie odrębny do tego, pośród którego dziś żyjemy, tłómaczy najpierwotniejsze powstanie dogmatów chrześciańskich. Chrześcianizm był ewolucyą ducha ludzkiego, która, zanim objęła wszystkie odłamy i warstwy ludzkości, dokonała się w łonie klas ludowych przedewszystkiém, w niższych warstwach ludu Palestyńskiego. Fakt ten pozostałby niewytłómaczonym, gdybyśmy lud ówczesny i tamtejszy wyobrażali sobie na wzór klas niższych w dzisiejszych społeczeństwach europejskich. Takie właśnie zmieszanie pojęć prowadzi do wniosków najbłędniej-

szych; bo zjawiska moralno-umysłowe, które przy dzisiejszym stanie rzeczy powstaćby mogły chyba cudem, w stanie ówczesnym były naturalnym wynikiem zawartéj w nim sumy przyczyn. Prostacy z pierwszego wieku ery naszéj, szczególniéj prostacy greccy albo wschodni, nie byli w najmniejszéj rzeczy podobnymi do dzisiejszych europejskich prostaków. Przedewszystkiém, pochodzili oni z ras obdarzonych temperamentem żywym, wielką siłą uczuć i wyobraźni, któréj nie tłumiły ani surowość klimatu, ani brzemię ciężkich materyalnych potrzeb. Wprawdzie, aby módz żyć, musieli oni pracować fizycznie, ale suma wysileń ich była bardzo małą. Każdy tam wykonywał jakieś rzemiosło, lecz oddawał mu zaledwie drobną część swego czasu, bo potrzeby życia bardzo małe zadawalniały się z wielką łatwością. Warunki klimatyczne upraszczały odzież; pożywienia, w szczupłéj ilości potrzebowanego dostarczały płody, zdobywane bez wielkich, a czasem i żadnych trudów, u bogatéj i żyznéj natury. Wiele więc czasu ludzie ci poświęcać mogli spoczynkowi i wpatrywaniu się tak w samych siebie, jak w otaczającą ich przyrodę, nie chłodną i umiarkowaną jak nasza, lecz pełną ruchu i kolorytu, poezyi lub grozy. Dziś, potrzeby materyalne są tak trudnemi do zadowolenia, że tylko ten, kto nie żyje z pracy rąk swoich, może się zajmować rzeczami oderwanemi od zmysłowego świata. Podówczas, lud, z natury swéj skłonny do marzeń i uniesień, długiemi godzinami i dniami mógł marzyć w cieniach winnic i oliwnych gajów, lub toczyć nieskończone spory w ścianach zborów ludowych, przed bramami i na rynkach miast. Obok rasowych i klimatycznych, ważne też miejsce zajmują edukacyjne warunki, śród których żył lud ówczesny. Nie był on tak grubo nieoświeconym, jakim jest dziś w wielu jeszcze miejscach i zarazem, większa niż dzisiaj przestrzeń dzieliła go ze wszelkim cieniem umysłowego krytycyzmu. Edukacya publiczna była tam w ten sposób urządzoną, że każdy przyjmował w niéj pewien udział. Wynikało to z pobudek religijnych, ale przywodziło z sobą następstwo niejakiego gimnastykowania i udelikatnienia władz umysłowych. Ówczesne szkoły opuszczając, prostak nie miał myśli tak ociężałéj i niemal martwéj, jak ten z dzisiejszych chłopów lub wyrobników, którego chociażby tylko sztuki czytania i pisania nie nauczono. Ale zkądinąd, był on znowu ciemniejszym jeszcze od tego chłopa lub wyrobnika, w którego umysłowy ustrój wnikać muszą choć drobne źdźbła napełniającego świat dzisiejszy, a w nauce źródło swe mającego krytycyzmu. Greko-rzymska nauka, bardzo niedostatecznie wyjaśniająca sprawy natury i ludzkości, zatrzymywała się w wyższych społecznych warstwach, wcale prawie nie przenikając do niższych. I tę przecież naukę z pobudek religij-

nych i politycznych Palestyna z całéj siły wytrącała ze swych granic.) Tak zwani helenizujący czyli naukę grecką przyjmujący żydzi znajdowali się w Aleksandryi i pomiędzy żydowską arystokracyą; lud żydowski, nie wiedział o jéj istnieniu i nic wcale z niéj nie przyjmował. Ztąd, najzupełniejszy brak jakiegokolwiek sceptycyzmu, jakiejkolwiek krytyki i dziś już, nigdzie w Europie nie napotykana bezbrzeżna i bezgraniczna łatwowierność. Wszystko, cokolwiek w chwilach długich spoczynków wyśniła wyobraźnia, wydawało się im prawdą widzianą na jawie; nic z tego, czego zapragnęły uczucia, nie wydawało się niemożliwém. Możliwość nie posiadała dla tych ludzi żadnych granic. Pola jéj, w szczególny sposób rozszerzanego przez ognistą ich wyobraźnię nie zwężały żadne rozumowe względy. W takich warunkach, entuzyazm rodzić się musiał z taką łatwością, z jaką dziś u nas rodzi się zwątpienie, a dosięgał stopnia temperatury tak wysokiego, że o podobnym nie mamy już pojęcia. Cóż, jeżli jakaś specyalna przyczyna, lub témbardziéj zbieg kilku specyalnych przyczyn, wprawiły w ruch i do ostatnich granic wytężenia doprowadziły te wszystkie cechy ówczesnych ustrojów ludzkich! Wtedy entuzyazm stawał się namiętnością tak potężną, że jak siła ślepa i w szalony pęd wprawiona, druzgotał przed sobą wszystkie naturalne i rozumowe zapory; wtedy powstawały wizye i sny, poczytywane najszczerzéj za najrzeczywistszą rzeczywistość, przedmioty ukochań i tęsknot oblekały się widzialnemi i dotykalnemi formami, przepowiednie, przestrogi, rozkazy i groźby przemawiały z każdego zjawiska natury i każdego najprostszego zbiegu okoliczności. Wtedy, to, co dzisiejsza medycyna nazywa histeryą lub halucynacyą, stawało się dla wielu naraz organizmów i przez ciąg całych istnień, stanem ciała i ducha zupełnie normalnym.

Zbiegiem psychicznych motorów, specyalnie działających na uczniów Jezusa, była niezmierna miłość dla mistrza i stosowanie do Jego osoby, przepowiedni i nadziei mesyanicznych. Mesyasz, który zstąpił na świat, aby z gruntu i korzeni przeistoczyć całą jego postać i aby przewodniczyć, mającemu nastąpić po wielkiéj katastrofie „królestwu bożemu“, nie mógł umrzéć wprzód, zanim te wszystkie straszne i wielkie rzeczy dokonanemi nie zostały. Tak utrzymywały przepowiednie ksiąg mesyanicznych. Z drugiéj strony, serca osieroconych po mistrzu uczniów tęskniły zanim rzewnie i pragnęły namiętnie widzieć znowu ubóstwione oblicze, słyszeć głos, który, tak niedawno jeszcze lał w nie potoki słodyczy i ukojenia. Długi szereg objawień, stwierdził przepowiednie mesyanizmu i uczynił zadość płomienistym pragnieniom dusz. Jezus zjawiał się swym wyznawcom i miłośnikom u krawędzi grobu swego, nad brzegami i na falach Ga-

lilejskich jezior, u szczytów wzgórz, w ścianach izb, gdy z rozrzewnioném o Nim wspomnieniem zasiadali do wspólnéj wieczerzy. Tchnienie Jego przynosił im każdy powiew wiatru; przybywanie Jego oznajmiało im każde skrzypnięcie drzwi; linie Jego oblicza i kształty Jego postaci zarysowywały się przed nimi w ruchomych falach wodnych i napowietrznych grach mgieł i świateł; obecność Jego zwiastowało im wzdymanie się własnych ich uczuć, wzbieranie piersi łzami i ogniem. Ewangelie różnią się z sobą w oznaczeniu czasu, przez jaki trwały te objawienia. Jedni oznaczają im trwanie półtora roku, inni kilku miesięcy; ostatecznie, zamkniętemi one zostały w obrębie symbolicznéj na wschodzie cyfry dni 40-stu. Co pewna, to że, gdy Apostołowie, po wycieczce swéj do Galilei, osiedli w Jerozolimie i wraz z garstką współmyślących utworzyli tam pierwszą chrześciańską gminę, dogmaty zmartwychwstania i wniebowstąpienia były już ustanowionemi. Jak niegdyś Mojżesz i Eliasz, z niebieską pompą i wspaniałością, żywcem zostali przeniesionymi z ziemi do nieba, tak Jezus zadaną mu śmierć zwyciężywszy, żywy i w oczach uczniów swych wzniósł się w sfery nadziemskie, gdzie u boku niebieskiego Ojca zasiadać będzie dopóty, dopóki nie przyjdzie blizki, bardzo blizki dzień spełnienia mesyanicznych przepowiedni. Materyalne zagadnienia, o które w tym rzędzie pojęć, co chwilę uderzaliby się ludzie dzisiejsi, nie zajmowały tam nikogo i dla nikogo nie istniały. Było to zwycięztwo zupełne, odniesione przez uczucie i ideę nad materyą i rządzącemi nią prawami. Gdy prawa te były nieznane i wszystkim obojętne, idea i uczucie panowały wszechwładnie. Pierwsze zgromadzenie wyznawców Jezusa prowadziło sposób życia bardzo podobny do późniejszych reguł klasztornych. Ściśle spojeni z sobą jedną miłością i jednemi nadziejami, nie posiadali oni żadnéj osobistéj własności. Ktokolwiek przystawał do gromadki Jezusowych uczniów, pozbywał się majątku swego na rzecz ogólną. Przywódzcy zgromadzenia rozdzielali dobro wspólne, dając każdemu wedle jego potrzeb. Zamieszkiwali wszyscy jednę dzielnicę miasta; jadali razem i do wspólnego spożywania wieczerzy przywiązywali znaczenia mistyczne. Długie godziny upływały im na modlitwach, które czasem bywały głośną improwizacyą, a czasem wewnętrznem, milczącém rozmyślaniem. Ekstazy bywały rzeczą codzienną i uchodziły za dar wysoki i natchnienie Boże. Doskonałéj ich zgody nie zakłócało nic: ani kłótnie dogmatyczne, ani spory o pierwszeństwo. Wszelkie różnice i niechęci topniały w cieple świeżych wspomnień o mistrzu. Nadawali sobie nazwę Ebionitów, czyli ubogich. Wierzyli silnie w blizki koniec świata. Zebrania ich nie posiadały żadnych cech liturgicznych; duchowieństwa nie było. Przywódzcami duchownymi

i administratorami majątku gminy, byli ci, którzy niedawno jeszcze najbliżéj znali i otaczali Jezusa. Kapłanem jedynym był Jezus; w innéni znaczeniu, w znaczeniu cnoty i pobożności, wszyscy wyznawcy byli kapłanami. Co do specyalnych, religijnych obrządków, istniało ich jeszcze bardzo niewiele: praktykowane przez Eseńczyków zanurzanie się w wodzie: używane téż w niektórych sektach żydowskich, a pochodzące z religii chaldejskiéj i perskiéj, przelewanie Ducha Bożego, przez przykładanie rąk starszego w gminie do głowy świeżo przyjmowanego członka. Chrzest przez wodę i chrzest przez Ducha ś-tego były niezbędnemi dla zostania członkiem gminy. Towarzyszył im znany w starożytności żydowskiéj, akt publicznego wyznawania grzechów. Choroby fizyczne, powszechnie przez żydów uważanemi były jako kary za popełnione przewinienia, albo sprawy złego ducha. Apostołowie leczyli je przez przykładanie rąk swych do głowy chorego i namaszczenie go oliwą. Wyzdrowienie poczytywało się za sprowadzone przez modlitwy i cnoty tych świątobliwych ludzi, odpuszczanie grzechów. W téj pierwszéj chwili chrześcianizmu nie pisano wcale. Pocóż utrwalać cokolwiek, gdy wszystko wnet będzie skończoném? W przeddzień zniszczenia swego świat nie potrzebuje książek, zarówno jak majątków. Śpiewano za to wiele; przy silniejszém wezbraniu natchnienia i ekstazy, wypowiadano proroctwa, nauki, głośne modlitwy. Wskutek nadmiernych wzruszeń język, którym przemawiano stawał się bełkotliwym, dźwięki i wyrazy mięszały się w nim i tworzyły słowa nieznane, pełne tajemniczości, w których słuchacze szukali znaczeń uroczystych i proroczych. Kto nie umiał nauczać, improwizować modlitw, przepowiadać i leczyć, płakał. Łzy, poczytywane były za akt nabożeństwa, płacz wtórzył modlitwom, kazaniom, przestrogom. Był to stan ciągłéj i wytężonéj ekstazy. Wizye wskazywały drogi postępowania; sny i proste zbiegi okoliczności przepowiadały przyszłość. Świat i życie pływały w nadprzyrodzoności.

Dziwnym zbiegiem sprzeczności, który tylko w tego rodzaju umysłach i epokach istnieć może, powyższym usposobieniom, do najwyższego stopnia idealistycznym, towarzyszyło nietylko wierne, ale żarliwe spełnianie wszystkich materyalnych przepisów mojżeszowego prawa. Pod tym względem członkowie pierwszéj gminy chrześciańskiéj nie pozwalali sobie na najdrobniejsze odstępstwa. Szczególniéj Jakób, nazywany „bratem pańskim", który posiadał w gminie powagę równą powadze Piotra albo i jeszcze wyższą, odznaczał się tém namiętném przywiązaniem do rytuału starego zakonu, tą wiarą w jego zbawienność i tém skrupulatném, a zarazem manifestacyjném pełnieniem jego przepisów, które stanowiły wybitne cechy Faryzeu-

szów. Oderwanie się od żydowskich tradycyi i obyczajów nie przychodziło im na myśl. Nowa nauka miała być w ich mniemaniu tylko kontynuacyą i udoskonaleniem staréj, Jezus przyniósł ją żydom i żydów tylko dotyczyły wkrótce spełnić się mające obietnice mesyaniczne. Z pojęć tych jako proste następstwa wynikało naprzód: że wyznawcy nowéj wiary poczytywanymi byli i poczytywali się sami za sektę, powstałą w łonie judaizmu i nierozerwalnie z judaizmem połączoną, następnie, że prozelityzm ich, wyłącznie skierowany ku Palestynie i jéj stolicy, w pewnym stopniu oddziaływał na kraje sąsiednie, jako to: Syryą. Małą Azyą i Egipt, ale szerokich przestrzeni zachodu: Grecyi i krajów rzymskich, wcale na oku nie miał. Owszem w wyobrażeniach tych najpierwszych chrześcian, były to kraje zatracenia, napełnione bałwochwalstwem i nieprawościami. One to właśnie miały być tym probierzem, który wykaże istnienie sprawiedliwości Bożéj, albowiem tuż tuż nadchodzący dzień odnowienia świata, przynosząc dla Izraela tryumf i doskonałą szczęśliwość, stanie się dla nich dniem kary, pomsty i zagłady.

Na szczupłém więc polu działający prozelityzm chrześciański czynił jednak szybkie postępy. Słodycz i poetyczność jego moralnéj doktryny, pocieszająca wiara w blizkie spełnienie się mesyanicznych obietnic i ściśléj niż gdziekolwiek indziéj określone pojęcie zmartwychpowstania, pociągały ku niemu dusze łagodne i kochające, albo strapione i niespokojne. Pociągniętemi ku niemu uczuły się szczególniéj dusze poniżone i trawione poszukiwaniem prawdy. Licznie do nowéj nauki garnęli się judaizujący cudzoziemcy, to jest ludzie pochodzenia nie żydowskiego, lecz którzy przyjęli wiarę żydowską i w społeczeństwie żydowskiém zajmowali miejsce podrzędne. Byli to Syryjczycy, synowie Azyi Mniejszéj, Egiptu, Cyrenaiki. Już w saméni ich przystaniu do Mojżeszowego zakonu tkwił pierwiastek tego szlachetnego niepokoju ducha, który goni za ideałem i który ich skłaniał teraz do postąpienia jeszcze daléj. Opuszczając Jerozolimę, ci nawróceni zanosili do rodzinnych swych krajów to, co napełniało ich umysły i serca. Tym sposobem. bardzo wązkiemi zrazu strumieniami, chrześcianizm wylewać się zaczął z granic Palestyny. Ta okoliczność sprawiła, że zawiązki jego powstały bardzo wcześnie w miastach takich jak Antyochya, Damaszek i Aleksandrya.

Dla téj coraz liczniejszéj gromadki chrześcian, Faryzeusze nie uczuwali takich niechęci i podejrzeń, jakie budził w nich Jezus. Rzecz łatwa do zrozumienia. Rozległe pojęcia religii oczyszczonéj od formalistyki kultu i wspaniałe uczucie miłości, ogarniającéj cały ród ludzki, które stanowiły same jądro nauki mistrza, zanikając w rękach uczniów, przestało razić i trwożyć gorliwców żydowskiéj wia-

ry i odrębności. W zamian, Saduceusze, nienawidzący wszelkich ludowych ruchów, nie mogli obojętnie spoglądać na wzrastającą popularność gromadki prostaków, przepowiadających bliską zagładę możnym tego świata i niezawodny tryumf maluczkich. Ostatni wyraz dumnego, lękliwego o bezpieczeństwo własne arystokratyzmu i demokratyzm, posunięty aż do apoteozy ubóstwa i do wspólności dóbr, starły się i skrzesały iskrę prześladowania. Do kapłanów i bogaczów przyłączyła się zapewne i część jakaś Faryzeuszów, niechętnych, osłabiającemu naród rozłamywaniu się jego na religijne sekty. Apostołowie: Piotr i Jan, jako też niektórzy inni członkowie chrześcijańskiéj starszyzny, po kilkakroć więzieni, skazywani byli na biczowanie, karę, stosowaną do odszczepieńców. Wychodzili z kaźni pełni radości, że daném im zostało cierpiéć za ukochanego mistrza i jego naukę. Wtedy to podniósł się w sanchedrynie głos nie do chrześcianina należący, ale którego słowa „Dzieje Apostolskie“ zapisały ku uwielbieniu potomności. Wnuk Hillela, prawowierny mozaista, Gamaliel, wyrzekł do prześladowców: „Jeżeli sprawa ta jest próżnym wymysłem, nie zważajcie na nią, a upadnie sama przez się; jeżeli zaś tkwi w niéj mądrość i prawda, jakże śmiecie opierać się dziełu Boga? W każdym razie, uciskiem i krzywdami nie stłumicie jéj pewno!“ Przedziwne te słowa były próżną przestrogą i przepowiednią trafną. Prześladowanie, któremu ulegli wyznawcy chrześcianizmu zdwoiło ich zapał; zdwojony zapal popchnął ich do głośniejszego i gorętszego niż wprzódy nawracania. Najśmielszym i najwymowniejszym był Stefan, który do koła siebie, na rynkach stolicy i przed bramami świątyni, zgromadzał tłumy słuchaczów, złożone przeważnie z judaizujących cudzoziemców, pochodzących z Cyrenaiki, Aleksandryi, Antiochii, Efezu. Z namiętną wymową wołał on, że Jezus był Mesyaszem; że zadając mu śmierć, kapłani popełnili zbrodnię; że żydzi byli buntownikami przeciw Bogu, przeczącymi rzeczom jawnym. Groził zniszczeniem świątyni jerozolimskiéj i zastąpieniem praw mojżeszowych przez inne, mocą Jezusa. Wpadając w zwykłą chrześcianom ekstazę, wznosił wzrok ku niebu i twierdził, że otwiera się przed jego oczami i że w niém widzi Syna Bożego, stojącego po prawicy swego Ojca. Dla Żydów wszelkich odcieni, były to straszne bluźnierstwa przeciw Bogu, wierze i narodowi. Na Stefana wydano wyrok śmierci. Niema w historyi śladu, czy zatwierdziła go władza rzymska, czy też, gdy jeden z prokuratorów cesarskich usuniętym został od rządów, a drugi go jeszcze nie zastąpił, w chwilowym roztroju, uniknął on jéj wiadomości. Ale aktowi ukamienowania pierwszego męczenika chrześcianizmu przytomnym był jeden z najgenialniejszych mężów ludzkości, ten, który swe wpływy,

rozciągnąć miał na długi szereg wieków i pokoleń. Wykonawcy wyroku, mający na skazańca rzucać kamienie, zdjęli wpierw odzież swą i w oznakę czci złożyli ją u nóg przewodniczącego im w fanatyzmie i prawowierności, młodego Saula, z łacińska nazywanego Paulusem.

Zjawienie się tego człowieka na arenie świata, stanowi fakt, rozstrzygający losy epok i milionów. Jest-to postać olbrzymia, jedna z tych, które dyktują historyą ludzkości. Gdyby nie on, chrześcianizm ugrzązłby może w ciasnocie odrębności narodowościowéj i usechł w objęciu rytuałowych formuł i przepisów. Gdyby nie jego genialne pomysły i żelazna siła woli, to co stało się religią najoświeceńszéj części ludzkości, skonałoby może na dalekim wschodzie, jako sekta szerokim przestrzeniom nie znana i po krótkiém istnieniu zostawiająca za sobą takie tylko ślady, których odgrzebywaniem z pyłu zapomnienia trudnią się rzadcy szperacze. On to sztandar chrześcianizmu podniósł na tę wysokość, z któréj go ujrzał cały świat ówczesny; on téż w myśl Mistrza wyrwał go z materyalnego gruntu starego Zakonu i rozwinął nad całą ludzkością.

W dziele Renana postać ta zjawia się w połowie 2-go tomu, a znika zaledwie w połowie 4-go i jest to, po Życiu Jezusa, najbardziéj zasadnicza część całego dzieła. Ze szczegółów zaczerpniętych w mnóstwie pism współczesnych i późniejszych, jako téż z głębokiego wniknięcia w naturę dusz podobnych, powstaje przed nami plastyczny i subtelnie wycieniowany wizerunek fizycznéj i moralnéj istoty Pawła. Nie był to już prostak, ale człowiek, który otrzymał najwyższy stopień wykształcenia, jakiego sięgała narodowa edukacya w Palestynie. Obok tego umiał on po grecku, a ze zlatynizowanego imienia *Paulus*, które nosił, i z tytułu obywatela rzymskiego, który po ojcu odziedziczył, wnosić należy, że rodzina z któréj pochodził, nie była bez niejakich stosunków z cywilizacyą łacińską. Temu faktowi przypisać można większą u niego niż u jerozolimskich wyznawców, znajomość ówczesnego świata, wyższą światową ogładę i umiejętność używania w sposób oryginalny lecz pełen siły, wrodzonéj pisarskiéj zdolności. Tę szerokość poglądów na rzeczy ducha i ludzkości, które go uczyniły nieprzyjacielem starego kultu i zawiodły w świat pogan, wyniósł on może ze szkoły Gamaliela, Hillelowego wnuka, w któréj czas jakiś w pacholęcych swych latach przebywał. Jednak łagodność i tolerancya, odznaczająca hilelistów, nie przeniknęła nigdy w tę organizacyą zapalczywą, energiczną, zdolną zarówno do mistycznych ekstaz i wizyi, jak do praktycznéj i niestrudzonéj czynności. Była to natura tak nadzwyczajnie entuzyastyczna i czynna, że umiarkowanie i spoczynek na zawsze nieznanemi jéj pozostać miały. Był on fanatycznym i najczynniejszym prze-

śladowcą chrześcianizmu, dopóki nie został najgorliwszym i najpraktyczniejszym jego szerzycielem. Nic bardziéj zajmującém i głębiéj pojętém być nie może, jak rozbiór psychicznego procesu, który zmianę tę spowodował. W dziwnéj gmatwaninie rzeczy ludzkich nieraz wykazało się jawnie, że pobudkami do czynów złych i okrutnych bywają uczucia dobre i wspaniałe. Dusze prześladowców, któremi kieruje nie żądza osobistych korzyści, ale namiętne ukochanie idei, posiadają głębie pełne szlachetnych i bezinteresownych, a tylko zbłąkanych zapałów. Paweł prześladował chrześcian nie dla zysków i nie dla własnéj sławy, lecz przez nie znające granic przywiązanie do całości i jedności starodawnych wierzeń, podań i praw swéj ojczyzny. Kiedy sama żarliwość prześladowczych jego czynności wprowadziła go w bliską styczność z wyznawcami chrześcianizmu, wszystko, co w téj nauce wspaniałém było i wzruszającém, dotknęło wzniosłych i wrażliwych skłonności jego duszy. Słodycz i rezygnacya własnych jego ofiar zdumiewały go i napełniały litością; miewał sny, w których słyszał głosy uwięzionych, zapytujące go z łagodnym wyrzutem: za co nas prześladujesz?—Im więcéj przypatrywał się prześladowanym, tém więcéj spostrzegał, że prowadzili oni życie spokojne, nieszkodzące nikomu, oddane sprawom ducha, przeniknięte wzajemną miłością i bezgraniczną wiernością temu, który był już ukrytym przed wszelkiém ziemskiém okiem. Wszystko co słyszał o Jezusie przemawiało żywo do jego wyobraźni. Jak cały prawie świat ówczesny, wierzył w nadprzyrodzoność. Objawień przeto, w których Jezus po śmierci swéj zjawiał się swym uczniom, nie poczytywał za wymysł, albo złudzenie. Czasem zdawało mu się, że widzi sam słodkie oblicze tego mistrza, który uczniów swych natchnął tak wielką i trwałą miłością, spoglądające na niego z wyrzutem i politowaniem. Przychodziły mu na pamięć nauki łagodności i pobłażania, których kiedyś słuchał był w szkole Gamaliela. Umysł jego, ćwiczony w odbytych studyach, zaznajomiony ze zjawiskami szerszego niż Palestyna świata, nie był tak zmartwiałym i ciemnym, aby nie mogły budzić się w nim zwątpienia. Wątpił, czy znajduje się na drodze jedynéj do prawdy i Boga; czy stary Zakon jest najwyższym wyrazem religii; czy w tém, co prześladował, nie mieści się wzniosłość i świętość, wyższa nadto, czego dotąd był tak gorliwym obrońcą; czy mesyaniczna idea nie jest prawdziwą i czy prześladując uczniów Jezusa, nie prześladuje Mesyasza i nie sprzeciwia się zstąpieniu na ziemię „królestwa Bożego." Jak w podobnych wypadkach wszędzie i zawsze bywa, pociągom tym i zwątpieniom Paweł bronił się z całych sił swoich. Czuł, że jest bliskim ukochania tego, co budziło w nim dotąd żarliwą nienawiść i chcąc może zaglu-

szyć w sobie ten zaród buntu, więcéj niż kiedy rzucał się w odmęt prześladowczych czynów. Od jerozolimskiego arcykapłana zażądał pozwolenia, ścigania chrześcian po za granicami Jerozolimy i otrzymawszy je, udał się do Damaszku, gdzie, jak usłyszał, formował się właśnie silny zawiązek chrześciańskiéj gminy. Był to moment psychologiczny, w którym lada silniejsze wezbranie uczuć, lada bodziec pochodzący od fizycznego ustroju lub od zewnętrznéj natury, sprowadzić musi stanowczy przełom. Krajobraz, śród którego znalazł się Paweł w pobliżu Damaszku, pełnym był wspaniałości i poezyi. Przed sobą miał on miasto wychylające się z za gęstwiny drzew, za sobą potężną kopułę Hermonu, przerzniętego śnieżnemi bruzdami, na prawo i lewo wznosiły się i wiązały z sobą góry Horanu i Libanu; szumiały więzione w górach strumienie i rzeki. Z kilku towarzyszami swymi postępował on drogą okrążającą góry i wzgórza, ocienioną oliwnemi, orzechowemi, śliwowemi drzewami, które w cienistą ścianę spajała fantastycznemi sploty gęstwina winnych gałęzi. Czego duch Pawła, zmordowany już zwątpieniami i walką, doświadczać musiał pośród tych niebotycznych szczytów, na téj cienistéj drodze, naprzeciw tego miasta, w którego domach mieszkały przyszłe jego ofiary? Fizyczna jego organizacya była nerwową i słabą, chociaż przez siłę ducha, zdolną do olbrzymich trudów i wysileń. Nurtowała ją tajemnicza jakaś choroba, którą on sam w pismach swoich nazywa: „ostrzem, które Bóg zapuszcza mu w ciało.“ Była to zapewne jedna z tych chorób nerwowych, którym częstokroć podlegają ustroje z nadwerężoną przez wielką przewagę mózgu, harmonią całości. Wschodni skwar słońca padał mu na głowę; zmęczenie długiéj podróży osłabiało członki. Okolica, którą przebywał, była podówczas i pozostała dotąd siedliskiem gorączek, przybywających nagle i sprowadzających czasowe olśnienia. Przypuszczenie wybuchającéj burzy nie jest téż niemożliwem. W górach Hermońskich grzmoty i błyskawice towarzyszą burzom z gwałtownością niesłychaną. Przedstawiają tu one w całém tego słowa znaczeniu ogniste ulewy. W dodatku, starożytność wogóle przywiązywała do burzy znaczenia tajemnicze i nadprzyrodzone; Żydzi mianowicie poczytywali grzmot za głos Boga, a błyskawicę za ogień boży.

W takim stanie ducha i ciała, śród takich obrazów i pod takiemi wpływami Paweł upadł śród drogi jak spiorunowany, oślepiony ciemnością, która rozpostarła się przed nim i na którój tle ujrzał postać Jezusa, wołającego doń po hebrajsku: „Saulu, Saulu, dla czego mię prześladujesz?“ Chwila ta roztrzygnęła jego losy. W życiu człowieka nowożytnego, najmniéj choćby zbliżonego do współczesnéj wiedzy o naturze człowieka i świata, nie rozstrzygnęłaby ona nic. Ludziom

z przewagą refleksyi nad wrażeniami, objektywnego sądu o rzeczach nad subjektywném uczuciem, nie wystarcza widziéć i słyszéć, nie wystarcza nawet pragnąć i kochać, aby wierzyć. Wiedza i zrozumienie niszczy zarówno jak tworzy ich przekonania. Lecz tam i wtedy było wcale inaczéj. Nawet najgenialniejsi, nawet najoświeceńsi, wyłączać się nie mogą ze swoich ras, ze swoich klimatów, ze swoich czasów. Tę prawdę, którą światu przyniosła krytyka historyczna, pilnie miéć trzeba w pamięci, aby uniknąć różnorodnych omyłek w sądzeniu historycznych faktów i postaci. Bez niéj umieszczać je można zbyt wysoko albo zbyt nizko; w naturalnych koniecznościach upatrywać nadziemskość, lub we wczorajszéj wielkości widziéć dzisiejsze szaleństwo.

Z pomocą towarzyszy swych do Damaszku przybywszy, Paweł przez trzy doby pozostawał w stanie gwałtownéj gorączki i zupełnéj ślepoty. Przywiedziono doń chrześcianina Ananiasza, który przykładaniem rąk do jego ciała przywrócił mu wzrok i zdrowie. Paweł został chrześcianinem.

W trzy lata po tym wypadku chrześcianizm nie był już zamkniętym w granicach Palestyny i używanych przez żydów języków: hebrajskiego i syro-chaldejskiego. W krótkim przeciągu tego czasu rozszerzył się on po całéj Syryi, mówić zaczął po grecku i otrzymał tę nazwę, którą miał nosić w przyszłości. Dwa ostatnie fakty stały się w Antyochii, mieście wielkiém, bogatém, zamieszkałém przez syryjczyków i greków. Dotąd palestyńscy wyznawcy Jezusa nazywali siebie Ebionitami czyli ubogimi; ogół palestyński nadawał im nazwę Nazareńczyków, od miejsca urodzenia ich Mistrza. W Antyochii dopiero hebrajską nazwę: Mesyasz, przetłómaczono na grecką: *Christus*; wyznawcom zaś *Christusa* nadano imię, które z łacińską końcówką brzmiało *christiani*. Wszystko to stało się wskutek rozkrzewicielskiéj działalności Pawła, wspomaganéj przez kilka osobistości, które przywiązywały się do niego i pojęły jego myśli, a pomiędzy któremi, najwybitniejsze miejsce zajmował Barnaba.

Osią, około któréj obracały się wypadki lat następnych, były rozkrzewicielskie i ku zachodowi skierowane podróże Pawła, w połączeniu z niezgodami, które wszczęły się i coraz wzmagały pomiędzy Pawłem, a przywódcami jerozoliskiego chrześcianizmu. Przedmiotem niezgód tych było różne pojmowanie czynności, które zakon nowy spełnić miał względem starego. Według jerozolimitan, pierwszy był tylko kontynuacyą i udoskonaleniem drugiego, który ostać się miał w całości zupełnéj, aż do najdrobniejszego ze swych obrządków i przepisów. Według Pawła i jego stronników, nauka Jezusa obalała materyalną część staréj religii: czyniła niepotrzebnemi akt obrze-

zania i przepis rozdzielania przedmiotów żywności na czyste i nieczyste. Szło tu także o narodowy separatyzm Żydów, który nieprzyjaźnie spoglądał na małżeństwa mieszane i nie śpieszył się wcale z niesieniem „dobréj nowiny“ ludom oddanym bałwochwalstwu i bliskiéj pomście Boga. Zawieranie małżeństw pomiędzy żydami a członkami innych narodów, uchodziło w oczach chrześcian jerozolimskich za obrzydliwą i wstrętną rozpustę; nawracania pogan dokonywali wprawdzie niejednokrotnie, ale tylko wypadkowo, dorywczo, bez planu i chęci oddziaływania na szersze przestrzenie świata i ludzkości. Prozelityzm ich skierowany był wyłącznie na żydów lub innokrajowców, wyznających wiarę żydowską. Paweł przeciwnie o tém tylko marzył, aby naukę Mistrza roznieść od krańców do krańców ziemi, aby uczynić ją dostępną dla wszystkich ludów świat zamieszkujących.

W tych wolnomyślnych i kosmopolitycznych pomysłach Pawła, wysoki idealizm łączył się z praktycznością przenikliwą i zręczną. Z jednéj strony głębiéj od jerozolimskich wyznawców wnikając w naukę Jezusa, pragnął on jéj ideę wyrwać z materyi kultowych obrzędów i przepisów, a zarazem w myśl jéj Twórcy przypuścić do niéj cały ród ludzki. Z drugiéj strony rozumiał trafnie, że ród ludzki, że szczególniéj ucywilizowane ludy greckie i łacińskie nie zechcą jéj przyjąć wraz z obarczającém ją brzemieniem specyalnie żydowskich tradycyi i obyczajów. Doktryna jego polegała na wywyższeniu Jezusa nad wszystko, co było przed nim, tak wielkiém, że w obec wiary w niego i pełnienia jego rozkazów, wszystko co przedtém stanowiło religią, stawało się niepotrzebném. Wiara w Jezusa wystarczała do zbawienia: uczynki religijne, jakoto: obrzezanie, zachowywanie czystości jadła, unikanie związków z poganami, spełnienie nakazywanych przez stary kult modlitw i ablucyi były materyą obciążającą ideę i utrudniającą przystęp do niéj innokrajowcom. Pomysły te stanowiły w żydostwie prawdziwą rewolucyą, któréj z całéj siły oparli się jerozolimscy wyznawcy. Zaostrzająca się niezgoda wywołała wkrótce drażliwe kwestye osobiste. Paweł mianował się apostołem, utrzymywał, że w otrzymanych objawieniach widywał Jezusa, znał go więc tak samo jak bezpośredni jego uczniowie i tak jak tamci otrzymywał od niego bezpośrednie zlecenia i rozkazy. Jerozolimitanie z oburzeniem odrzucali te roszczenia niedawnego prześladowcy, dążące do zrównania go z nimi w powadze i dostojeństwie. Ze swéj strony Paweł posiadał zbyt odrębną i energiczną indywidualność, zbyt oryginalne posiadał pomysły, zbyt może był oświeconym, aby mógł pokornie przystać na rolę ucznia uczniów, ograniczać się na czynnościach wyznaczanych mu przez świątobliwą lecz w bardzo

szczupłych granicach pojęć zamykającą się gromadkę. Śmiałość, zuchwalstwo nawet, bywa najczęściéj nieodłączną cechą geniuszów. Te szczególniéj z pomiędzy nich, które mając na celu reformowanie religii ludzkości, miały zarazem niezłomną wiarę, że działały z polecenia i z pomocą nadprzyrodzonéj potęgi, niezłomnemi bywały w dążeniu po raz wytkniętéj drodze. Niechęć, potém nawet nienawiść jerozolimskich wyznawców, czyli judeo-chrześcian, usiewała drogę Pawła przeszkodami, upokorzeniami, wszelkiego rodzaju cierpieniami i walkami. Nie odstąpił jednak nic z tego, co było w nim obmyślaném głęboko i silnie postanowioném; nie przestawał pomysłów i postanowień swych spełniać na drodze czynów. Czynami temi były trwające przez lat blisko 20 rozkrzewicielskie jego podróże po Syryi, Azyi Mniejszéj, po wybrzeżach, wyspach i miastach greckich. Owocem ich stały się liczne i możne zbory, czyli kościoły chrześcijańskie, powstałe w Galacyi, Frygii, Mysyi, w greckich miastach Koryncie, Filippach, Kolossach, Efezie i t. d. W 58-m roku ery naszéj przybywszy do Jerozolimy w celu porozumienia się z przeciwnikami swymi, został zagrożonym utratą życia. Rozsiewane niechętnemi dlań dłońmi ziarna, wydały owoc. Wzburzona przeciw niemu ludność stolicy już zamordować go miała, gdy z rąk jéj wyrwały go władze rzymskie. Nic wcale nie rozumiejąc z metafizycznych zagadnień, o które ta fanatyczna ludność tak zażarte i nieustanne prowadziła spory, prokurator cesarski skazał Pawła, w charakterze burzyciela publicznego pokoju, na karę biczowania. Teraz on, którego dawném marzeniem było dotarcie do stolicy świata, któremu niedawno we śnie objawił się Jezus, mówiący: „Pawle, Pawle, jakoś świadczył o mnie w Jerozolimie, tak w Rzymie świadczyć będziesz"; odwołał się do swego tytułu obywatela rzymskiego i żądał przedstawienia sprawy swéj cesarzowi. Obywatela rzymskiego władze prowincyonalne nie miały prawa skazywać i karać; obywatel rzymski, na jakimkolwiek punkcie olbrzymiego państwa znajdujący się, miał prawo odwołać się do jego centralnych sądów i żądać stawienia go przed sprawiedliwością senatu i cesarza. Żadnemu z rządców Palestyny nie było przyjemném ani dogodném rozstrzygać sprawy, które z powodu różnic rasowych i cywilizacyjnych, osłonięte były przed nimi nieprzeniknioną ciemnością. Paweł otrzymał miejsce na odpływającym od brzegów Azyi okręcie i w charakterze więźnia stanu uwiezionym został do Rzymu.

Na tym wypadku wielkiéj dziejowéj wagi, jakim było udanie się apostoła pogan do stolicy pogańskiego świata, kończy się tom 3-ci historyi początków chrześcianizmu. W 4-m, noszącym tytuł Antychryst, obok ostatniéj fazy działalności Pawła ujrzymy krwawy mo-

ment Neronowego panowania, pierwsze przez państwo rzymskie prześladowanie chrześcian, powstawanie wiary w boskość Jezusa, olbrzymie, apokaliptyczne marzenia pustelnika z Patmos; nakoniec, katastrofę narodowego powstania w Judei i ostatecznego upadku politycznéj odrębności Żydów, wraz ze zburzeniem głównego jéj ogniska: jerozolimskiéj świątyni. Był to rok 70-ty ery naszéj. Wypadki lat najbliżéj go poprzedzających i kończąca je katastrofa, niby świetny i przeraźliwie dramatyczny finał, zamyka ten najpoczątkowszy okres powstawania rozwoju i szerzenia się chrześcianizmu. Cztery opisujace go tomy, stanowią pełną i zamkniętą w sobie całość, którą czytać można w oderwaniu od 3-ch następujących i ostatnich. *Ewangelie*, *Kościół chrześciański* i *Marek Aureliusz*, prowadzą nas po przestrzeni przeszło lat stu. od panowania Wespazyana i jerozolimskiéj katastrofy, do śmierci Marka Aureliusza, czyli do końca epoki noszącéj imię Antoniuszów, epoki która była najwspanialszym wykwitem cywilizacyi i cnoty pogańskiej, a któréj przeminięcie zapewniło w przyszłości powszechny tryumf chrześcianizmu.

Pobieżny rozbiór trzech pierwszych tomów dzieła mógł tylko wskazać używaną przez autora metodę dochodzenia i tłómaczenia historycznych faktów a zarazem dotknąć kilku wytycznych punktów długiéj i mnóstwem szczegółów napełnionéj drogi. Niepodobném tu było wykazanie całéj plątaniny wypadków, pochodzącéj od różnorodności działających ras, cywilizacyi, ścierających się z sobą idei i namiętności; niemożliwém téż należyte przedstawienie artystycznych cech dzieła, które wyróżniają je z pomiędzy wielu dzieł podobnéj treści. Pomimo pilnego i prawie pedantycznego komentowania dokumentów historycznych, pomimo rozwiniętéj na całéj linii wypadków i twierdzeń erudycyi, Renan pozostał w dalszych tomach tego dzieła, tak jak był w pierwszym, artystą i poetą. Nie wszędzie właściwości te towarzyszą mu w jednéj mierze. W *Ewangeliach* i *Kościele chrześciańskim* dochodzenie źródeł i stwierdzanie autentyczności starożytnych dokumentów, opisywanie powstawania organizacyi i hierarchii kościelnéj, rozbiór sekt i odszczepieństw, które od schyłku pierwszego wieku ery, niepokoiły prawowierność i wpływały na kształtowanie się nowéj religii, zbyt suchym i zawiłym były materyałem dla poetycznych i artystycznych skłonności. Jednak, daremnie,—jak opisuje to w swych wspomnieniach,—rok cały spędził na gaszeniu stylowych blasków, na sprowadzaniu do naukowéj prostoty i obiektywności, pierwszego tomu swego dzieła. Życie Jezusa, pomimo tych usiłowań, nie przestało być jednym z najpiękniejszych poematów, na jakie kiedykolwiek zdobyła się prasa francuzka. I w dalszych także tomach, czytelnik przenikliwy i z procesami twór-

czości zaznajomiony, spostrzega pracę pióra, dążącą do szczędzenia wyrazów, do zamykania okresów w najkonieczniejszych ich rozmiarach, do używania w obrazach jak najmniejszéj ilości barw i linii. Usiłowania te przecież nie zdołały przeistoczyć natury pisarza. Pióro powściągane, nie przestało wydawać melodyjnych akordów stylu, albo przemieniać się w pędzel i rylec. Trudno o styl dźwięczniejszy i słodszemi falami melodyi płynący, jak ten, którym opisywane są momenty tworzenia się pierwszych dogmatów chrześcianizmu, uczucia i uniesienia pierwszych chrześcian, walki Pawła z jego przeciwnikami, w epicznym prawie tonie opiewane, apostolskie jego podróże. Trudno o dramatyczniejszy sposób przedstawiania wypadków, jak ten, który użytym został w scenach objawień Jezusa, nawrócenia Pawła, jego ostatniego pobytu w Jerozolimie. Najpodrzędniejsze nawet postacie nabywają pod tém piórem dotykalnéj niemal plastyczności i odróżniających je cech indywidualnych, a cóż z takiemi, które jak Jezus, Paweł, Piotr, Jakób, dostojnicy żydowscy i rzymscy, stanowią osie i jądra opowiadania. Te już stają przed oczami czytelnika z taką wyrazistością rysów, z taką nawet może jaskrawością kolorytu, że raz osiadłe w pamięci, nigdy z niéj umknąć nie mogą. Na Jakóbie „bracie pańskim“, najwpływowszym z judeo-chrześcian, widzimy niemal każdą nitkę jego pompatycznéj szaty; w obliczu Pawła, przeliczyć prawie możemy wszystkie zmarszczki, które na nim wyryły cierpienia i energia ducha, wszystkie drgnienia, któremi je wstrząsały ekstatyczne rozkosze i namiętne spory. Opisowość nie ustępuje bynajmniéj w artystycznéj swéj sile plastyce i dramatyczności. Potoki barw tak świeżych i słodkich jak rajska sielanka, zdają się spływać na pióro autora z galilejskiéj przyrody pogodnéj, cichéj i żyznéj. Na drodze do Damaszku widzimy otaczające ją szczyty, słyszymy szmery górskich strumieni, czujemy skwar wschodniego słońca, oślniewa nas hucząca nad nią burza i orzeźwiają cienie jéj winnic i drzew. Szerokie i szczegółowe obrazy miast wielkich, jak np. Antyochia i Ateny, roztaczają przed czytelnikiem wykwintne perspektywy architektoniki klasycznéj i pozwalają mu zapuszczać głębokie wejrzenia w zawile ruchy, w fizyczną i psychiczną pstrociznę ich wieloplemiennych i wielojęzycznych ludności.

Nie same jednak te wysokie zalety pióra, które w téj mierze posiadać mogą tylko wielkie twórcze talenty, przeszkadzają autorowi do zupełnie przedmiotowego przedstawienia wyników naukowych swych badań. Rzecz przedstawiona pięknie, nie musi być koniecznie przedstawioną fałszywie a chociaż uroki stylu, siła dramatyzacyi, plastyczność i barwność opisów, przysłaniają czasem suche skielety faktów, albo łagodzą surowość i śmiałość wniosków, to przecież z za

nich, jak z za kwiecistych girland można dokładnie zobaczyć prawdę. Przedmiotowości naukowéj i chłodnéj, daleko więcéj niż artystyczne jego usposobienia, stają na przeszkodzie niektóre umysłowe cechy i uczuciowe skłonności autora. Przedewszystkiém, jest on sceptykiem spostrzegającym na każdym punkcie umysłowego widnokręgu mnóstwo wątpliwości. Następnie chrześcianizm odpowiada wybornie najgłębszym skłonnościom jego duszy: i nie podobna prawie wątpić, że wychowanie otrzymane na łonie kościoła, wpoiło w niego pewną sumę przyzwyczajeń i zamiłowań sobie właściwych a tak niepozbytych, jak niepozbytemi bywają najczęściéj pierwsze wrażenia i nauki życia. Z tego wszystkiego w traktowaniu przedmiotu dzieła wynikają: ostrożność, miękkość, a nawet czasem chwiejność twierdzeń i takie rozkładanie świateł i cieniów, które uwydatnia i uświetnia tę stronę obrazu, która w autorze budzi sympatyą i poszanowanie, uszczupla zaś i półcieniem okrywa tę, która własnéj jego naturze nie jest pokrewną i miłą. Tym to usposobieniom przypisać należy, że jak w Życiu Jezusa, skrócił perspektywę historyczną przez zbyt lekkie prześliźnięcie się po zjawiskach i ideach, z których jak strumień z głębokiego swego źródła wypłynął chrześcianizm, tak w dalszych tomach swego dzieła, w szczególny sposób zwęził i przyćmił to niezmierne pole pogańskiego świata, na które spadły posiewy chrześcianizmu. Wprawdzie, w tomie drugim, poświęcił on rozdział jeden na obejrzenie stanu cywilizacyi grekorzymskiéj, w pierwszym wieku naszéj ery, rozdział napisany w sposób zwyczajny pióru jego, szeroki i ozdobny lecz pozostawiający w cieniu wiele szczegółów kapitalnych i któreby na tę cywilizacyą rzucały światło przyjazne. Nie dosyć widzimy tutaj, jak pokrewnemi moralnéj doktrynie chrześciańskiéj były niektóre z filozoficznych szkół starożytności i jak bardzo przygotowany grunt znalazła ona dla siebie w złagodzeniu obyczajów, w coraz głębiéj przejmującym umysły szacunku dla każdéj istoty ludzkiéj i coraz więcéj szerzących się uczuciach litości i miłosierdzia. Jakie wpływy łagodzące i doskonalące, obok tych, które psuły i denerwowały, wywarł na społeczeństwa ówczesne tak zwany „pokój rzymski?“ Jakie zmiany już zaszły w położeniu ludności niewolniczéj i jakie przyczyny polityczne i moralne gotowały dla niéj zasadnicze ulepszenia i reformy? Jakie dzieła społecznéj współpomocy i publicznego miłosierdzia istniały już w zawiązku, albo nawet i w pełnym rozwoju? Dla tych i wielu podobnych zapytań, mających ścisły związek z przyczynami i następstwami rozprzestrzenianie się nowéj religii w świecie pogańskim, darennie szukaćbyśmy chcieli odpowiedzi w dziele Renana. Toż samo z przedstawianiem prześladowań, które ze strony ludu rzymskiego, więcéj

jeszcze aniżeli władz rzymskich, po wielekroć dotykały wyznawców nowéj wiary. Przyczyny politycznéj i społecznéj natury, które je wywołały, w znacznéj swéj części, zostały pominięte, bo przedstawienie ich w całéj pełni, nie pozwoliłoby na zgarnięcie wszystkich świateł ku jednéj. a wszystkich cieni ku drugiéj stronie obrazu. Ujrzawszy je w całéj pełni, ujrzelibyśmy zapewne coś więcéj nad bezględną zwierzęcość prześladującą bezwzględną świętość; uczulibyśmy może konieczność, w jakiéj zostaje każde zorganizowane społeczeństwo, bronienia tego. co stanowiło dotąd jego spójność i wielkość: uczuć patryotycznych. prac obywatelskich, powagi węzłów rodzinnych itp. Ale takie przedmiotowe i wszechstronne opracowanie przedmiotu, którego dokonali Gibbon, Duruy, Friedländer, Denys i inni, nie odpowiadało sybiektywnym wahaniom się, sympatyom i odrazom autora. Możnaby rzec, że posiada on z własnych skłonności i wychowania kościelnego zaczerpniętą odrazę do pogańskiego świata, za to, że prawa ciała zrównał on z prawami ducha, że narodowe jego religie nie zawierały dogmatów. że w świat wystąpił zbrojny i wojujący, że wydał z siebie rozpustników i tyranów. Rozpustnicy i tyrani, na plan pierwszy wysunięci, przysłaniają sobą mędrców i bohaterów zarówno jak ogół doskonalący się i wciąż postępujący naprzód. Nie jest to fałszowanie historyi, ale uderzanie po jéj strunach tu silniejsze, tam słabsze. Nie jest to także zatajanie albo wymyślanie faktów. Niema w dziele Renana nic zupełnie pominiętego, ani tém bardziéj wymyślonego. Bywają tu tylko lekkie i pobieżne napomknięcia o rzeczach jednych, w obec szerokiego i szczegółowego przedstawienia innych.

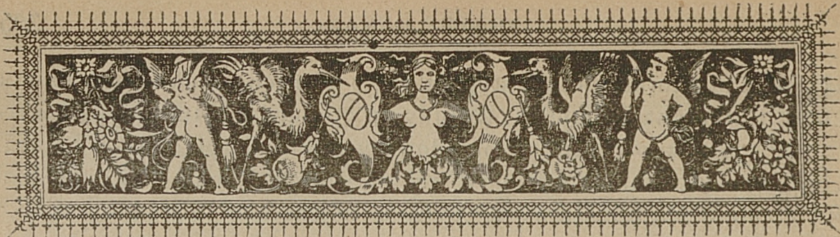
Nad napisaniem 7-miu tomów historyi początków chrześcianizmu, Renan pracował lat dwadzieścia. W tym samym jednak czasie, wyszedł z pod pióra jego długi szereg studyów z historyi religii, które zawarte potém w dwóch grubych tomach. zdobyły sobie jednomyślne uznanie krytyki naukowéj i gorące zajęcie obudziły w czytającéj publiczności. W pracach tych panuje wielka rozmaitość przedmiotów; studya nad buddyzmem, mahometanizmem, starożytną mitologią perską, mitologią porównawczą. poganizmem greckim, znajdują się tu obok obrazów przedstawiających spory i subtelności średniowiecznéj scholastyki i mistrzowską dłonią malowane profile lub portrety średniowiecznych świętych, mistyków. zakonników i nawet myślicieli takich, którzy. jak Galileusz i Spinoza, myślą swą czy wypadkami swego życia wchodzili w bliskie zetknięcie z kościołem. Jak bardzo prace téj natury mało były rozpowszechnionemi we Francyi i jaką próżnię w umysłowości publicznéj studyami swemi zapełniał Renan, świadczy o tém wypadek charakterystyczny i godzien

aby go wydawcy krajów wszelkich w pamięci swéj zapisali. Przed dwudziestu przeszło laty, po napisaniu obszernéj pracy o buddyzmie, autor zażądał drukowania jéj w „Przeglądzie dwóch światów,“ którego wydawcą był słynny z wydawniczéj zręczności swéj Buloz. Istniał już i pracował wtedy we Francyi wielki oryentalista Eugeniusz Burnouf, a badania jego nad religiami Indyi wschodnich, jako téż przekłady ich ksiąg świętych wychodziły z druku w postaci olbrzymich tomów. Istniał także i pisał Barthelemy Saint-Hillaire, w obszernych dziełach popularyzujący wiadomości, które nauka zgromadziła o religiach dalekiego wschodu. Jednak Buloz zwrócił Renanowi jego studyum o buddyzmie, z żartobliwym uśmiechem niedowierzania utrzymując, że wymysłów fantazyi za naukowe prawdy podawanych drukować w swém piśmie nie może; wymysłem zaś jest, aby taka religia jak buddyzm gdziekolwiek istniała i aby na świecie istniał człowiek tak głupi, któryby mógł być budystą. Buloz nie był wcale obskurantem, owszem, wykształceniem swém naukowém i literackiém przewyższał wielu współczesnych sobie wydawców francuskich. Ale, widocznie, nie był téż nieomylnym, bo za śmieszną i bezpotrzebną poczytał pracę, bardzo poważną, parę nowych świateł na przedmiot swój rzucającą i która w zeszłym roku zaledwie z teki autora na nowo wydobyta, weszła w skład drugiego tomu jego studyów. W wyborze postaci średniowiecznych, mających być przedmiotem jego dochodzeń i opisów, spostrzegać się dają upodobania i skłonności autora. Ludzie czynów gwałtownych i głośnych, fanatycy, reformatorzy, ci którzy odgłosami swych walk i męczeństw świat cały napełniali, nie pociągają go ku sobie. Lubi on przedewszystkiém wpatrywać się w serca przejęte głęboką i łagodną miłością dla natury, ludzkości i Boga, w istnienia poetyczne, jaknajbardziéj od ziemi oderwane, poświęcone całe pracom i sprawom ducha. Studya jego o Franciszku z Asyżu, o stygmatyzowanéj wizyonerce Krystynie Stommeln, o Spinozie, należą do najdoskonalszych dzieł jego pióra. Z życia dwojga pierwszych, usuwa on za pomocą krytyki naukowéj wszelką cudowność; naturalnemi przyczynami tłómaczy wizye ich i stygmaty. Ale natomiast, przez subtelną psychologiczną analizę otwiera głębie ich dusz i istnień, ukazując wszystko, co było w nich czystém, wzniosłém, albo cierpiącém i chorobliwém. Dobrowolne ubóstwo Franciszka z Asyżu, oddalenie w jakiém zostawał od wszelkich zaszczytów kościelnych, wyzwolenie się religijności jego z pod dogmatycznéj zawisłości, nadewszystko jednak, ta miłość powszechna, którą ogarniał on nietylko ludzkość ale i przyrodę, tkliwość serca, przez które braćmi i siostrami swemi nazywał gwiazdy i kwiaty, zwierzęta i ptaki, okrywają go gloryą ducha, stokroć wyż-

szą niż nadnaturalny blask stygmatów, z których nauka omywa mu ciało. Katarzyna Stommeln, w studyum noszącém tytuł „idylla klasztorna“, jest znowu istotą przedewszystkiém cierpiącą i kochającą. „Kwiaty wykwitające z dziejów religii,—pisze Renan,—są dziwnemi kwiatami, a ich bohaterowie, bywają najczęściéj ludźmi chorymi.“ Chorą była najpewniéj ta kobieta, pędząca życie w ekstazie, umartwieniach i wielkiéj słabości fizycznéj, ale oprócz Boga, który był przedmiotem jéj nieustannéj adoracyi, w skrytości i milczeniu, nigdy może nie dając uczuciu swemu właściwéj mu nazwy, kochała ona człowieka, który był przewodnikiem jéj po idealnych sferach wiary i zachwyceń, który miał dla niéj nieskończoną dobroć, pobłażliwość i także więcéj niż braterską tkliwość. Kochała, cierpiała, nie troszczyła się nigdy o żadną próżność świata, serce miała niewinne jak u dziecięcia, a poranione jak u męczennika, umarła przedwcześnie; potężne ognie ducha spaliły szybko wątłe jéj ciało. Znowu na stygmaty i cuda spada tu zasłona, utkana z naturalnéj poezyi, miłości i cierpień. Historya tego życia przypomina kwiat z barwą ognistą i chorobliwą, z wonią delikatną, denerwującą, brylantowym pyłkiem ulatującą w obłoki.

(d. n.) *Eliza Orzeszkowa.*





STUDYA ROMAŃSKIE.

POCZĄTKI EPOPEI FRANCUSKIÉJ.

(Pio Rajna: Le origini dell' Epopea francese. 1884, str. 550).

Dwie istnieją teorye pochodzenia epopei francuskiéj: jedna wysuwa naprzód pierwiastki germańskie, druga romańskie; trzecia wywodząca ją z elementów celtyckich, o tyle ważnych, że z nich wyszedł cykl Artusa i zapewne forma wiersza ośmiozgłoskowego, była fantasmagoryą i dziś nikt jéj nie porusza. Przy sztandarze pochodzenia romańskiego stoi niezmiennie Fustel de Coulange (1) i Paul Meyer (2), wyrażający się stanowczo a bezzasadnie, że peryod romański, poczynający się już przed wiekiem IX i posiadający pieśni ludowe w formie romańskiéj, nigdy nie pomieszał swojéj epopei z epopeją germańską. Dziwnie ważyła się ta teorya w sądach dwu romanistów. których się do pierwszych powag liczy: Gastona Paris i Leona Gautiera. G. Paris hołdował przed 20 laty teoryi pochodzenia germańskiego. Hołdował jéj równie C. d'Héricault (3) i Léon Gautier w pierwszém wydaniu swoich *Les Épopées françaises* z 1865 r. Cofnąwszy się jeszcze o lat dwadzieścia, nie znajdziemy téj kwestyi na porządku dziennym ledwo co rozpoczętych studyów romańskich. V. le Clerc, Fauriel, Paulin Paris reformują w r. 1841 znane wydawnictwo: „Histoire littéraire de la France", toż nie marzą jeszcze o stawianiu hipotez, zadawalniając się odkrywaniem zapomnianych manuskryptów *Chansons de Geste*; a jeżeli śród chaosu świeżo odko-

---

(1) Histoire des Institutions politiques de l'ancienne France. 1877.

(2) Recherches sur l'origine des Epopées fr.

(3) Essai sur l'origine de l'épopée fr. et sur son hist. au moyen âge. Paris 1859.

panych bogactw zechcą wyrozumować ich źródło, popadają, z braku metody porównawczéj, w jaskrawe błędy, jak Fauriel, szukający początku większéj części *Chansons de Geste*, a nawet powieści bretońskiego cyklu — w Prowancyi.

Otóż kiedy Gaston Paris pisał swą przepyszną *Historyą poetycką Karola W.* (1), zaczął otrząsać z siebie naukowe skrupuły i oświadczył się za teoryą schlebiającą uczuciu narodowemu; dziś znowu w wykładach swoich zaczyna wracać z całém przekonaniem ku teoryi pochodzenia germańskiego i jeżeli ogłosi swoje *Początki epopei francuskiéj* drukiem, przechyli niewątpliwie szalę chwiejnych jeszcze przekonań na korzyść większości. Leon Gautier tymczasem zmodyfikował w drugiém wydaniu swéj książki (2) dawny sąd o pochodzeniu germańskiém, nie o tyle jednak, aby nie mógł zgodzić się na definicyą G. Parisa (3): „*L'épopée française du moyen âge c'est esprit germanique dans une forme romane*", definicyą połowiczną, zbliżoną równie do opinii prof. Bartscha w Heidelbergu, wybitniéj jednak owo germańskie pochodzenie zaznaczających. Połowiczność ta znalazła ostateczną odprawę w głośném dziele Piusa Rajny, profesora uniwersytetu florenckiego (4). Rajna stawia definicyą bardzo prostą i stanowczą: *Epopeja francuska jest córką epopei germańskiéj*, a dowodzi starożytnością epopei francuskiéj, dawniejszą, niż wszyscy dotąd przypuszczali badacze. Gautier nie śmie wysunąć się po za wiek X-ty; najstarsze *kantyleny*, które według jego teoryi były zaczątkiem epopei francuskiéj -— teoryi równie zbijanéj przez uczonego włoskiego — nie są starsze od téj daty, ba! twierdzi *à priori*, że istnieć ona nie mogła, gdyż nie posiadała warunków dla istnienia swego koniecznych jedności: państwowéj i religijnéj, wypadków nadzwyczajnych i bolesnych (*sic*), wielkiego bohatera— i wreszcie nie miała języka. To też uczony francuski, cokolwiek uporny w swoich raz ukutych tezach i definicyach, nie spostrzega nic po za cyklem karolińskim i po za istniejącemi rękopisami kantylen i pieśni bohaterskich, i dzieje francuskiego eposu rozpoczyna od epoki Karola Wielkiego.

J. Darmesteter (5), Gaston Paris mieli jakoby przeczucie istnienia epopei merowińskiéj,—pierwszy zbijał stanowczo teoryą *kantylen*— ale o tak świetnych zdobyczach metody porównawczéj nie śnili.

---

(1) Histoire poétique de Charlemagne. 1865.

(2) Léon Gautier: Les Épopées fr. 3 tomy. 1880—82.

(3) Revue critique d'Histoire et de Littér. Juin 1868.

(4) Pio Rajna: Le Origini dell' Epopea francese, indagate da P. R. Firenze. 1884. Tom w dużéj 8-ce, str. XIII i 550.

(5) De Floovante... et de merovingo cyclo 1877 r.

Dzieło Rajny złożyło się z wykładów na uniwersytecie medyolańskim; ogłaszając je drukiem, uprzedził poniekąd Gastona Paris, który z odczytów swych układa traktat pod tym samym tytułem. Jest ono owocem genialnych pomysłów, śmiałych a niezachwianie pewnych; znaczenie włoskiego profesora w dziejach studyów romańskich we Włoszech poczęło się od zbadania i wydania owéj kompilacyi znanéj pod tytułem *Reali di Francia*, którą nawiązuje się stosunek francuskich i włoskich pieśniarzy w XII i XIII wieku. Ta gruntowna znajomość literatury francuskiéj średnich wieków pozwoliła mu równie wykazać pokrewieństwo między podaniami o *Orlandzie szalonym* a starofrancuskiemi pieśniami o Rolandzie (1). Obecnie jest Rajna głównym współpracownikiem przeglądów: „Nuova Antologia", „Romania". i jedną z pierwszych powag w świecie naukowym. a jak przyznaje Darmesteter (2), ostatnie jego dzieło staje się podstawą nowéj seryi badań: eposu doby merowińskiéj. Równocześnie wyrywa ono monopol stawiania nowych teoryi z rąk uczonych niemieckich.

Książka składa się z 18 rozdziałów. Rozd. I — IX zajmuje Restytucyą epopei merowińskiéj, X—XVIII historyą jéj rozwoju. Restytuuje ją autor: 1) z kronik *Grzegorza z Tours*, *Fredegaryusza*, *Gesta regum francorum*; 2) z poematów XII—XIV w. Odsłaniają się więc z jednéj strony dzieje Merowingów: Childeryka, Klodoweusza, Teodoryka i Teodeberta, Klotaryusza II i Dagoberta, z drugiéj strony wyłuskują się fakta historyczne z poematów: Floovent, Gisbert au fier visage, Sibilla, Mainet, Quatre fils Aymon, Giratz de Roussillon, Hugo d'Auvergne.

W historyi rozwoju epopei merowińskiéj rozstrząsa autor kwestyą języka, w jakim mogła być tworzona, kwestyą pochodzenia germańskiego, rozpostarcia się germanizmu, wreszcie charakteru i formy; w ostatnich dwu rozdziałach polemizuje z Gautierem. We wstępie znajdujemy uwagi ogólne, między niemi definicyą eposu, zdaniem naszém nie zbyt szczęśliwą: *ogni narrazione poetica di cose.* Szczęśliwiéj za to zbija zdanie większości uczonych, że poezya liryczna poprzedziła epiczną, i sądzi, że zrodziły się one równocześnie. Druga wycieczka, skierowana głównie przeciw uczonym niemieckim, rozbija teoryą, że początki epopei są mityczne, t. j. że fakta, na których opiera się najstarszy epos, sprowadzają się w ostatniéj analizie do czystych wyrażeń symbolicznych. Nawet ci, którzy nie dopatrują np. w wojnie trojańskiéj walki słońca z chmurą, ciemności

(1) L'Origini dell' Orlando Furioso.

(2) Revue critique d'Histoire et de Littérature. 1884, str. 489.

z światłością, wychodzą na to samo, twierdząc, że bohaterowie—to uczłowieczone bogi, więc uosobienia sił natury; a kto mówi bohater, mówi epopeja. Otóż najprzód, trudno pojąć, jak człowiek pierwotny umiał z sił natury dedukować bohaterów; łatwiéj mu było tworzyć ich z ludzi zwyczajnych, powiększywszy tylko rozmiary. Takie tworzenie odbywa się nawet w czasach historycznych, pod okiem krytyki. Karol W. i Napoleon I nie pomarli jeszcze, a już weszli do epopei. Potém, bogowie stając się bohaterami, przybierali formy ludzkie, abstrakcya bowiem jest z niéj wykluczona. Nie można więc mówić o *epopei mitycznéj*, co najwięcéj o *micie w epopei*. Jeszcze jeden dowód jéj ludzkiego pochodzenia. Treścią eposu jest zawsze walka. Otóż, aby następstwo dnia i nocy, zimy i lata, suszy i deszczu pojąć jako wojnę, trzeba mieć naprzód pojęcie faktu *wojna*, które dobywa się oczywiście ze stosunków ludzkich. Jeżeli zaś powstać ono mogło jedynie w rasie wojennéj, to niepodobna, aby ta rasa miała dość fantazyi na zrozumienie w ten sposób następstwa dnia i nocy, a nie dość, by pamiętała i uwieczniła pieśnią czyny swych znamienitych wojowników.

W dalszym ciągu rekapitulacya świadectw o istnieniu prastaréj epopei germańskiéj i to genealogicznéj, między innemi Tacytowe: „*Celebrant carminibus antiquis* (*quod unum apud illos memoriae et annalium genus est*) *Tuisconem deum terra editum et filium Mannum, originem gentis conditoresque*" (1); konstruuje bowiem autor zdanie to nie *celebrant Tuisconem*, ale *celebrant originem gentis*. Śpiewy epiczne dadzą się wykazać w różnych szczepach germańskich. Posiadają je Goci za świadectwem Jornandesa; Anglosasi,—dowodem Beowulf z VII w. choć schrystyanizowany i odosobniony. Wspominając Gotów, autor zbija twierdzenie oparte na świadectwie Priscusa, jakoby owe pieśni śpiewane u stołu Atylli, które tak wzruszyły biesiadników, były gockie; nie wielu zapewne między nimi było Gotów: Priscus wspomina jednego: Βέριχος, może Berich (?). Posiada prastarą epopeję literatura irlandzka, skandynawska etc. Najważniejsze dla podjętéj kwestyi byłoby wykazanie epopei u Franków; Frankowie to szczep zarodowy przyszłych Francuzów. Autor podkreśla w cytacie Eginhardta (2): „*Barbara et antiquissima carmina, quibus veterum regum actus et bella canebantur, scripsit memoriaeque mandavit*", wyrazy: *antiquissima* i *regum*, wnosząc, że mowa o Merowingach. Byłby to pierwszy dowód istnienia cyklu merowińskiego. Drugi dowód, już namacalny, w Poecie Saskim:

(1) Tacitus: De moribus Germaniae. C. II.

(2) Vita Caroli Magni.

Laudibus eius (Caroli M.) avos et proavos celebrant:
Pippinos, Carolos. Hludovicos et Theodricos,
Et Carlomanos Hlotariosque canunt.

Nie dziw, że znajdujemy ich między przodkami Karola W. Nawiązanie takiego pokrewieństwa leżało w polityce Karolingów dla uprawnienia władzy, biorącéj początek w uzurpacyi.

Rozpoczyna się mozolna rekonstrukcya cyklu merowińskiego. Autor, jak powiedzieliśmy, naprzód wydziela poezyą ze świadectw rzekomo historycznych, następnie dopytuje się faktów dziejowych w poezyi.

Meroweusz nie wszedł sam do legendy jako bohater; legendowe jest jednak jego pochodzenie; według kroniki Fredegaryusza, ojcem jego miał być Minotaur, a spłodził ojca frankońskiéj dynastyi z żony Klodyona w czasie kąpieli morskiéj. Szereg Merowingów w epopei rozpoczyna syn jego Childeryk. Opowiada o nim *Grzegorz z Tours*, że wstąpiwszy po ojcu na tron. wypędzony uciekł do Turyngii, do króla *Bisino* i królowéj *Basina*, Frankowie zaś powołali tymczasem na tron wodza rzymskiego (!) Egidyusza, wnet jednak prawego króla odwołali, który powraca, uwiózłszy królowę. Na dnie owéj powieści tkwi niezaprzeczenie legenda; sama opowieść Grzegorza musi polegać na pieśni epicznéj, różni się bowiem od reszty jego kroniki krótkością i mglistością tonu. Dowodem wewnętrznym jest naprzód owo wybranie na króla dowódcy rzymskiego, potém awanturnicze wykradzenie królowéj, któréj imię jest może alliterowane jak *Sigmund* i *Sigelind*, *Hettel* i *Hilde* etc. Kompilacya z ostatnich czasów merowińskich: *Gesta Regum Francorum* dają więcéj niż Grzegorz z Tours. Dają nazwisko wysłańca i doradcy Franków: *Guidomado*. Wnet i Egidyusz przedstawia się w gorszém świetle. Guidomado radzi wypędzić „*militem hunc Imperatoris Romanorum crudelem, iratum atque superbum*"; autor przypuszcza nawet, że legenda umieściła Rzymianina na tronie Franków, by go z większą hańbą strącić. O Guidomadonie wiemy zawsze jeszcze za mało. Autor zatacza działo większego kalibru, kompilacyą *Fredegaryusza: Gregorii Turonensis Historia Epitomata*. Tu już Guidomado jest figurą naskróś epiczną; po trzykroć podburza Egidyusza przeciw podwładnym Frankom, a potém uciemiężonych szczwa na króla. Jest więc fortel—motyw epiczny. Poselstwo do Konstantynopola—Childeryk tam właśnie przebywa—wykazuje wspólny wszystkim trzem opracowaniom motyw złamanéj monety, znaku porozumienia. Childeryk powraca i sprawia kilkakrotną wśród Rzymian rzeź, — fakt sprzeczny z historyą, która wymienia Childeryka jako sprzymierzeńca Egidyuszowego w wojnie z Gotami r. 563. Następuje śmiała hypoteza. W *Prologu* do „Lex Sa-

lica" czytamy: „*Haec est enim gens, quae, fortis dum esset et robore valida, Romanorum iugum durissimum excussit.*" Byłyżby to fakta identyczne, świadectwo istotnego rokoszu, którego ślad dla historyi zaginął? Czysto germański i epiczny jest w tém opowiadaniu epizod wizyi, które się ukazują Childerykowi w noc ślubną, a z których się wielkość potomków wróży. Czerpać zaś musiał kronikarz nie z Grzegorza jedynie; źródłem jego—zważywszy, że epizod konstantynopolski tak jaskrawo niehistoryczny nie mógł zkąd inąd wyjść, jak z warsztatu legendy ludowéj, — źródłem jego musiał być epiczny poemat ludowy. Idźmy daléj.

Podkład epiczny da się odkryć w weselu *Klodoweusza* z *Klotyldą*. Wysłanie swatów, tajemna rozmowa posłańca z królewną, ucieczka z ojcowskiego domu. Mówią o tym fakcie též same kroniki, tylko w *Gesta Regum Francorum* występuje wyraźnie żywioł chrześciańsko-religijny. „*Erat enim Chrotildis christiana.*" Klodoweuszowi odpowiada: „*Non licet christianae pagano nubere.... Sed sicut Dominus meus, quem ego coram omnibus confiteor, vult, sic fiat.*" Ten element chrześciański dowodzi, że wersya w przeciwieństwie do pierwszych dwu nie opiera się bezpośrednio na legendzie ludowéj; znajdują się też w niéj sprzeczności. Chrześcianka nie chce zaślubić poganina, a już przyjęła zaręczynowy pierścień. Żądanie jéj brzmi: „*ut Deum coeli Patrem omnipotentem credas... Dominum Jesum Christum... Spiritum Sanctum; et idola vana derelinque...* etc. *ecclesias quas succendisti restaura.*" Następuje część najważniejsza: „*Memento quaeso, insuper, ut requirere debeas portionem genitoris mei et genitricis meae, quos avunculus meus Gundebadus malo ordine interfecit*" etc. Oto prawdziwe historyczne żądanie Klotyldy, stawiające kościelną teoryą jéj poświęcenia w mniéj idealném świetle. Legenda w téj ostatniéj formie musiała mieć autorem duchownego. Że tłem jéj były pieśni epiczne, autor konkluduje z istnienia *epopei godowéj* u Germanów. Formuła jéj jedna: Dziewica strzeżona przez ojca, opiekuna czy zdobywcę, wykradziona czy odbita staje się żoną odważnego. Przykłady liczne: *Rother*, *Ortnit*, *Hugdietrich*, *Gudrun* przedewszystkiém, etc. Na śmieszność narażają się badacze widzący w takich wykradzeniach allegoryą, np. „Bóg słońca uwalnia naturę z więzów zimy" etc. Nie; młody bohater po prostu pragnie się ożenić i zdobywa sobie pannę, gdzie ją upatrzył. Ten kubeł zimnéj wody wylewa autor na entuzyastów niemieckich zapatrzonych w *Sigfrieda i Brunhildę*— od Grimma aż do Müllenhoffa i Scherera. Podobnie cykl weselnych poematów epicznych: Alboina i Rosmondy, Autarika i Teodolindy, Agilulfa etc. tłómaczy się bez wszelkiéj podstawy, jako przejście z epoki barbarzyńskiéj do cywilizowanéj.

Poemat o weselu Klodoweusza i Klotyldy jest analogiczny, a może identyczny z epizodem w *Vilkina Saga* o *Herbercie* i *Hildzie*; Herbert wysłany do króla Artura z Bretanii. zabiera tu miejsce widocznie nie swoje; w *Biterolfie* (według Grimma) jest na tém miejscu *Ludewig* z *Ormanii*. W tym Ludewigu podejrzywa Rajna *Klodewika*. Ormania czyli Normandya, jest-to Neustrya, według

Verilés est ke en Neustrie
Que nus apelum Normandie.
(Marie de France. Lais des deux Amants)

Rola Klodoweusza w kronice Grzegorza z Tours na tém się nie kończy; jeden epizod opisuje wojnę *Godegisela* i *Gundebada*, drugi ma za treść zabicie trzech braci królewskich, podstępne walki, zdrady i okrucieństwa Klodoweusza. Słowem, musiał on być między Frankami bohaterem ogromnego poetyckiego cyklu. Idźmy daléj. Najstarszym synem Klodoweusza jest Teodoryk, bastard, mieszany często w epopei z Teodorykiem z Verony (Dietrich von Bern). Ślady pieśni ludowéj zdradza u Grzegorza z Tours wojna Turyngska. Teodoryk i Frankowie są tam protagonistami; most z trupów na rzece Unstrudt jest widocznie wymysłem poetyckim. Autor rozbiera dwie późniejsze wersye téj legendy: *Witekinda* i *Chronicon Quedlinburgense*; pierwsza ważniejsza, bo starsza i wolna od wtrętów. Epizod zwłaszcza jest w téj wersyi istotnie dramatyczny. Irving, typ chytrego doradcy, zabija *Irminfreda* i *Teodoryka*, t. j. turyngskiego i frankońskiego króla i z szyderstwa kładzie trupy dawnych wrogów na sobie, „aby zwyciężony choć po śmierci nieprzyjaciela przydusił.“ Różni się także ta opowieść od Gregoryańskiej znaczną rolą przydzieloną Sasom, których Frankowie na pomoc wezwali; uwagi godne jest pomieszanie obu Teodoryków, ile że *Amalaberga*, *casus belli*, jest istotnie siostrą Teodoryka, ale nie Frankońskiego, tylko króla Ostrogotów.

Kronika Quedlinburska nie wykazuje różnic znacznych: w obu zaś ślady poezyi epicznéj są widoczne. Epiczny jest *Hugo-Teodoryk: Hug-Dietrich* w dwu osobach; epiczny jest Iring, widzimy go bowiem w *Nibelungach*, z zatarciem różnic czasu; a oto towarzyszy mu *Infrid*, nasz *Irminfred*:

Irnvrit von Düringen ein kuener jungelinc.
(*Nib. not.* ed. Bartsch, str. 2031.)

Teodoryk, jak się pokazuje, był bohaterem wielu a wielu śpiewów epicznych; sława jego grzmiała nad Galią, Germanią, Italią; umarł za wcześnie r. 547 lub 548. Imię jego *Hugdietrich*, a jego syna *Wolfdietrich*, według domysłu Müllenhoffa; ojciec zaćmił syna i dla

tego Rajna chciałby pod obu nazwiskami widziéć osobę tę samę; zdwojoną tylko przez nazwę. Jako typ epicznego bohatera, powinien miéć za sobą jakiś świetny czyn młodzieńczy w rodzaju *Enfances* Karola W. i oto tradycya czyn taki naznacza na rok 515 lub późniejszy. Jest nim wypędzenie *Chochilaika* i Duńczyków (dokonane w rzeczywistości przez Teodeberta); Chochilaik życiem napaść przypłaca. Warto w tem miejscu przypatrzéć się robocie autora i sposobowi, jakim stawia konjektury. O wypędzeniu Duńczyków majaczą *Gesta Regum fr.* i *Beowulf*; w pierwszych Skandynawowie napadają na kraj Hattuarów; w drugim król Gotów Hygelâk ginie w wyprawie przeciw Fryzom. Fryzowie, czyli Frankowie są tam nazywani *Hetvari*, *Hugas*. Zgodność obu kronik widoczna; Hetvari= Hatuarii; Chochilaik = Hygelâk, a wytłómaczenie nazwy Hugones znajdziemy w *Chronicon Quedlinburgense: Olim omnes Franci Hugones vocabantur a suo quodam duce Hugone.*“ W pewnym traktacie, nie późniejszym nad wiek X, czytamy: „*Rex Huiglaucus, qui imperavit Getis et a Francis occisus est; quem equus a duodecimo anno portare non potuit.*“ Był więc olbrzymem, a olbrzymami są zawsze w epopejach nieprzyjaciele; rozmiary ich powiększa legenda dla podniesienia zwycięstwa lub zmniejszenia klęski. Beowulf opowiada klęskę swoich; kiedy ją więc opiewali zwyciężeni, niepodobna, aby ją zamilczeli zwycięzcy, lubujący się w śpiewach bohaterskich.

Childeryk — to wiek V; Klodoweusz — początek VI-go; z wiekiem VII wstępujemy w dzieje Klotaryusza II i jego syna Dagoberta. Jeżeli 3 ćwierci ostatnie VI w. nie wykazują w kronikach późniejszych charakteru legendowego, to przeto, że nie było już Grzegorza z Tours, któryby czerpał z niejasnych źródeł poezyi ludowéj; a przecież wiek Brunhildy i Fredegundy, to wiek najwdzięczniejszy dla eposu. Za to z VII w. zostały bogate szczęty. Głównym czynem Klotaryusza, głównym dla epopei, jest wojna saska. Dagobert przechodzi przez Ren, — walka zacięta. Nieprzyjacielski rycerz tnie młodzieńca przez szyszak i ucina mu pukiel włosów; giermek podnosi go i biegnie z tym znakiem groźnego położenia do króla Klotaryusza; ten przybywa z pomocą z lasu ardeńskiego, zabija w pojedynku wodza saskiego Bertolda,--zwycięstwo. W tém opowiadaniu *Gesta R. fr.* widoczna legenda i szkielet starego poematu; dawno téż spostrzegli to Gaston Paris, Darmesteter, Leon Gautier. Bo téż *Vita St. Faronis*, opowiadająca z dziwną zgodnością ten sam fakt była dla uczonych jedynym dowodem istnienia frankońskiéj epopei już w VII wieku i do znudzenia powtarza się jako świadectwo znana cytata: *Ex qua victoria carmen publicum iuxta rusticitatem per omnium paene volitabat ora ita canentium, feminaeque choros inde plaudendo componebant :*

„De Chlotario est canere, rege Francorum
Qui ivit pugnare In gentem Saxonum.“

A jakie zeń wyciągano wnioski, jakie na nim budowano teorye tyczące się formy i języka starej epopei—powiemy na swojém miejscu. Na Dagobercie kończy się cykl merowiński: wypada roztrząsnąć, czy śladów tego cyklu nie ma w późniejszych *Chansons de Geste*. Literatura tego pytania ułożyła się głównie około kompilacyi *Reali di Francia* i téj jéj części, która nosi nazwę *Fioravante*, *Floovent*. Badali je Paulin Paris, Darmesteter, Gaston Paris doszli jednak do mniéj pozytywnych, niż Rajna rezultatów. Przy rozbiorze każdéj części tych *Reali* streścimy dawniejsze sądy uczonych, aby je ostatecznie zestawić z hypotezami Rajny:

I. Legenda o *Fioravante* nie jest odosobniona; mamy przekład norweski z poematu pisanego w *langue d'oïl* z XII w. pod tyt. *Floovent Saga*: mamy francuskie *Floovent* i *Florent et Octavien*; mamy epizody tego podania w *Ciperis de Vignevaux* i *Chansons de Saisnes*. Rozbiór tych francuskich poematów znajdzie czytelnik u Leona Gautiera lub w Histoire lith. de la France. T. XXVI, zredagowany przez P. Parisa.

Poemata francuskie, w których odkrywa się stare postaci Merowingów są przypuszczalnie dwojakie. Jedne świeżéj redakcyi; te dają stare imiona, ale widocznie przejęte z tradycyi pisanéj, nie odpowiadają bowiem naturalnemu rozwojowi dźwięków. *Chilperik* nazwany *Ciperis*, podczas, gdy w tradycyi ludowéj musiałby przejść na *Helpris*, *Heupris*, pargaminem téż trąci *Dagoubert*; forma ludowa musiała być *Daibert*, i tak ją czytamy w łacińskich źródłach *Daibertus*. Drugie wypłynęły by z tradycyi ustnéj, poetyckiéj; pytanie zachodzi, czy takie istnieją. Najpoczytniejszą odpowiedź daje Gaston Paris. Imiona Merowingów zaczynają się przeważnie od *Chl.* Chlodovechus, Chlotocharius, Chlodoaldus, etc. Zjawisko fonetyczne przejścia gardłowéj na wargowo-zębową jest powszechne: pozór: Mahomet i Mafomat, Malfumé, Maufumé. Floovent i Flovent odpowiadałyby więc Cloovis, Clovis. G. Paris ustalił genezę Floovent od Hlodoving, gdzie *vent*=*ving* jest suffixem dla imion rodowych jak *Meroving* od *Merovech*. Forma przyjściowa była by: Flodovinc, tj. syn Klodoweusza. Synem Klodoweusza zaś jest Teodoryk. G. Paris chciał go identyfikować z *Dagobertem* Z cyklem Merowińskim łączą *Flooventa* naprzód wojny przeciw „Saracenom.“ Saraceni w Floovent są to Sasi, gdzieindziéj jest to imię zbiorowe ludów na wschód Francyi leżących, więc nawet dla Słowian. Analogią znajdujemy w rzymskiem *barbarus*, w germańskiem *walah* dla szczepów obcych. Mimo tę wojnę, mimo inne rysy upodobniające Flooventa Dagobertowi, Rajna odrzuca hypotezę G. Parisa z tego względu, iż Dagobert i Floovent czyli Flodo-

ving, syn Klodoweusza przedzieleni są całym wiekiem, i stawia sam hypotezę prostszą i pewniejszą: Floovent jest istotnie synem Klodoweusza, jednym z czterech:

De sa franche moilleir ot IIII fiz gentiz.

Tak mówi poemat w wierszu 15. Ale daléj dziwnym sposobem jest ich już tylko trzech:

Por Floovant son filz ot lon cour mont irlé
Et dolant que il fût fors de France chaclé,
Car si *dui autre fil* li avoint boisié.
(v. 2421—23)

więc tylko Floovent i dwaj nieprzyjaźni bracia. Pierwszym synem był *Klodomir*; o tym tradycya zapomniała; drugim *Childibert* (panuje 511—558); długie jego panowanie wdzięcznym było tematem dla epopei, ale sceną jego działania było południe, Burgundya, podczas gdy Floovent działa na wschodzie. Trzecim jest Klotaryusz, czwartym, bastard Teodoryk. Obaj w epopei ważną grają rolę, obaj mogą być podsunięci pod osobę Flooventa, Teodoryk jednak ma większe za sobą prawdopodobieństwo, zwłaszcza że jako bastard jest istotnie narażony na nieprzyjaźń macochy i braci. *Chlodovingiem* mógł być nazywany dla odróżnienia od Teodoryka z rodu Amelungów, mieszanego z nim zbyt często w tradycyach ludowych.

II. *W Reali di Francia* znajduje się historya Drugioliny z dwoma synami: Oktawianem i Gisbertem, któréj odpowiadają dwa francuskie romanse: *Florent et Octavien* oraz *l'Othevien*. Autor odkrywa postać Gisberta w historyi, posiłkując się tą samą metodą: Florent =Chlotaring syn Klotaryusza. Między synami Klotaryusza I posiada bezbożny i okrutny *Karibert* wszelkie cechy *Gisberta z ponurą twarzą* „co powiedział stojąc przed krucyfiksem, że się Boga nie boi, a ledwo wyrzekł okryty został trądem. Próżno leczyli go doktorzy nie wrócił do zdrowia, aż odbył pokutę na pustyni.“

III. Jeszcze jedna osobistość należąca do cyklu Merowingów, a przeniesiona do epopei karolińskiéj. *Sybilla*, żona Karola W. córka cesarza Konstantynopolskiego, oskarżona o cudzołóztwo a wracająca po wielu latach usprawiedliwiona do domu męża, *Chanson de Geste* o niéj zaginął, pozostała redakcya prozaiczna i z wielu obcych, wersya włoska: *Biancifiore*, któréj naiwny styl świadczy według autora o starszym niż inne wieku, choć nie jest, jak chce Gautier, najstarsza. W wersyi francuskiéj karzeł zakochany w królowéj wkrada się do jéj łoża, ale (powieść jest dziwnie naiwna) zasypia, nie wyrządziwszy jéj krzywdy. Tak znajduje go Karol i żonę wypędza. Towarzyszy jéj Alberych; w lesie napadnięta przez hrabiego Makaryu-

sza, który równie występną ku niéj pała miłością, obroniona przez Alberycha ucieka. Logiczniéj i prościéj przedstawia wypadek ten wersya franko-italska. Makaryusz sam czyha na królowę; karzeł jest tylko jego narzędziem. Logiczność ta daje ostatniéj wersyi pierwotniejsze stanowisko. Są uczeni, którzy historyą Sybilli, Biancifiore, Genoweffy uważają za czysty mit; ale epopeja francuska ma przeważnie charakter historyczny, więc i tu szuka Rajna podkładu historycznego. Karol W. odsunął, jak wiadomo, córkę Dezyderyusza, historya jednak nie mówi nic o jéj powrocie. Autor mniema, że legenda uzupełniła jéj dzieje dziejami *Gundebergi*, żony longobardzkiego króla *Karoalda*, i *Sighildy*, żony Klotaryusza II; imię ostatniéj zwłaszcza stoi z *Sybillą* w widocznym związku.

Rezultatem tych badań jest spostrzeżenie, że *epopeja francuska obok rodzinnych tematów przyjmuje w siebie obce, które przenosi na osobistości rodzime i że temata owe opierają się zawsze na faktach historycznych.*

Porzuciwszy na chwilę Merowingów, autor rozbiera czwartą część *Reali di Francia*: *Mainetta*, które to imię oznacza młodzieńczego Karola W. Gautier przyznaje, że około postaci *Karola Młota* i bitwy pod Poitiers r. 732 ułożyła się epopeja, w formie, jak powiada, „kantylen“; ale mówiąc o przeobrażeniach eposu dziwnym trafem nie spostrzega w cyklu Karolińskim wybitnych rysów z historyi Martela. Spostrzegli je jednak Paulin Paris i Gaston Paris i ich odkryciami posiłkuje się Rajna. Streszczamy je za autorem, choć do przedmiotu ściśle nie należą: Assymilacya dwu tak wybitnie epicznych postaci powstała naprzód w skutek identyczności imion. Przydomki *Wielki* i *Młot*, choć dane były bohaterom już przez spółczesnych, ustaliły się dopiero późniéj, w IX w. i zrosły się z imieniem tak ściśle, że wymawiając Charlemagne, Francuz nie wiedział już, że to dwa wyrazy, — Charl „le Grand“ nigdy do tradycyi nie przeszło. Do tego byli oba synami Pipinów; jeden Pipina z Heristalu czyli Grubego, drugi Pipina Małego czyli Karła, a ich przydomki równie często ulegały konfuzyi. Pomieszanie to datuje się od samego Karola W.: poczęty jest — jak chce legenda, z prawéj małżonki Pipina mimo jego wiedzę i to na ustroniu, w lesie; a oto jedna redakcya genealogii karolińskiéj (1) mówi o Martelu: *Pippinus genuit Karolum ducem. Iste in carro fuit natus*, więc urodzenie równie awanturnicze. Potém prześladowanie przez braci *bastardów*, ucieczka do Hiszpanii, miłość Galieny, powrót i zwycięstwo, wszystko to fakta z historyą autentyczną niezgodne, ale mieszczące się w życiorysie Martela. Jest bastardem; przez ma-

(1) Ed. Pertz. S. S. III.

cochę więziony w Kolonii, później staje na czele austrazyjskiego powstania, walczy z Chilperykiem i Raginfredem i zwycięża. Rzecz jasna, dlaczego epopeja zrobiła bastardami *braci* Martela; z Karola W. trzeba było zdjąć plamę nieprawego pochodzenia. Zlanie się obu legend nastąpiło, według uczonego włoskiego, jeszcze za życia Karola W. lub zaraz po jego śmierci; dowodzi autor analogią owego Bramanta, którego zwalcza *Mainet*, tj. młodzieńczy Karol (W.) a który jest Abderrahmanem. I inne fakta przeniosła legenda na Karola W. Wypędzenie Saracenów z Prowancyi 737 r. przez Martela; zdobycie Narbony, wszystkie walki z wasalami, czy wypadły za Karola Łysego, czy Grubego, czy Prostaka.

IV. Karol Młot zastąpiony jest równie Karolem W. w poematach *Quatre fils Aimon*. *Giratz de Rossighon*, *Ugo d'Alvernia*

Konkluzya: Około Karola Młota zebrała się bogata produkcya legendowo-epiczna, mająca za przedmiot „Enfances,“ walki wewnętrzne i zewnętrzne. Cała ta masa przelała się później do epopei karolińskiego cyklu, któréj środkiem stal się *Charlemagne*.

Historyą rozwoju epopei merowińskiéj rozpoczyna autor nieco bałamutnie, wykazaniem, że epopeja karolińska jest jéj spadkobierczynią, tj. że przejęła z niéj wielką masę poetyckich motywów i wielką liczbę bohaterów; należało raczéj rozpocząć od kwestyi języka i germańskiego pochodzenia; zapewne dla ważności dwu ostatnich zachował je autor na koniec. W roztrząśnieniu niniejszém postępujemy za nim:

Gaston Paris w swojéj *Hist. de Charlemagne* zwraca uwagę na spólność niektórych motywów w licznych Chansons de Geste; Rajna uzupełnia ich liczbę i cytuje w zrestaurowanéj epopei merowińskiéj. Takim tematem wspólnym jest datujący się już od Jozuego i Jerycha upadek nieprzyjacielskich murów na odgłos trąb, za sprawą bożą. Tak według kroniki *Pseudo-Turpina* upadają mury Pampeluny, Grenobli, w *Karlmagnus Saga* mury Tremogny, w *Chanson de Roland* (kodeks marcyański) mury Narbony; etc. A oto *Grzegórz z Tours* opowiada, że w Wizygockiéj wojnie Klodoweusza runęło w ten sposób Angoulême, u *Fredegaryusza* zaś Metz.

Drugie świadectwo téj opieki boskiéj czuwającéj nad Karolem jest ułatwianie mu przejścia rzek przez przewodnictwo białego jelenia, jak w *Karlomagnus Saga*, w *Wojnie Saskiéj* itd. Choć w cyklu karolińskim cuda te mają pod sobą grunt chrześciański, odnoszą się jednak do czasów prastarych, do kultu zwierząt. U Germanów jelenia zastępuje niedźwiedź lub wilk. *Priscus* opowiada o przejściu Hunnów przez bagna Meotyjskie do kraju Scytów. Wiedzie ich jeleń; za jego przewodem podbijają Scytyą. Z Hunnami jesteśmy na

gruncie aryjskim i przejście tego zwierzęcego elementu z Azyi do europejskich podań jest prawdopodobne,—dodałbym *pewne*, zważywszy ogromne rozpowszechnienie kultu zwierzęcego w podaniach praaryjskich, i jego charakter wybitnie wschodni. W cyklu merowińskim przechodzi w ten sam sposób Klodoweusz przez rzekę Vingennę (*u Grzegorza z Tours*): „*Cumque illa nocte Dominum deprecatus fuisset, ut ei vadum, quo transire possit dignaretur ostendere, mane facto cerva mirae magnitudinis ante eos motu Dei fluvium ingreditur, illaque vadante populus, quo transire possit, agnovit.*“

Prócz tego da się zaznaczyć wspólność innych rysów: Klotaryusz w Wojnie Saskiéj zabijał—jak opowiada kronikarz, jeńców wyższych nad długość jego miecza, tak czyni Karol W. z podbitymi Słowianami: „*ita omnes humiliavit, ut etiam pueros et infantes ad spatas metiri praeciperet, et quicumque eandem mensuram excederet, capite plectaretur*“.

Podobnie wspólna jest modła poselstw. Zwyczajnie posłowie przybywają na dwór króla saraceńskiego czy francuskiego z butném wyzwaniem. Król rozgniewany chce ich skarać śmiercią; powstrzymują go w porę roztropni doradcy. I tak: *W Chanson de Roland* idzie w poselstwie do Saragossy Ganelon, i jest zagrożony śmiercią; w *Aiol* olbrzym nubijski Turnebeuf naraża się na gniew króla Ludwika; w *Aspremonte* posiadamy typ najpiękniejszy: poseł Balante zdumiony wspaniałością Karola przyrzeka przyjąć chrześciaństwo. Wersya ta najpodobniejsza do poselstwa Bertolda w *Wojnie Saskiéj*. Tam posłowie sascy przyjmują rzeczywiście chrześciaństwo, a zgodność obu poematów przedstawi się wyraźnie, jeżeli zważymy, co mówi Balante zapytany o pochodzenie:

Ballant li Sassne, ensi me fay nomer.

Ballant z Saksonii! Widocznie epizod ten, nim wszedł do *Aspremonte*, należał do Klotaryuszowego cyklu. Pomieszanie Saracenów z Sasami na istotę rzeczy nie wpływa: były to synonimy; podobnie w *Romans d'Ogier* władca Afryki, Babilonii i Damaszku *Brahier* jest równocześnie królem Saskim:

Rois fu des Saisnes, ki tant por sont gran gent.

Rajna wierzy, że to jest jego właściwa ojczyzna, zwłaszcza, że *Brahier* to imię germańskie: z suffixem *hari*=bitwa. Podobną analogią przedstawia typ owéj królewnéj czy królowéj, która zakochawszy się w wygnanym z ojczyzny przybyszu, ofiaruje mu swą miłość i ucieka z ojczystego domu. Taką jest Basina w cyklu Childerykowym, taką Drugiolina w *Floovent*, taką Galiena, Josiana w cyklu Karolińskim. Wreszcie, na co i Gautier zwraca uwagę, owo:

De Clotario est canere rege Francorum w *Vita St. Faronis*, owa homerycka inwokacya: *Męża opiewaj* Muzo! powraca w *Chansons de Geste*: np.

> „*Seignur, plait vos oïr gloriose chanson?..*
> *C'est de l'ost Charlemaine, le nobile baron* etc."
> (Parise la Duchesse. v. 1)

Tak więc *Wojna Saska*, historya *Childeryka* i *Maineta*, historya *Berty* wiąże z sobą oba cykle. Inwazye Normanów i Skandynawów Sasów, Alemanów i Hunnów z jednéj strony, inwazye Saracenów z drugiéj strony identyfikują się w epopei, a nawet genealogia obu cyklów w osobach królewskich familii, jest nieprzerwana. Oznacza ją piękny epicki ornament: krzyż na piersiach czy barkach, zwłaszcza w redakcyach włoskich, (Reali di Francia), gdzie nazywa się *il niello*. Otóż posiada to znamię krzyża: Karol W. i Orlando, Ludwik, syn Karola, czy się rodzi z Sybilli, czy z Blanchefleur; nawet baronowie karolińskiego cyklu, jak Wilhelm z Oranii i syn *Parise la Duchesse*:

> *Desor l'epaule destre ot une crois roiel.*

A teraz w szczepie Merowingów: Nosi to znamię *Fioravante* w Reali, *Florent* w francuskiéj redakcyi; *Buovo d' Antona*, osobistość nieznanego pochodzenia, ale snać z królewskiego rodu, gdyż

> *Il a l seign ou senestré cousté,*
> *Et sus l'espaule la croiz roiel li piert.*

Że znamię owo wyrosło istotnie z epopei merowińskiéj, na to dowód po za granicami Francyi. Krzyż ów nosi na ramieniu *Wolfdietrich*, syn *Hugdietricha*, czyli Teodoryk merowiński.

> *Auf hueb es dy kuenegin und begunde zu hant spehen,*
> *Ob sy nit abentewre an im moechte sehen:*
> *Da fand sy zwischen Schultern ein rotes kreuzelein.*
> *Dabei sy her nach kante ir schoenes Kindelein,*
> (von der Hagen, Heldenbuch, I. 184)

Ponieważ pogańscy Merowingowie wywodzili się, jak wiemy, od Delfina, nie mogło znamię to pierwotnie mieć formy krzyża. Istotnie: kronikarz bizantyjski Teofanes mówi o Merowingach, że „zwali się κριστάται, co na greckie tłómaczy się τριχοραχάται, gdyż wzdłuż bark rosły im brodawki jak u wieprza." Oto jak artystycznie niepiękny ten dodatek wyzyskała epopeja chrześciańska!

Najciemniejsza jest dotąd kwestya języka, w jakim pieśni o Merowingach, przypuściwszy że istniały, były śpiewane. Gautier, G Paris, Meyer, Rajna twierdzą, iż był romański; jeden Bartsch przeczy.

Opierają się uczeni na *Vita st. Faronis*; Bartsch dosłuchuje się w nim odgłosu giermańskiéj rytmiki wiersza o 8 arsach:

„De Chlóthario est cánere | rége Francórúm,
Quí ívit púgnáré | In géntem Sáxónúm.“

Uważa więc ten śpiew za oryginalnie frankoński. Romańskiéj natury dowodzą wyrazy: *carmen publicum*, *rustico carmine*, *iuxta rusticitatem*, oraz fakt, że pieśń ta „*per omnium fere volitabat ora*“. Gautier przypuszcza nawet, że nigdy nie mówiono niemiecką gwarą w kraju, gdzie pieśń owa była śpiewana, a ostatecznie, że rozdział germańskiéj i romańskiéj poezyi nastąpił właśnie już w VII w. Gruntowniéj bada kwestyą tę Rajna. Najprzód stwierdza, że Frankowi osiadłszy w Galii, nie mogli odrazu porzucić języka, więc ich śpiewy były germańskie; dowodem *Poeta Saski*, dowodem *Hludovici*, *Theodrici*, *Chlotarii*, którzy w poezyi żyją nieustannie. Ale czy język frankoński był jedyny, którego używała epopeja merowińska? W kronice *Fredegaryusza* legenda o Childeryku okazuje charakter romański, mianowicie epizod podróży do Konstantynopola. Takiż charakter nosi w *Godach weselnych Klodoweusza* romański bez wątpienia *Arydyusz*, najwyraźniéj zaś jeden ustęp *Wojny Saskiéj*: Bertold miota obelgi na Klotaryusza, stojącego nad brzegiem Wezery. „*Tunc hic eras...*“ tu następuje przezwisko czytane przez uczonych w różny sposób: *bile jumentis*, *bale jumenti*, *blare jumentum*. Du Cange w Słowniku rozumie *Bile=vile*, podły; Gaston Paris tłómaczy: „*Es-tu là jument*, *ou cheval bai*?“—według autora niezbyt szczęśliwie; że to jednak frazes romański, nikt nie zaprzeczy. Fragment *Vita St. Faronis*, dokument dla kwestyi niniejszéj najważniejszy, uważa Rajna z Meyerem i Gautierem nie za przykład, lecz za dowolne obrobienie tego, co kronikarz z ust ludu słyszał. Kronikarze oczywiście używali łaciny; analogia znajduje się we wszystkich literaturach. Nie wynika stąd jednak, aby język nie dość wykształcony dla ludzi pióra, był niezdatny dla poezyi. Język nie przechodzi przez jakieś chaotyczne epoki; w każdéj dobie jest organizmem skończonym i do wyrażenia najprostszych epickich opowieści zdolnym; a jak w historyi natury, tak i tu odkrycie jednego osobnika pewnego gatunku dowodzi istnienia większéj ich liczby.

Konkluduje autor: Istniała Wojna Saska Klotaryusza i *Dagoberta* w narzeczu romańskiem, a z nią wiele innych poematów w téjże narzeczu.

Jakież więc jest pierwsze ogniwo téj snującéj się nieprzerwanie epopei francuskiéj, jakie w niéj dominują pierwiastki i w jakiéj istnieje formie?

Gautier w drugiém, mocno zmodyfikowaném wydaniu: *Les Epopées françaises* postawił tezę: *Par son origine prochaine et immédiate, l'Epopée française est romane.* Meyer wierzy, że peryod romański sięga jeszcze daleko po za wiek IX, że od wieków istniały śpiewy ludowe romańskie i że epopeja romańska z germańską nigdy się nie zlała. Rajna obalił, zniweczył dotychczasowe teorye. Epopeja karolińska jest *spadkobierczynią* merowińskiéj. Nie można mówić o *początkach bliżkich*, skoro są one całością jednolitą; można jedynie mówić o początkach rapsodów śpiewanych *w romańskim języku*, takie bowiem, jak się okazało, istnieją; pierwotniejsze jednak są *germańskie*, zresztą w pewnéj epoce obie żyją równocześnie, np. Klotaryusz w Wojnie Saskiéj, Karol Młot; poemat o Childeryku zostaje *zromanizowany* z końcem VI lub początkiem VII w. tak Weselne Gody Klodoweusza, tak *Floovent*, którego posiadamy już tylko romańskie redakcye, ale który już saméin imieniem świadczy o germańskiém pochodzeniu. Jak zaś w przyrodzie, tak i tu *generatio spontanea* wyklucza się. Przyczyną powstania epopei francuskiéj, tj. romańskiéj jest zlanie się obu szczepów. Pytanie, kiedy nastąpiło. Kronikarz grecki Prokop opowiada o zlaniu się Franków z Armorykami, tj. Gallami, które miało przypaść za Klodoweusza. Widoczny anachronizm odbiera temu świadectwu wszelką wartość. Rajna w polemice przeciw Fustel de Coulange'owi wychodzi od znaczenia nazwy Frank. Według F. de C. oznaczało ono w dobie merowińskiéj i Franków z pochodzenia i Gallo-Romanów, co nieprawda. Dokumenta prawne rozróżniają zawsze *Francus,—Romanus.* To zjednoczenie nastąpilo wiele późniéj. Pierwotni Francuzi byli wprawdzie nazywani czasem *Franci*, ale nie *Franchi*; stworzono téż dla nich odrębną nazwę: *Francigenae.* W długiéj zawikłanéj dyskusyi autor stawia hipotezę, że już w najdawniejszych czasach Francuzi tj. Gallo-Romani nazywali się *Franceis*, *François*, i że *Francigena* od tego Franceis pochodzi, w przeciwstawieniu do *Francus*=Frank z germańskiego szczepu. Tak, gdzie się szukało dowodów prędkiego zlania się obu szczepów, znalazło się dowód przeciwny. Tendencya romanizowania wychodziła z Dworu, choć i Chilperyk (561—584), który układał łacińskie wiersze i Klodoweusz, który pochwalnych pieśni romańskich słuchał, za ojczysty język mieli frankoński. Niemieckim czuje się Pipin „niemieckim naskróś Karol W. Eginhardt pisze o nim: „Nec *patrio* tantum sermone contentus, etiam *peregrinis* linguis ediscendis operam impendit, in quibus *latinum* ita didicit, ut aeque illa ac patria lingua orare sit solitus.“ (Orare=mówić, zwłaszcza publicznie). O Ludwiku Pobożnym czytamy „*latinam* vero sicut *naturalem* aequaliter loqui poterat.“ Co to zaś za *lingua naturalis*, daje wskazówkę sam

kronikarz, opowiadając, że słyszano, jak król na łożu śmierci wołał: „*hutz! hutz!* quod significato *foras*“—widocznie niemiecki wykrzyk na odpędzenie złych duchów. Długi zapewne upłynął czas od opuszczenia germańskiéj ojczyzny, nim Frankowie przyjęli obyczaj romański; dłuższy jeszcze nim przyjęli język; kanony kościelne polecają kazać w *romana rustica lingua* albo też *teutisca*. Ten jaskrawy rozdział objawia się nawet w kontraście nazw: *romanus*, *teutiscus*. We Włoszech język ludu nie nazywał się już *romanus*, bo kontrastu dlań nie było; zwie się *volgare*, w przeciwstawieniu do *illustre*=*latino*, który Dante jeszcze nazywa: *lingua nostra*. Napływ Franków trwał przez kilka pokoleń; po Frankach przyszli Salijczycy, Ripuarowie. Ku południowi jednak pierwiastek germański tracił siłę i szerokość; równocześnie neutralizowało go parcie elementu romańskiego z południa i naginała cywilizacya romańska, podniesiona jeszcze urokiem starego Rzymu, oraz chrystyanizm. Jędrne jednak były te plemiona i niezbyt podatne, toż wywierają wzajem wpływ na Gallo-Romanów. Naprzód imiona w północnéj Francyi są przeważnie germańskie, czego przyczyną moda poparta siłą liczby; potém przewaga w rządzie i prawodawstwie. Wbrew F. de Coulange'owi dowodzi Rajna, że Galja czuła się istotnie podbitą. W jednym dyplomie Klodoweusza czytamy: „Primo nostro susceptae christianitatis atque *Subiugationis Gallorum* anno. W prawie Ripuarów np. Germanie mają widoczne przywileje: Zabicie Franka kosztuje 200 soldów, Burgundczyka, Allemana, Bawara, Sasa—160, Gallo-Romana tylko 100; a w edykcie Rotara: „Si quis cum ancilla *gentile* fornicatus fuerit, componat domino eius solidos *viginti*; si cum *romana* ancilla, componat solidos *duodecim*.“ Gallo-Romani więc byli pół-wolni jedynie, nakształt rzymskich *libertini*.

Z tem wiąże się etymologia wyrazu Francus, który Rajna wbrew Grimmowi, a z Littre'm (1) uważa za generalizacyą Francus, pojęcia etnograficznego. Przymiotnik *francus* oznacza w przeważnéj ilości wypadków: *liber* przez szczególne zastosowanie do szczepu zwycięskiego. Z téj saméj przyczyny *francus* w prawodawstwie germańskiém jest synonimem: *ingenuus*. Frankowie stanowią rodzaj arystokracyi, zwłaszcza wojennéj, co dla rozwoju epopei, jako kwiatu z rycerskiéj grzędy, jest nader ważne. To też słownik francuski, począwszy już od saméj nazwy *guerre*, wymienia w zakresie wojennym same wyrazy germańskie; nazwy broni, komenda, terminologia łowiecka są germańskie. Epopeja sama przez się nie jest ludowym rodzajem, gdyż opiewa arystokracyą rycerską, klasy ludowe i miesz-

(1) Dictionnaire de la langue française.

czańskie nie mają tam wstępu. Wstaje ona i żyje śród bohaterów; autorowie mogą pochodzić z ludu. słuchacze muszą być rycerzami; zstępując i przystosowując się do klas niższych. epopeja wynaturzona—upada. dowodem *Orlando* przedzierzgniony w rozbójnika Rinaldiniego.

Trudność pewną sprawia przedstawienie sobie tego przejścia epopei germańskiéj w romańską. Zdanie Gautiera. że Frankowie zromanizowani kontynuowali dawne opowieści w nowym języku, przemawia za pochodzeniem germańskiém więcéj, niż uczony ten sam pragnął. a ostateczna definicya dla francuskiego eposu będzie nie *Epos germańskie w formie romańskiéj* (Gautier, G. Paris). ale *Epos Franków zromanizowane* (Rajna).

Przejście owo łatwiejsze do wytłómaczenia, niż się zrazu zdaje. Wystawmy sobie trzy stadya: śpiewak czy żołnierz mówił po frankońsku. a rozumiał język romański; potém mówił równie dobrze oboma językami, wreszcie mówił po romańsku, a zrozumiał język frankoński. Oczywiście szło to zwolna, przez pokolenia. Mówienie biegle dwoma językami zdarzało się pospoliciéj niż dziś, a takie naśladowania pieśni nie były w dzisiejszém znaczeniu przekładami filologicznemi; poetów filologów, o jakich mówi Meyer, z pewnością nie było.

Rajna prostuje drugą opinią (Wilh. Grimma i Simrocka), jakoby epopeja miała charakter raczéj mityczny niż historyczny, który wszedł do niéj rzekomo późniéj dopiero; temu przeczą wszystkie świadectwa, począwszy od Tacyta. Więc w pierwszym wieku sławi Arminiusza, w 4-m Hermanryka, w 5-m Gunthera i braci jego — w Burgundyi, Klodwika we Frankonii; w 6-m obu Teodoryków, Klotaryusza, Alboina; w 7 i 8 Pipinów, Karola Młota, Karola W. — a na królach się nie ogranicza. Podobnie we Francyi od początku aż do XIII wieku, sama nazwa *Chansons de Geste* oznacza poeamata historyczne.

Kwestya rozpostarcia geograficznego epopei fran. zawiera jako punkt ważny pytanie, czy południowa Francya posiadała śpiewy rycerskie. Pominąwszy Fauriela, na czele partyi twierdzącéj stoi G. Paris, Gautier i Paul Mayer przeczą. opierając się na fakcie. że prócz *Giratz de Rossilho* nie posiadamy prowansalskiego bohaterskiego poematu. Badania te jednak dotyczą epopei nowszéj niż wiek X, istnienie w Prowancyi *merowińskego cyklu* zdaje się być — zdaniem Rajny—wykluczone. To prawda; ośmieliłbym się jednak zrobić uwagę, że po za merowińskim i karolińskim cyklem istniał dla Prowancyi bogaty zdrój poetyckich tematów: cykl *Okrągłego stołu*. Wielka

ich część zaginęła; Fauriel przypuszcza (1), że herezya Albigensów zdyskredytowała na południu poezyą ludową, więc stało się z nimi jak z wielu pogańskimi zabytkami; przetrwały jednak tytuły: *Jaufre e Brunnesentz*, *Blandin* etc., a piękne świadectwo składa Dante (Purg. XXVI) o *Arnoldzie Danielu*:

„Versi d'amore e *prose di romanzi*
Soverchiò tutti e lascia dir gli stolti,
Que quel di *Lemosì* credon ch'avanzi."

„*Prosas de roman*" zaś nazywały się zawsze w Prowancyi romanse bohaterskie. Przypuszczalnie jest *Lancelot du Lac* (równie z bretońskiego cyklu) dziełem Arnolda. Sądzę, że jeżeli Normandowie zanieść mogli podania o królu Artusie aż na Sycylią (2), musieli je całą garścią rozsiać w Prowancyi; tak, że je *trubadurowie* nie od *truverów* przejęli, ale od tych rycerzy morza i żelaza.

Jako najżyźniejszy dla epopei grunt wymienia Rajna Pikardyą, Artois, Flandryą, t. j. kraje Salickie, a przedewszystkiém Lotaryngią, która wydała cykl *Lohérains*, z Metzem, siedzibą wielkich rycerskich postaci. *Moguncya*, z której wyszedł *Doon de Mayence*, jest jednym dowodem więcéj téj nierozłączności francuskiéj i germańskiéj epopei; Moguncya bowiem, to miasto niemieckie.

Nakoniec, pochodzenie germańskie francuskiego eposu wykazuje się wspólnością nieskończonéj liczby motywów epickich. Rajna powtarza i uzupełnia szczegóły zebrane troskliwie przez Gautiera, oczywiście na podstawie istniejących poematów z cyklu karolińskiego, od *Ch. de Roland* począwszy. W nich to idea wojenna, pojęcie królewskości, feudalizmu, prawodawstwo, nawet pojęcie kobiety i Boga przedstawiają charakter germański.

I. Władza króla np. w *Chan. de Roland* jest ograniczona wolą ludu i grandów; nie on tam wydaje wyrok:

„Oït l'avez, sur vos le *jugent Franc*"

mówi do zdrajcy Ganelona (v. 282). Właśnie tak przedstawia Tacyt władzę władców germańskich: *auctoritate suadendi magis quam iubendi potestate* rządzą.

II. Analogia zgromadzeń ludowych obu szczepów, od Tacyta począwszy, jest widoczna nawet w drobnych rysach. Zbierają się sub quercu, sub tilia, *bey der tanne*; podobnie, a tém dziwniéj, że dzieje się to w Kordubie, zwołuje Zgromadzenie Karol W.

---

(1) Hist lit. de la Fr. T. XXV.

(2) Porów. Giornale Storico. Vol. V. (fasc. 1—2), 1885. A. Graf. Appunti per la storia del Cido brettone in Italia.

„Li Emperere s'en vait *desuz un pin;*
Les baruns mandet *pur son conseill* fenir." (v. 168).

III. Poselstwa, pojedynki, sądy — jak sąd Ganelona — odbywa się na germańską modłę; przysięgi noszą równie cechę pogańską jeszcze:

„Dist Blancadrins: *Par ceste meie destre*"—

co potwierdza *Lex Salica:* in eorum *dextera et arma* eorum *sacramenta* adfirmant. Ganelo składa swą wiarołomną przysięgę na relikwii miecza—motyw zmieszany już z pierwiastkiem chrześciańskim:

„Sur les reliques *de s'espee* Murglais." (v. 607).

IV. Braterstwo rycerskie, ofiarowanie gościowi broni i zawarcie *compagnie* jest zwyczajem germańskim, niemniéj ów wracający ciągle w epopei fr. motyw 12 paladynów; w Ch. de Roland etc. Rajna rozwija ten rozdział bardzo szeroko, objaśniając piękném porównaniem: Epopeja francuska składa tkaniny z tych nici, które są farbowane za Renem.

V. Typ rycerza-śpiewaka przedstawia Taillefer w romansie Wace'a: Romans de Rou (v. 8035) śpiewający w bitwie pod Hastings przed szeregami o klęsce Ronsewalskiéj:

De Karlemaigne et de Rollant,
E d'Oliver et des vassals
Ki morurent en Ronsevals.

Podobnie w Nibelungach Volkêr. Bohaterowie wiedzą, że ich sława będzie opiewana, dla tego boją się wszelkiéj skazy:

Or guart cascuns que granz colps i empleit:
Male cançun ja cantee n'en seit. (*Ch. de R.* v. 1013);

a w Heldenbuch I, 316:

Wer ys, das wyr ju bezwongen und worde er dan erslagen,
Von unsern untrūwen mūst' man umber singen unde sagen.

VI. Królowie francuscy od Klodoweusza dążą ciągle do absolutnéj władzy, ale epopeja nie uwzględnia tego naturalnego rozwoju królewskości, idąc w trop za germańską tradycyą. Dlatego to Karol W. w Ch. de Roland nie ma charakteru ani króla francuskiego, ani cesarza niemieckiego, ale jest archaicznym typem księcia germańskiego. Zawisłość od zdania ludu przebija się na każdém miejscu:

Seigneurs baruns dist l'emperere Karles.
Kar me jugiez ki iert en rere-guarde? (v. 740);

podobnie Sigfrid:

Sîvrid der vil starke vrâgen des began:
Wer sol des gesindes uns nu hüeten hie?

tam odpowiada Ganelo, tutaj Burgundowie.

VII. Podobnie pojedynki: Klotaryusza z Bertoldem, Karola W. z Almontem etc.

VIII. Owe chełpliwe bajki: *Vanti*, *gabbs*, któremi zabawia się Karol W. w Konstantynopolu, a których pochodzenie dotąd ciemne, znajdują się już między zwyczajami starożytnych Germanów.

IX. Kładzenie miecza w małżeńskiém łożu przy odprawianiu ślubów *przez prokuracyą* było rytuałem do XV w. Porównać wystarczy Sigfrida i Brunhildę, Buovo d'Antona, Amis et Anute etc.

X. Wspólną formułą są przemowy rycerzy przed bitwami; jest to widocznie formuła tylko, boć nie zawsze rycerze się rozumieją. Porów. Fierabras i Ulivieri (v. 368), Uggieri i Brahier (Ogier. 11154); Hildebrand i Hadubrand, Wolfditrich i Ortuit (von der Hagen. Heldenbuch. I, 211) etc etc.

XI. W epizodach poselskich zagrożeni gniewem króla rycerze bronią się na skale, dokazując cudów waleczności, póki im z pomocą wojsko nie przybędzie; tak w Jehan de Lanson, w Fierabras; tak w Vilkina Saga, etc.

XII. Epopeja weselna nosi cechy wspólne, co wykazało się wyżéj; równie XIII: motyw 12 parów. Cyfra ta waha się często między 11 a 12 z tego względu, że dwunastym jest często sam król czy bohater, np. Sigfrid:

Ich wil *selbe zwelfe* in Guntheres lant.

W epopei germańskiéj rys ten częściéj się powtarza niż we francuskiéj: Krymhildy *Rosengarten* strzeżony jest przez 12 rycerzy, przeciw którym walczy Ditrich z Bernu, równie z dwunastoma; na liczbę tę w epopei fr. wpłynęła raczéj analogia 12 apostołów.

XIV. Rajna zwraca szczególną uwagę na onomatologią Saracenów w ep. fr. Są niemi częściéj ludy słowiańskie, „Escler", zjawiające się jako synonimy Saracenów; że słowiańskie, wnioskujemy stąd, iż walczą przeciw nim Pipin i Karolingowie. Słowianie są częścią saskiego szczepu u Poety Saskiego:

. . . .regionem solis ad ortum
Inhabitant Osterlindi, quos nomine quidam
Ostvalos alio vocitant, confinia quorum
Infestant conjuncta suis, gens perfida „*Sclavi.*"

Escler czyli Esclaver zaś uważa autor za formę germańską, gdzie suffix *âri* służył do utworzenia *nominis agentis*, w *mittelhochdeutsch* zamieniony na *aere: Feschenaere*, *Burgundaere* etc.

XV. Innymi typami wspólnymi są: Matka żegnająca syna wygnańca, w *Floovent* i *Ruodlieb*; choć ten naturalny motyw mógł powstać i na swojskim gruncie; wybitniejszy już typ ochmistrza towa-

rzyszącego młodym panom, jako to: *Sebald* w *Beuve de Hanstone*, *Hagen* w *Nibelungach*, typ zdrajców, jak *Gano* w *Ch. de Roland*, *Sibich* w Legendzie hermanrykowéj, *Hagen* etc.; typy karłów i olbrzymów: *Alberich* w Nibelungach i *Auberon* w *Huon de Bordeaux*; *Asprian* i *Pusold* w *Rosengarten*; *Heime* i *Ditrich* w *Ditrichsaga*; a w poematach francuskich: *Fierabras* i *Otinel*, *Rainouard*, *Ogier*. (Wszystkie te imiona stoją z sobą w wielokrotnym związku i sądziłbym, że bardzo często identyfikują się, i tak przypuszczam, że Alberich i Hagen z Nibelungów jest identyczny z Auberonem i Huonem francuskim; że *Otinel* nie jest niczem innem, jak *Rainouardem z maczugą, au tinel*).

XVI. Terminy wojenne, nazwy sprzętów i broni są germańskie: *Durendart* i *Flauberg* są imionami na pół germańskiemi; w pierwszém suffix *hart*, twardy, w drugiém *bercht*, błyszczący. Koń *Baiard* podobny jest do rumaków na Walhalli.

XVII. Wspólnym tematem są walki z potworami, zwłaszcza porywającemi młodych bohaterów. Te potwory są często przedmiotem snów, a wróżą nieszczęście. Porów.: *Aiol*, v. 360: *Ch. de Roland*, v. 2525; *Ogier*, v. 1159 etc.; *Ruodlieb*, v. 89; *Waltharius*, v. 621; *Nibelungen*, str. 921 etc. — W epopei niemieckiéj częściéj śnią kobiety, we francuskiéj mężczyźni. Niezaprzeczenie prześwitają w epopei fr. motywa mitologiczne germańskie, np. owe karły i olbrzymy; ale czy obok osobistości mitycznych dopatrzéć gdzie można akcyi mitycznéj—wątpić należy. Gaston Paris dopatrzył jedynie w *Berte aus grands piés* niemieckiéj mitycznéj tradycyi; dodałbym, że noszą jéj ślady romanse cyklu bretońskiego datujące się wiekiem XIV, ale pochodzące z doby wiele starszéj. Przyczyną tego braku jest charakter francuski, od wieków realistyczny.

Wpływ epopei francuskiéj na niemiecką należy do epoki późniejszéj — *Wolframa von Eschenbach*; to przechodzi po za założenie książki; autor roztrząsa punkt ostatni; charakter i formę zrekonstruowanéj powyżéj epopei merowińskiéj.

Oddawna o ten szkopuł kruszą głowy uczeni francuscy i niemieccy. *Leon Gautier* utrzymywał w I-m wyd. Epopei, że *kantyleny* germańskie były bezpośredniém źródłem *Ch. de Geste*; że od VII w. mogły być śpiewane w języku romańskim, ale nie miały charakteru epickiego. *Paul Meyer* upiera się zawsze, że nawet najstarsze poematy powstały wprost z tradycyi. *Gaston Paris* przypuszcza z Gautierem istnienie kantylen przed *Ch. de Geste*, które dopiero ich miejsce zajęły. — Zapatrywania *Bartscha* są zmienne. Dobitnie i jasno sformułował dopiero w II wydaniu zmodyfikowaną swą teoryą Gautier: „Ch. de geste były poprzedzone śpiewami liryczno-epicznemi, t. j. kantylenami, które w jednéj części Francyi były niemieckie, ale

równocześnie, i to w części większéj francuskie. Autorowie najstarszych epopei czerpali bądź z nich, bądź z tradycyi ustnéj.“ Taką kantyleną była w VII w. *Vita St. Faronis;* w IX w. kantylena niemiecka o bitwie pod *Sancourt*, a prócz tego istniały od VIII w. kantyleny opiewające *Wilhelma de Gelone* i jego zwycięstwa nad Saracenami. Były to według Gautiera śpiewy ludowe, śpiewane chórem, niekiedy z towarzyszeniem tańca. Krótkość ich jest dla Gautiera dowodem, że niebyły to *Ch. de Geste*, jak chce Meyer. Śpiew z 962 r. na cześć Ottona przedstawia typ takiéj kantyleny:

> Age, age, iam Alberte ultra Decium superbe,
> Disce miser et miselle, quid fuisti aut quid es. (1)

Podobnie w *Chron. Polonorum* z początku XII w.:

> Boleslave, Boleslave, dux gloriosissime,
> Tu defendis terram tuam quam studiosissime etc. (2).

Wtrącę tu krótką uwagę. Prócz wyżéj przytoczonéj pieśni mamy w literaturze naszéj inne, między nimi na śmierć Bolesława Wielkiego:

> Omnis etas, omnis sexus, omnis ordo currite,
> Boleslavi regis funus condolentes cernite,
> Eheu, eheu Boleslaue, ubi tua gloria! etc.

Nie chcę upierać się, iżbyśmy mieli już wówczas narodową epopeję; w tych jednak *kantylenach*, że je tak nazwiemy, tkwią bez wątpienia poetyckie pierwiastki i nasuwa się mimowoli przekład: „Hej, hej, *Bolesławie*, gdzie twoja *sława*“, na ową prastarą nutę polskiéj pieśni. Czy jest możliwém zrekonstruować choć w przybliżeniu te pieśni? Bezwątpienia, w obec wysokiego stanu badań literatury i gramatyki staropolskiéj: Müllenhoff, Scherer, G. Paris mogą w téj sztuce być przewodnikami.

Z Meyerem przeciw Gautierowi łączy się Rajna. U łacińskich pisarzy średnich wieków *kantylenami* nazywały się wszystkie epickie poematy, wszystkie *Ch. de Geste*, więc tu odrębność się zaciera. Potém istnienie takich kantylen nie wyklucza istnienia równoczesnego poematów epickich, więc metamorfoza niepotrzebna. Rajna spostrzega błąd badaczy w tém, że sądzą epopeję organizmem skończonym, że rozróżniają poczęcie, embryo, narodzenie, dziecięctwo. Różnica polegająca na rozmiarach także niczego nie dowodzi. Tak przed Mahâbhâratą o 200,000 wierszach jest Mahâbhârata o 8000 tylko, tak obok *Otinela* o 2133 wierszach jest *Gaydon* o 10887 wier.; pierwsze zaczątki ich musiały być jeszcze krótsze. Oto jak Rajna przedstawia tworzenie się eposu: Powstaje on przez ekspansyą i agre-

---

(1) Pertz. S. S. VIII, 54. — (2) Tamże. IX, 470.

gacyą, t. j. przez rozszerzanie się i przyswajanie. W pierwszym wypadku przedmiot, który w poemacie zajmował początkowo kilkadziesiąt wierszy, rozciąga się potém na kilkaset i kilka tysięcy przez dodatki i upiększenia wewnętrzne. W drugim—około faktu głównego grupują się poboczne; bohaterowi dodaje się epokę młodości, stąd *Enfances*; dodaje się historyą przodków i potomków, przenosi się nań sławne dzieje innych osobistości; słowem rozszerzenie powstaje przez dodatki *zewnętrzne*. Najlepszym przykładem takiéj expansyi jest *Chanson de Roland*. Kodeks Oxfordzki liczy 4000 wierszy, kodeks najnowszy już 8000, a idąc w tył, moglibyśmy kształt pierwotny do szczuplejszych jeszcze sprowadzić rozmiarów.

Pozostaje nam zestawić bardzo zawikłane teorye poczęcia się rymu i rytmu we francuskiéj epopei.

Jednę teoryą postawił Leon Gautier (1), drugą G. Paris (2). Dadzą się one streścić w ten sposób. Według G. Paris'a głównym pierwiastkiem rytmicznego wierszowania jest *akcent*. Wiersz rytmiczny łaciński średnich wieków pochodzi z wierszowania rytmicznego ludowego Rzymian; z wiersza metrycznego nie zapożyczył nic. To samo z wierszem francuskim. Polega on na systemie rytmicznym i nie zawdzięcza nic metryce poetów rzymskich. Leon Gautier zmodyfikował swą dawną teoryą i zbliżył się ku Parisowi, przyznając, że akcent jest ważnym rytmicznym czynnikiem. Rezultaty polemicznego dyskursu szerokich rozmiarów w ostatniém wydaniu *Les épopées* (T. I, pag. 281 — 371) przedstawiają się w najkrótszéj formie w czterech zdaniach:

1. Elementami wiersza rytmicznego są: akcent, syllabizm, assonancya.

2. Wiersz rytmiczny łaciński w śred. w. nie pochodzi wprost od wiersza rytmicznego lub ludowego Rzymian, ale od ich wiersza metrycznego, który się zwolna zmodyfikował i przekształcił pod wpływem syllabizmu i akcentu.

3. Wiersz francuski nie pochodzi wprost od wiersza rytmicznego albo ludowego Rzymian, ale od pewnych moduł liturgicznych, które stały się na skróś ludowemi i zwolna zmodyfikowały się i przekształciły pod wpływem poezyi ludowéj.

4. W tém jedynie znaczeniu można mówić, że dwie formy wiersza epopei francuskiéj: dziesięciozgłoskowy i aleksandryjski dadzą się sprowadzić do formy daktylicznego trymetru i wiersza asklepiadejskiego.

---

(1) Léon Gautier: Histoire de la versification latine au moyen age. 1855.

(2) G. Paris: Lettre à M. L. Gautier sur la versification latine rythmique. 1866.

Dwie główne hypotezy Rajny brzmią: Wiersz 10-zgłoskowy jest formą czysto gallicką, przypuszczalnie francuską; rytm francuski jest pochodzenia celtyckiego. Rozwijamy je dokładniéj za autorem.

Nie ma epopei bez muzyki, bez rytmu. Wymagającą ona nie jest, bo jedna forma wystarcza jéj przez wieki, dowodem hexametr poezyi greckiéj. Szukając nowości już się wynaturza.

W epopei franc. znajdujemy 3 rodzaje wiersza: 8-, 10-, 12-zgłoskowy; układa się on w serye rymowane lub assononsowane.

1. Rytm następuje po assonancyi i wypiera ją, co sprawdzić się da w różnych redakcyach *Ch. de Roland.* Ciekawe zjawisko zaznacza się w hiszpańskiéj poezyi. Tam assonancya także zaczęła ustępować rymowi, ale wnet odzyskała przewagę i do dziś dnia się utrzymała. Prowansalska poezya prędko przyjęła rym, dowodem *Boecyusz.*

2. Jednolite stance w epopei fr. wykazać się nie dadzą, składa się ona z seryi nieregularnych. Analogią znajdujemy w najstarszéj epopei germańskiéj: *Beowulf*, *Hildebrand* pisane są wierszem stychicznym.

3. Melodya śpiewanych pieśni i *Lais* jest jaknajprostsza; powtarza się przez szereg seryi, a potém przechodzi w inną.

4. Wiersz 8-zgłoskowy za krótki, aby stać się epicznym, ginie; wiersz 10- i 12-zgłoskowy są równorzędne pod względem rozpowszechnienia; pierwotnie jednak przeważał 10-zgłoskowy i z poematów, które posiadamy w podwójnéj formie, jak *Ogier*, ten jest starszy, który ma formę wiersza 10-zgłoskową. Jedynym bardzo starym dwunastozgłoskowym wierszem jest wiersz poematu *Siege de Barbastre.* W wierszu 12-zgł. t. j. aleksandryjskim Rajna podejrzywa filiacyą z dwu 6-zgłoskowych. Wiersz 10-zgł. odnieść się da w prastare czasy i odpowiada ludowemu włoskiemu wierszowi 11-zgłoskowemu.

5. Rajna przeczy stanowczo, aby na wiersz 10- i 11-zgłoskowy wpłynęła metryka klasyczna. Rytm kościelny mógł wpływać na ludowy, ale by epopeja ludowa miała zeń brać formę—niepodobna.

6. Autor skłoniłby się przyjąć formę wiersza 10-zgłoskowego za *kontynuacyą* rzymskiéj poezyi ludowéj, gdyby pozostały w literaturze lub tradycyi jéj ślady. Ponieważ ich niema, streszcza swą teoryą w ten sposób: wiersz 10-zgłoskowy należy uważać za gallicki, a przypuszczalnie francuski.

7. Autor rozwija niezupełne twierdzenie *Dieza*, obrońcy pochodzenia czysto francuskiego. Hiszpania i Włochy skłaniają się ku wierszowi trochaicznemu; *langue d'oïl* i *langue d'oc* ku jambowi. Ale ten system akcentuacyi jest spadkiem po Gallach celtyckich i Gallach romańskich. *Nigra* (1) sądzi, że ludy celtyckie, przyjąwszy ję-

(1) Nigra: Poesia popolari etaliana.

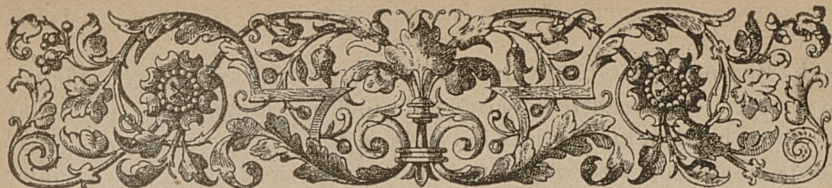
zyk Rzymu, przystosowały doń rytm swoich dawnych śpiewów. Rytm germański zastosować się do nich nie mógł, jako polegający na innych elementach; łatwiéj było z rytmem romańskim. Teorya ta da się przyjąć i ze względu na rym, który według *Zeussa* oddawna posiadali Celtowie.

8. Celtowie zaś posiadali jeszcze jednę formę, która przeszła do Francyi: formę *romancy*. Jéj strofy składają się zawsze z części rymowanéj lub asonansowanéj i z *ritornello*, czyli *refrenu*,— owa część zaś, rzecz godna uwagi, jest zawsze 10- lub 12-zgłoskowa. Rezultatem więc badań Rajny jest hipoteza, że forma epicka poezyi francuskiéj wzięta była z liryczno-opowiadającéj celtyckiéj *romancy* o wierszu 10- lub 12-zgłoskowym.

Montpellier, w grudniu 1885.

Edward Porębowicz.





Z POEZYI LEOPARDIEGO.

I.

SOBOTA NA WSI.

Z pól oddalonych wracają dziewczęta
Do wsi o słońca skłonie;
Niosą traw wiąskę, a w ręku bukiecik
Polnych róż i fiołków,
By w świeże, wonne kwiatki
Jutro w niedzielę, jak zwyczajnie w święto
Ubrać gorset i skronie.
Na progu siadła staruszka z kądzielą,
Wokoło siadły sąsiadki
Zwrócone wszystkie tam, gdzie dzień zapada.
Więc im o dawnych czasach opowiada:
Jak to stroiła się bożą niedzielą,
Potém żwawa jak łania
W on czas piękny i młody
Tańcem z młodzieżą wodzić korowody.
Już się mrokiem osłania
Dzień, niebo ciemny ma kolor lazuru,
A długi cień rzucają
Pod blask miesięczny dachy i pagórki,
Dzwony na hasło grają
Nadchodzącego święta;
Rzekłbyś, że gwoli wtóru
Każde się serce cieszy.
Tam w uliczce chłopięta
Krzykają w licznéj rzeszy,
Tańczą, śmieją się, skaczą;
Pełno gwaru, hałasu.
A ku domowi gwiżdżąc rybak zmierza,
Gdzie go skromna wieczerza
I folga czeka jutrzejszego wczasu.

A gdy już wszystko utonęło w ciszę
I spoczęła wieś niema,
Krajanie piły długo jeszcze słyszę
I młot cieśli, co czuwa
Przy mdłem światełku w zamkniętym warsztacie
I roboty dokuwa,
Nim świtem rannym zaszarzeje w chacie.

Z dni siedmiu jest to dzień najbardziej ważny,
Pełen uciech, otuchy.
Jutro znów smutek głuchy
Obejmie rządy i uczucie nudy;
I na codzienne myśl się zwróci trudy.

Chłopcze rozweselony!
Wiek twój, kwieciem majony
Jest jak dzień pełen radosnéj ochoty,
Wesoły, jasny, złoty,
Który poprzedza życia późne święto.
Raduj się dzisiaj, jest to czas wesela,
Jest to czas szczęsnéj doli.
Więcéj rzec nie chcę; lecz jeśli niedziela
Dni twych opóźnia się,—niech cię nie boli.

II.

DO SIEBIE.

Spocznij teraz na wieki
Strudzone serce. Zamknąłem powieki
Przed złudą, co trwać miała nieskończenie,
A szczęścia lubéj mary
Już nie nadzieja znikła, lecz pragnienie.
Spocznij teraz na zawsze,
Dosyć bolałoś. Za nic się nie liczą
Wzruszenia twoje, ani westchnień godna
Ziemia. Męką, goryczą
Jest życie, niczém nadto, a świat błotem.
Uspokój się i zrozpacz
Po raz ostatni. Jedna niezawodna
Twemu plemieniu—śmierć. Wzgardę ci sądzi
Brutalna moc, co z cienia
Tajnych praw na złe człowieczeństwa rządzi
I nieskończona nicość wszechstworzenia.



ALBUM GIERYMSKICH.

Album Maxa i Aleksandra Gierymskich. Tekst Antoniego Sygietyńskiego, z 28 rycinami. Warszawa. Nakładem Redakcyi Wędrowca, 1886 r.

Nad naszemi wydawnictwami artystycznemi ciężyła zawsze jakaś zła dola. Jedne, jak „*Zabytki Sztuki średniowiecznéj*“, prowadzone jak na one czasy niezmiernie starannie, upadały skutkiem zupełnego braku poparcia publiczności, inne, jak „*Album wilanowskie,*“ pomimo rzeczywistéj dobréj woli współpracowników, rozbijały się o wydawniczą lekkomyślność, niezdolną udźwignąć przedsięwzięcia wymagającego większych zasobów materyalnych,—inne wreszcie, z wyjątkiem może wybornego „Roku myśliwca“ i niezłéj „Staréj Baśni,“ niezdolne były zadowolnić surowszych wymagań. Tymczasem tygodniki ilustrowane, na które w pierwszym szeregu przypada zasługa popularyzowania sztuki, wystarczając w okresie niemowlęctwa swego niezbyt subtelnym potrzebom artystycznym współczesnego społeczeństwa, rozwijały się coraz pomyślniéj, wytwarzając jednocześnie zastęp miejscowy zdolnych drzeworytników. Podniósł się więc znacznie poziom artystyczny ilustracyi a nawet od czasu do czasu zaczęły się pojawiać rysunki cięte wybornie, świadczące o rzeczywistym talencie drzeworytników, z których paru ujawniwszy piękną technikę i pewną indywidualność, stanęło w swoim zawodzie, jak np. Holewiński, bardzo wysoko. Ruchowi artystyczno-reprodukcyjnemu, opartemu wyłącznie prawie na drzeworytach, zdawało się to rokować świetną przyszłość. Pisma jednak ilustrowane, stanąwszy na raz dościgniętéj wysokości, od pewnego czasu nie postąpiły naprzód, co objaśniano kilku przyczynami: że wskutek otworzenia się w drzeworytnictwie nowego pola zbytu pracy, rzuciło się do téj sztuki za wielu, skąd wypłynęła konkurencya na robotę średnią a tańszą (dobra nie potrzebowała się jéj lękać), ta zaś wprowadziła w świat sporo miernoty, obniżającéj zwykle każdy poziom,—że ani społeczeństwo

nasze nie jest takie bogate, ani potrzeby jego artystyczne tak liczne, iżby mogło dla każdego z pism ilustrowanych, różniących się zresztą od siebie niebardzo, dostarczyć tak znacznéj liczby prenumeratorów, ażeby wydawnictwo prowadzone z wielkim nakładem,—a w ten tylko sposób wyższą artystyczną wartość otrzymać można,—mogło się opłacić. Dowody te, z punktu szczególniéj wydawniczego ryzyka są zupełnie słuszne, trudno bowiem żądać od wydawcy, który nie jest z powołania artystą, ażeby wydawał rzeczy artystyczne, ale za to na nich tracił.

Są jednak ludzie którzy utrzymują, że przy obecnym stanie naszego drzeworytnictwa, za odpowiednią cenę, można mieć zawsze robotę bardzo dobrą, że następnie dając prenumeratorom doborowy materyał artystyczny, w stale określonym kierunku i co najważniejsza, ciągle, można sobie wyrabiać coraz większe koło zwolenników a tém samém, *forsując* jakiś czas, wywalczyć dla wydawnictwa możność istnienia bez straty, utrzymując je jednocześnie na stopie wykluczającéj podporządkowanie strony artystycznéj, stronie wydawniczéj.

Do tego jednak potrzeba warunków bardzo szczęśliwych, zapewniających zupełną swobodę działania i rezygnacyę na czasowy deficyt, przed którym cofnąć się niewolno. Szczęśliwym trafem wydawca „Wędrowca“ dostarczył tych warunków Stanisławowi Witkiewiczowi, w którego ręku spoczywa artystyczne kierownictwo tego pisma. Przytoczony powyżéj pogląd na wydawnictwo artystyczne Witkiewicz podziela i w tym duchu pismo prowadzi. Nie tutaj jednak miejsce do oceny téj jego działalności, jak również wglądanie czy zasada ta przynosi już na każdém polu pożądane owoce, zaznaczymy jednak, że trudności napotykane z saméj jéj natury, pomnożone zostały przez pewną wyłączność kierunku narzucanego w ten sposób za zasadę obowiązującą, jako téż i pracę nad popularyzowaniem idei, „niedosyć jeszcze rozpowszechnionych.“ Zaznaczam zaś to, jak i wogóle wszystko co dotąd powiedziałem, dla tego, aby wobec ogólnego ruchu wydawniczego ilustrowanego uwydatnić stanowisko „*Albumu*“, będącego, jak wiadomo, dodatkiem do „Wędrowca“, i wydanego w zupełnéj jednolitości z jego artystycznemi aspiracyami.

Stanowisko to jest wyjątkowe. „*Album braci Gierymskich*“ jest wydawnictwem *czysto artystyczném*, o celu jasno wytkniętym i starannie uwydatnianym. Celem tym było, ugrupowanie i stosowne oświetlenie prac obu braci, Maxa i Aleksandra, z zamiarem oddania im hołdu, a jednocześnie krytyczne objaśnienie znakomitéj działalności tych artystów jako téż podniesienie ich zasad artystycznych do

wysokości zasad ogólnie obowiązujących i w naszéj obecnéj sztuce, w przekonaniu autorów „*Albumu*“, jedynie dojrzałych i racyonalnych. Taki bowiem wniosek z ogólnéj zawartości tekstu wypływa. Pracy nad osiągnięciem powyższego celu podjęli się dwaj ludzie, znani już ze swéj działalności: nad wykonaniem rysunków czuwał Witkiewicz, znaczna téż część jego uwag przegląda z pod tekstu Antoniego Sygietyńskiego, czego autor wcale nie ukrywa. To zsolidaryzowanie się ich obudwóch, zaprawione poglądami krytycznemi Taine'a i Goncourt'ów, składa się na krytyczny amalgamat, w którym wyraziście odbijają się postaci naszych cennych malarzy: braci Maxa i Aleksandra.

Czuwanie Witkiewicza nad stroną rysunkową „Albumu“ przyniosło zbawienne skutki. Rysunki cięte wogóle dobrze, z zamiłowaniem, niektóre nawet wybornie, uwydatniają zasadnicze cechy dwóch tak różnych talentów: delikatne harmonijne półtony w obrazach Maxa, najdrobniejsze linie przypadkowe w fac-similach z jego notatek, kontrastową grę plam, świateł i cieni u Aleksandra. Nawet tak słabe strony jak rysunek chmur w dwóch wielkich rysunkach Aleksandra, uwydatniły się pod sumiennym rylcem drzeworytnika. Dodać należy do tego wyborne wycięcie obu portretów, bardzo dobrze przez Witkiewicza narysowanych, chociaż pod względem podobieństwa pozostawiających sporo do życzenia, dobre wycięcie widoków miejsca urodzenia i śmierci Maxa, druk niezwykle staranny (jakkolwiek we fragmentach z polowań zopfowych nieco zasilny i zajednostajny). O wyborze rysunków, oprócz żalu że nie więcéj umieszczono *całych* obrazów, wypada się wyrazić z zupełném uznaniem, z pod którego wyłączyć by można chyba ilustracye do „Mazepy“ Byrona. Max Gierymski tak niemiał nic wspólnego z Byronem, że dziwić się należało, co go do wykonania tych szkicowych zresztą ilustracyi skłoniło, i że tak silnie rozwinięty zmysł krytyczny przed tém go nie uchronił. W ilustracyach tych niema nic Byrona, jest *tylko* Gierymski, co w danym razie mogło by przemawiać na niekorzyść malarza, na jego jednostronność, gdyby taki zarzut do Maxa zastosować było można.

Strona więc rysunkowa przy dobrym wyborze pod dobrym dozorem, wykonana przez dobre siły, zrobiła swoje, i przynosi prawdziwy zaszczyt miejscowej sztuce drzeworytniczéj. Do prawdziwego jednak uwydatnienia stanowiska Gierymskich w malarstwie polskiém zabrał się w tekście p. Sygietyński, literat znany z poważnych studyów nad współczesną literaturą francuską a szczególniéj nad jéj odłamem naturalistycznym. Nie potrzeba dodawać że wziął się do tego szeroko i z prawdziwym pisarskim talentem, pozwalającym mu

błyszczéć zaletami stylu tam nawet, gdzie poglądy jego wpadały w sprzeczność z dowodami, które miały je spotęgować. Ta zdolność literacka przebija szczególnie w umiejętności szkicowania rysów głównych, czy to przez wybór odnośnych ustępów z korespondencyi Maxa lub jego dziennika, czy téż przez energiczne rzucenie jasnéj sylwety tego malarza na tło sztuki krajowéj i zagranicznéj, co prawda, zanadto sztucznie przybrudzone. Zdawało by się z tekstu albumu, iż „jeden jest Allah i dwaj jego Mahomeci: Max i Aleksander,“ po za ich artystycznym koranem wreszcie, można zaledwie pozwolić żyć z tąż samą wspaniałomyślnością, z jaką prawowierni wyznawcy proroka tolerują istnienie „niewiernych.“

Nakreślenie jasnéj sylwetki Maxa była rzeczą łatwą, szczególniéj ze względu na istniejącą i oddaną widocznie do zużytkowania krytykowi korespondencyę i dziennik, który Max zaczął prowadzić pod koniec zbyt krótkiego swego żywota. Zużytkowano je doskonale. Z tych ugrupowanych kilkunastu wyjątków bije taka szczerość, tyle uczucia, tyle rozumnéj myśli, że obraz moralny artysty odtworzony z tych pojedynczych zarysów występuje jasno, jednolicie a co ważniejsza niesłychanie sympatycznie i poważnie. Mimowolnie wzbudza to szacunek i upodobanie do téj szlachetnéj moralnéj atmosfery, w któréj niewiadomo co bardziéj cenić, czy dziwną krytyczną przenikliwość, czy łagodną melancholię temperamentu, czy powagę i odwagę sądu, lub téż ten tak wielki sceptycyzm bez poniewierania cudzych ideałów, bez cynizmu i zjadliwéj ironii. Subtelne, harmonijne a prawdziwe obrazy tego malarza tak dobrze pasują do jego moralnéj fizyognomii, że w połączeniu z niemi tworzą dziwnie jednolitą całość człowieka-artysty. A przytém, co za przedziwne zalety téj wzorowéj korespondencyi; prześliczny język z równém posłuszeństwem i szczerością tłómaczy subtelne stany duszy jak i poglądy etyczne lub krytyczne, pozostawiając wszędzie po sobie woń szlachetnéj, szczeréj poezyi.

Pamiętniki więc i korespondencya powiedziały dużo i pokazały charakter umysłu i uczucia Maxa i jego pogląd na własną sztukę. Pozostała do określenia bliższego ta jego sztuka i, jak o tém była mowa, tło ogólne. Pierwszą część zadania, polegającą na zcharakteryzowaniu poglądów malarza na naturę, — ku czemu dobrze usłużył kontrast pojęć z bratem Aleksandrem,—na ocenieniu punktu wyjścia dla sztuki, odrębności w pojmowaniu kompozycyi i techniki, Sygietyński pokonał zwycięsko, dzięki obznajmieniu szerokiemu ze współczesném malarstwem, studyowaném przezeń z zamiłowaniem, jakoteż znajomości pojęć pracowni malarskiéj, jéj specyalnych technicznych wymagań, a nadto, dzięki zapewne pomocy Witkiewicza, przedstawiającego w tym wypadku wiedzę fachową.

Z drugą częścią, z owém tłem, z owym obrazem ruchu artystycznego i działalności przedstawicieli głównych jego prądów w epoce kształtowania się i zdecydowania ostatecznego talentu Maxa Gierymskiego, dać sobie radę krytykowi było nieco trudniéj, nie pod względem wyrobienia literackiego, tego bowiem niejeden pisarz mógłby mu pozazdrościć,—nie wskutek braku wiadomości ogólnych i specyalnych, tych bowiem ujawnił znaczny zapas, czy to się tyczy erudycyi książkowéj (w kierunku co prawda jednostronnym), czy téż wiedzy nabytéj przez obcowanie z arcydziełami sztuki starożytnéj po licznych europejskich galeryach, i dłuższe przebywanie w wielkich ogniskach ruchu artystycznego współczesnego. Przeszkodą tu była pewna zaciekłość artystycznego temperamentu, lubującego się w kontrastach, w określeniach ekscentrycznych, we właściwych współczesnéj szkole krytycznéj francuskiéj, efektach dosadnego i zręcznego słowa, zdolnego nieraz w jednym zwrocie lub nawet wyrazie, okryć śmiesznością, napiętnować lub pogardliwie pominąć. Całym tym arsenałem Sygietyński rozporządza swobodnie, otrzymując przy jego pomocy barwność, męzkość, a czasami paradoksalność stylu. A obok tego posiada on temperament ludzi, którym w teatrze np. niedosyć jest za pomocą oklasków wyrazić uznanie dla dobrego aktora, muszą oni dla zupełnego zadowolenia wysykać jeszcze którego z jego kolegów. Jest-to system wydobywania na wierzch za pomocą *repoussoir*'ów (1), a całe tło współczesne, na którém rysuje się Max Gierymski, jest w przedstawieniu Sygietyńskiego jednym takim wielkim repoussoir'em.

Rzeczywiście trudno sobie wyobrazić, dla czego autor tekstu, starający się na każdym kroku uwydatnić, że wielki w saméj rzeczy talent Maxa nie został dotąd dostatecznie przez ziomków oceniony, jednocześnie niedocenia wszystkich po za nim pozostałych artystów, w ten bowiem sposób sprawozdanie jego mogło by już dowieść samo przez się, że niedocenienie wogóle jest rzeczą zwykłą. Że Max G. nie był i nie jest dostatecznie oceniony, jest to smutne, ale czyż można robić z tego poważne zarzuty publiczności, która kilka jego prac i to nie najlepszych mogła zaledwie zobaczyć, i nie znała całego tła miejscowego, na którém się talent jego rozwijał. Max rozwijał się wśród społeczeństwa bardziéj ze sztuką zbliżonego niż nasze, mogą-

(1) Przed niedawnym jeszcze czasem malarze francuzcy bardziéj znani i wpływowi, w których ręku było urządzenie paryskiego „Salonu", wystawiając tam własne obrazy otaczali je dokoła takiemi tylko obrazami, przy których ich własne lepiéj wydawać się musiały. Taki dobór obrazów nazywano repoussoir'ami, i słusznie powstawano na ten porządek rzeczy, któremu téż nowsze rozporządzenia położyły koniec.

cego łatwiéj rozróżnić te subtelności, które artystę postawiły tak wysoko; nasza publiczność, u któréj pojęcie o malarstwie rodzajowém na miejscowych wzorach dopiero się zaczęło wyrabiać, nie mogła się zdobyć na tyle znawstwa i dostatecznie artysty ocenić. Różnice te krytyk sztuki, wprowadzający do badań swoich metodę historyczną, powinien zaznaczyć i uzasadnić — rzucać za nie kamieniem nie ma prawa.

Postawiwszy za zasadę, iż obraz jest to odtworzenie cząstki natury dostrzeżonéj w granicach jednego rzutu oka i granicach temperamentu malarza, co jest wogóle zdobyczą lat niedawnych, a w szczególności prostem przeniesieniem do sfery malarstwa poglądów teoretycznych powieściopisarstwa naturalistycznego francuskiego,—Sygietyński kryteryum to rozciąga wstecz w swoim poglądzie na poprzedzający Maxa G. stan naszéj sztuki. Jest-to, jak widzimy, krytyczny anachronizm, który zmusza krytyka do ustępstw na korzyść dwóch genialnych naszych mistrzów Matejki i Grottgera, ustępstw najzupełniéj słusznych, lecz rozsadzających sobą teoryę główną i stających co chwila w sprzeczności z ciągłymi przekąsami ogólnikowemi do owego „skoncentrowania akcyi", „urządzenia sceny" i t. p., które autor podciąga pod ogólne kompozycyjne niedołęstwo i rutynę, a które w rzeczy saméj były i będą koniecznemi czynnikami sztuki opartéj nie na chwytaniu cech przemijających i przypadkowych, lecz na dążeniu do uwydatnlenia cech głębszych, stalszych i wogóle do osiągnięcia zupełnie innych ideałów. W sztuce odrodzenia włoskiego były to nie warunki spowodowane przez niedołęstwo lub rutynę, lecz warunki nieuniknione, ściśle związane z ogólnym potężnym prądem odnalezienia obok innych rzeczy, ideału ciała ludzkiego naprzykład; cały więc systemat, kryjący się w każdym wielkim ruchu artystycznym, oparty był właśnie na oddzielaniu i wyłączaniu téj przypadkowości, w całéj sferze twórczości, a co zatém idzie i kompozycyjnéj i wykonawczéj techniki. Tém się też tłómaczy w malarstwie włoskiém w jego najświetniejszym rozkwicie brak owych chwilowych motywów oświetlania, które dzisiejszym malarzom rodzajowym dostarczają tyle niespożytego materyału, np. pełnego oświetlenia słonecznego, a zastąpienie go przez strumień zwykłego łagodnego światła powietrznego,—gdyż wprowadzenie tego motywu, mającego wobec ogólnego stanu światła cechy przemijające, a nadto uwydatniającego z cudowną dokładnością najdrobniejsze szczegóły,- stało by w sprzeczności z zasadniczemi sztuki téj dążeniami. Są to więc zupełne konsekwencye, nie zaś niedołęztwo, nie rutyna, témbardziéj, że ogólne uświadomienie tych zasad odbywało się dopiero po wykonaniu arcydzieł, które świetnie je potwierdzały, uświęcając *w swoim jedynie kierunku* za zasadę obowiązującą.

„Jestto artysta szczery — mówi p. Sygietyński o Grottgerze — który się wypowiada do głębi. Jestto gieniusz, który razem z Zygmuntem Krasińskim mógł mówić: „Nad wiekami płyniem, i patrzym, i płaczem“—ponieważ wzniósłszy się po nad chwilę, i wyraził ją samą siłą swego uczucia.“ „Nie będąc realistą w przedstawianiu rzeczy, wywoływał wrażenie prawdy.“ Albo daléj: „To co Grottger zostawił jest tylko wyrazem tragicznym ducha, uogólnieniem wrażenia mas, widzeniem oka wyobraźni zbolałéj i bolejącéj za miliony.“ Wszystko to jest nadzwyczaj trafne, ale niema nic wspólnego z owém określeniem obrazu, służącém po za tém za ogólne kryteryum, a które w żaden sposób do Grottgera zastosowane być nie może. Widać więc ztąd, iż może w malarstwie istnieć coś genialnego, co nie jest tylko „rzutem oka na cząstkę natury, zabarwionym przez temperament artysty“,— że za pomocą różnych środków artystycznych, pomiędzy któremi i „urządzenie“ obrazu i „skoncentrowanie akcyi“ i wiele innych czynników, traktowanych przez p. S. z taką pogardą, gra wybitną rolę—można „krwią swoją malować dramat ludzkości.“ A jeżeli tak jest, to należy być szczerym i tych ustępstw od swojéj teoryi, wydartych potęgą rzeczywistych artystycznych wrażeń, nie osłabiać ciągłemi wycieczkami o sztuczności i udawaniu, skierowanemi do wszystkiego, co nie jest sztuką naturalistyczną rodzajową, nie obniżać wartości tych wyznań zarzutami tego rodzaju: „jako sztuka, jako fach, umiał tylko tyle, ile mu potrzeba było, aby nie pokazać się ogólnikowo czułostkowym i t. d.“, Grottger bowiem umiał tyle, iż mógł swoje pomysły wyrażać *znakomicie* i z tą głębokością i siłą, że jak to p. S. sam przyznaje, jego „Wojna“ należy do tych nielicznych arcydzieł, które wielkością swego ducha imponują, a kierunkom, do jakiego należą, przecinają drogę.“ Umiał więc Grottger najzupełniéj dosyć—co więcéj—niesłychanie dużo.

Toż samo z Matejką. Artysta to znakomity, potężny indywidualnością i olbrzymią twórczą energią, dla któréj porównań szukać by można chyba w wieku włoskiego odrodzenia, wieku pokrewnéj krakowskiemu mistrzowi wielkiéj artystycznéj syntezy. Ale punkt wyjścia dla sztuki historycznéj, odziedziczony przez Matejkę po Delaroche'u, stawia go w sprzeciwieństwie z artystycznemi teoryami Sygietyńskiego, w których właśnie wysoko podniesioną jest zasada obiektywna, o ile na to pozwala temperament artysty. Każdy, komu tylko ruch artystyczny współczesny nie jest obcym, wié doskonale, iż poglądy na malarstwo historyczne na zachodzie ulegały po Delaroche'u przeobrażeniom, że Gerôme i Alma Tadema szczególniéj wprowadzili doń żywioł bytowy, codzienny, bardziéj obiektywny, bardziéj epizodyczny. Wytworzyły się ztąd odcienie zgodniejsze

z ruchem chwili, ale zasada główna nie została bynajmniéj naruszoną i w Matejce znalazła swój genialny i wcale jeszcze nie anachroniczny wyraz. Każda bowiem zasada dobra, zdrowa, może nie być chwilowo typową, lecz zawsze uzasadnioną, gdy ktoś z odpowiednim talentem podjąć ją zechce. Wszak portrety Rembrandt'a i Velasquez'a i dzisiaj byłyby równie jak niegdyś znakomite, są bowiem wynikiem zasady zdrowéj i z ruchem artystycznym naszéj epoki spokrewnionéj. Sygietyński przyznaje Matejce, że „wszystko co stworzył Mistrz, żyć będzie jego indywidualnością całe wieki, ponieważ indywidualność nigdy nie ginie", ale téż po za tém, wszędzie gdzie tylko mowa o kierunku, którego jest przedstawicielem, nie szczędzi przytyków i aluzyi.

„Bracia Gierymscy.... szybko załatwili się z ideałem *wielkiego malarstwa*. Udawanie, przedrzeźnianie, naśladowanie cudzych form nie leżało w ich temperamencie." Albo: „Żadnego udawania! wyrażać uczucia, którego się nie ma, przedstawiać życie, *którego się nie widziało*, malować dramat, *w którym się nie cierpiało*, *ani jako aktor*, *ani jako świadek naoczny*, to redukować malarstwo religijne do kanonów, a *historyczne do bezdusznego teatru manekinów w kostiumach lub bez kostiumów*, to usuwać uczucia na drugi plan, lub może nawet wyłączać je zupełnie. Bracia Gierymscy przedewszystkiem nic nie udawali." A teraz maleńka uwaga: „Pojedynek Tarły z Poniatowskim", Maxa, jego „Mazepa", są to dramata, „w których się nie cierpiało, ani jako aktor, ani jako świadek", — a „polowania zopfowe" Maxa, „Kupiec wenecki" i „Siesta" Aleksandra, jest-to „życie, którego się nie widziało", a obok tego nie może to wszystko razem być zaliczone do tego życia „swego czasu", w co w innném miejscu Sygietyński tak silnie bije.

Pozwala on jednak istniéć malarstwu historycznemu, ale pod trzema warunkami:

„1) aby ci, którzy malują Cezarów, Cromwellów, Neronów, Kolumbów lub Hussów, nie pokazywali nam licho portretowanych modeli bez wyrazu i nie wmawiali w siebie i w drugich, że te włóczęgi wszystkich akademii i wszystkich pracowni są osobistościami historycznemi na tle historyczném;

„2) aby środki techniczne nie były sztukami lub sztuczkami zapożyczonemi u kogoś trzeciego;

„3) aby uczucie, jakie obraz wyraża, było ich własném uczuciem."

Czytając te warunki uśmiechamy się mimowolnie. Ależ to warunki ogólnie obowiązujące dla każdego obrazu, dla wszystkich „oso-

bistości“ i każdego „tła“. Jeżeli by należało oddziaływać przeciwko zbytniemu rozwielmożnieniu się malarstwa historycznego (czego zresztą po za Krakowem nie widać), to prędzéj z téj prostéj przyczyny, iż pewien prąd. który znalazł już przedstawicielstwo genialne i obfite, przestaje być dla innych gruntem tak żyznym do uprawy jak inne, mało lub wcale nie dotykane.

Toż samo obniżenie tonu, które odnośnie do Matejki i Grottgera polegało nie na przeczeniu ich genialności, lecz na poświęceniu zbyt małéj uwagi odnośnie do całego malowidła tła współczesnego, ma miejsce przy ocenianiu działalności trzech osobistości w naszéj sztuce wybitnych: Kossaka, Kostrzewskiego i Gersona, a polega na niedocenieniu. Sygietyński akcentując zbyt wydatnie cechy ujemne (co jest u niego chroniczném odnośnie do osób stojących po za postacią główną, cokolwiek apoteozowaną), nie uwydatnił z należytą siłą, iż ruch, którego ci trzéj artyści w różnych zakresach są przedstawicielami, był to (obok Piwarskiego) *pierwszy silny*, *szczery i świadomy* wyraz zwrotu do swojskości, pierwszy prąd w sztuce *rzeczywiście narodowy*, którego doniosłość była niezmierna, podstawowa, a dobre następstwa nieobliczone. Jest-to więc z historycznego na sztukę poglądu ruch najważniejszy, bo zapładniający, a to, obok uznania, winno dlań wzbudzić wysokie poszanowanie.

W ocenie talentu Aleksandra Gierymskiego Sygietyński rozwinął też same, co w charakterystyce Maxa, przymioty literackie, zdolność akcentowania rysów głównych i barwnego przedstawienia różnych stron talentu, i jeżeli postać Aleksandra nie wychodzi tak plastycznie jak zmarłego jego brata, to wynika to z téj szczęśliwéj dla sztuki okoliczności. iż żyje on i znajduje się w pięknéem stadyum rozwoju niepospolitego swego talentu. Nie mógł więc pisarz skorzystać z materyału biograficznego i autobiograficznego, który w sylwetce Maxa tak wybitną i wdzięczną zajął rolę.

Trudno się jednak zgodzić na określenie, że Aleksander posiada talent zupełnie „równy Maxowi“, a tylko „inny temperament.“ Al. Gierymski jest bez zaprzeczenia artystą bardzo dobrym, utalentowanym i do gruntu poważnym, w poczuciu malowniczości i światła silniejszym od Maxa, ale posiada za to i wielkie niedobory. Talent jego nosi na sobie znamię eklektyzmu, widoczne ślady staréj sztuki holenderskiéj i weneckiéj, często nie dosyć przetopione w ogniu samoistnego dociekania, chociaż zdaje się, że wzrosłe już w artystyczny organizm malarza. A przytém chroma u niego strona ruchu, czy to gwałtowniejszego, czy nawet spokojniejszego, o ile nie przechodzi on w zupełny prawie spokój. „Scena wyraża namiętność dwóch partnerów“ — powiada krytyk o „Grze w Mora“ — obrazie

o „nadzwyczajnéj energii w ruchach i wyrazach.“ Zdanie to podzielać trudno, przeciwnie, zarówno przed temi dwoma postaciami, których ruchom brak swobody, jak i przed innemi np. dwoma parami ludzi witających się ukłonem na wielkim rysunku z „Łazienek,“ a przedstawianych w ruchu z kamienną martwotą, przed wielu innymi motywami ruchu w obrazach Al. G. żałujemy, że artysta odtwarza motywy, których widocznie dostatecznie nie czuje. Po co więc udawać? jakby powiedział Sygietyński. Rysunek téż w obrazach Aleksandra G. jakkolwiek zawsze poważny, nie przedstawia odnośnie do wysokiego stopnia plastyki i malowniczości odpowiedniego równoważnika: jest on raczéj rezultatem wiedzy, rozumu, popartych „zaciekłością temperamentu,“ (co jest dla artysty nieocenionym przymiotem) niż wrodzonéj rysunkowéj zdolności.

Niedosyć silnemi téż wydają się argumenta w obronie pewnego wymęczenia w technice, które pochodzi z niezmiernie cennych usiłowań, jest jednak dla oka nieprzyjemném i pociąga za sobą ważne następstwa. Przedewszystkiém z powodu licznych nakładań, wyskrobywań, przemalowań i laserunków, osięgających w rezultacie niepospolitą plastykę, obraz potrzebuje wyłącznie tego światła przy którém był malowany. „Osteria“, która na wystawie Warszawskiéj tak zajmowała prawdą przedstawienia rzeczy, wystawiona w Petersburgu, w sali o zbyt silném i rozproszoném świetle, nie była do siebie podobną i nie wywoływała żadnego wrażenia, tak dalece więcéj widać było szczegółów roboty niż jéj rezultatu. Toż samo „Święto trąbek“, które tak „grało“ na wystawie u Krywulta, straciło połowę swéj siły w Monachijskim Kunstverein'ie. Co więcéj, wystawiony tamże cokolwiek dawniejszy obraz „z nad brzegów Wisły“ i „Owocarka“ —raziły spustoszeniem, jakie chemiczne oddziaływanie na siebie niezliczonych warstw farby ujawniło na tych obrazach.

Ustęp o zabłękitnieniu w obrazach Aleksandra, uważamy za zwrot jedynie stylowy, za jaki téż poczytywać należy opinię, iż obrazy Gierymskich są właściwie obrazami historycznemi, przedstawia bowiem dla przyszłości dokładnie naszą epokę z całym jéj wyrazem w ludziach i otoczeniu. Jest-to tylko przestawienie i podstawienie pojęć, oparte na czysto dźwiękowéj podobiznie wyrazów. Sztuka Gierymskich będzie historyą samą, dokumentem historycznym, nie zaś historyczném dziełem sztuki. Pogląd, o którym mowa zapożyczony został z odnośnego ustępu Taine'a, w całokształtcie jednak poglądów znakomitego pisarza łatwo mu wyznaczyć odpowiednie znaczenie. Powracając na chwilę jeszcze do poglądów Sygietyńskiego, musimy zanotować, iż namiętny krytyczny jego temperament płata czasem niespodziane figle w postaci pewnych niekonsekwencyi. Oto przykład.

„Obraz ten“—mówi Max G. w przytoczonym wyjątku z jego „Dziennika“ o kartonie Kaulbacha „Homer i Grecy“, „zawsze na mnie robi wrażenie powagą swoją, leżącą może w saméj jego treści. Czuć tam jasność myśli, szerokość umysłu, i miejscami, powiedziałbym nawet, prawdziwe natchnienie. Człowiek, który stworzył tego rodzaju obraz, jest godzien szacunku zawsze i wszędzie.“

Pomijając już uderzającą z tego ustępu niesolidarność Maxa G. z Sygietyńskim, w pojmowaniu „*wielkiéj sztuki*,“ jakimże dysonansem brzmią te słowa z wyrażeniem krytyka: „Kaulbach kolorował jeszcze swoje filozoficzne rebusy,“ wyrażeniem pełném owéj lekceważącéj pogardy, z którą przechodzi się nad artystą do porządku dziennego. Nie podobna również dobrze pogodzić ze sobą wyrażeń takich jak: „nie było czasów bardziéj sprzyjających rozwojowi indywidualności niż dzisiejsze“—z tém, co się mówi o parę stronic daléj: „Dziś, pod wpływem wystaw międzynarodowych, które na zachowanie w czystości bezwzględnéj jakichś cech odrębnych nie pozwalają wogóle itd.“

Pomimo całego szeregu uwag powyższych, wyznać jednak musimy, iż Album jako całość, jest dziełem niezwykle interesującém, wykonaném pod każdym względem z zamiłowaniem, dobrą wolą i talentem. Zmusza ono czytelnika do zastanowienia się nad wielu rzeczami i jest, jak to już wyżéj powiedziano, wydawnictwem *wyłącznie* artystyczném. I było by doskonale, gdyby wyłączność ta była jedyną—niestety jednak tak nie jest, i główną ujemną, chociaż nie mimowolną jego cechą jest właśnie ta *wyłączność* poglądów artystycznych. Pojęcia o malarstwie rodzajowém są tutaj dobre, zdrowe i uzasadnione, całym błędem jest tylko wysuwanie ich na stanowisko zasad *jedynych i powszechnie obowiązujących*. Do uwydatnienia tego stanowiska przyczynia się usposobienie literackie Sygietyńskiego, usposobienie mocno krańcowe.

„Ludzie krańcowi z usposobienia gaszą pragnienie albo czystą wodą, albo czystym spirytusem; ogół tymczasem, który umie i może iść tylko środkiem, będzie pił zawsze coś pośredniego—wódkę“, mówi Sygietyński, i podaje temu ogółowi—spirytus. Wolelibyśmy czystą wodę.

Ołówek.





ODCZYTY JERZEGO BRANDESA

O ROMANTYZMIE POLSKIM.

Znany z bystrości poglądów i umiejętnego uogólniania faktów literackich i społecznych krytyk duński, autor rozgłośnéj pracy „Główne prądy literatury europejskiéj w wieku XIX“ (*), bawiąc po raz drugi w Warszawie, wygłosił w końcu marca r. b. trzy odczyty, które nosiły wprawdzie tytuł „O poezyi polskiéj w XIX stuleciu“, były jednakże wyłącznie poświęcone tylko romantyzmowi polskiemu. Zdanie takiego krytyka jak Brandes musi być dla nas rzeczą nader zajmującą, choćby nie było trafném; a jeżeli jest takiém, staje się nie tylko ciekawym, ale i ważnym nabytkiem dla rozwoju świadomości naszéj o własnéj literaturze.

Brandes zna i określa bardzo dobrze swoje położenie jako badacza, który nie rozumie języka poezyi, będącéj przedmiotem jego zastanowienia. Wie on, że zaznajomić się mógł z cząstką tylko tego zasobu twórczości, jaką naród polski wydał, z cząstką zapewno najważniejszą, ale bądź-co-bądź nie mogącą w żaden sposób zastąpić całości. Powtóre wie, że zaznajomienie się z arcydziełami języka, stylu i wiersza za pośrednictwem tłómaczeń nie może być dokładném, boć „trudno z mizernych litografii, nie dających żadnego pojęcia o kolorycie, wydawać sąd o obrazach wielkich mistrzów, lub téż z mechanicznych odlewów gipsowych tworzyć sobie pojęcie o marmurowych posągach ciosanych dłutem samego mistrza.“

(*) Dotychczas tomów pięć Wszystkie są już tłómaczone na język polski; pierwsze cztery nakładem redakcyi „Prawdy“, piąty zaś nakładem „Spółki wydawniczéj warszawskiéj.“

Wskutek takiego przeświadczenia o ułomności wiedzy swéj o literaturze polskiéj Brandes swoje zadanie mówienia o niéj w skromnych zawarł granicach. Chciał on dać poznać publiczności naszéj, „jak się odbija literatura polska z pierwszéj połowy tego wieku, w umyśle czytelnika europejskiego, znającego ją tylko z tłómaczeń, jakie wrażenie wywiera na *życzliwym cudzoziemcu* nasze życie umysłowe, które mu odsłoniły tłómaczenia, jak się odsłania cyboryum, uchylając rąbek przykrywającéj go zasłony.“

Do powodów tego zupełnie usprawiedliwionego zacieśnienia zadania odczytów możnaby jeszcze dodać rodzaj umysłu cudzoziemca życzliwego, który wrażenia owe przyjmuje: Brandes naturalnie tego nie wypowiedział, uważając niewątpliwie rzecz tę za dobrze znaną. Ale my na nią musimy położyć nacisk, gdyż ona bardziéj niż trudność zrozumienia arcydzieł z nieudolnych kopii oddziałała na charakter odczytów.

Brandes jest postępowcem radykalnym, lubi nadzwyczaj szerokie uogólnienia i kocha się w obrazowém wypowiadaniu swych myśli. Te trzy cechy jego umysłu wpłynęły stanowczo na sposób pojęcia i przedstawienia poezyi naszéj romantycznéj, tak jak wpływały na zrozumienie i odtworzenie ruchów romantyzmu europejskiego wogóle.

Będąc postępowcem radykalnym, patrzy on na romantyzm zgóry, jako na kierunek myśli przebrzmiały, nie posiadający już żywotności, jako na zabytek dążeń, na które dzisiaj spoglądać należy z pobłażaniem wprawdzie, ale z pobłażaniem wynikającém z poczucia zdobytego już nad nim zwycięstwa. W tak sformułowanym sądzie o romantyzmie wytknąć potrzeba dwie usterki, które go czynią jednostronnym a więc niesprawiedliwym. Pierwszą usterką jest brak wyraźnego i stanowczego uznania, że romantyzm jako wyraz myśli i uczuć danego okresu czasu był koniecznością historyczną, był niezbędném w rozwoju cywilizacyi ogniwem. Gdyby Brandes podzielał takie zapatrywanie, nie stawiałby przypuszczeń, nie mogących mieć żadnéj wagi w sądzie o przeszłości i dających się jedynie pojąć jako wskazówka na przyszłość; nie mówiłby, że gdyby Polacy więcéj przejęli się czcią dla Waszyngtona niż dla Napoleona, dla Schelleya niż dla Byrona; toby ich twórczość była o wiele żywotniejszą. Drugą usterką jest ryczałtowe potępienie całego romantyzmu, chociaż z tego, co szczegółowo tu i owdzie wypowiedział w ciągu odczytów, widać, że właściwie dwie tylko cechy romantyzmu miał głównie na względzie: tak zwany przez siebie spirytyzm, t. j. wprowadzenie do dzieł poezyi duchów, upiorów, czarów i t. p., oraz przesadne przeciwstawienie uczucia rozumowi. Zgadzając się w zupełności na po-

tępienie pierwszéj z tych dwu cech romantyzmu, musimy zauważyć, że oprócz przesady w przeciwstawieniu uczucia rozumowi, romantyzm podniósł nastrój uczucia wogóle, zarówno jednostkowego jak narodowego, a powtóre że barwność słowa, tak wielką odgrywająca rolę w literaturze nowożytnéj, wchodziła także do programu romantyków, którzy dla wyobraźni umieli wywalczyć równorzędne z uczuciem miejsce. Jeżeli i pod tym względem dopuszczali się wybujałości i przesady, to w każdym razie, tak samo zresztą jak i co do uczucia, położyli w téj dziedzinie równie wielkie zasługi, jak zwolennicy „wieku oświecenia“ w dziedzinie rozumu i krytyki. Sam Brandes, zostając trochę w niezgodzie z wywodami o przecenianiu uczucia przez romantyków, wyznał przy końcu odczytów, że jest jeden żywioł romantyzmu nieśmiertelny, mogący przeżyć wszystkie formy i wszystkie szkoły w sztuce—to żywioł „zdrowéj *egzaltacyi*, którą się odznacza każde uczucie ludzkie, wyniesione ponad zwykły, ogólny poziom.“ Określając tę „zdrową egzaltacyą“ bliżéj, prelegent mówił: „Zachwyt, jakim nas przejmuje natura, morze, niebo, lasy, kwiaty i gwiazdy, może po wszystkie czasy przybierać tę formę entuzyazmu, również jak przyjaźń, miłość, uczucie solidarności, łączące nas z naszymi współobywatelami, z naszymi ziomkami i z ludzkością.“ Dodał nadto, że w niewielu literaturach „ten nieśmiertelny entuzyazm romantyczny objawił się w tak wzniosłéj i pięknéj formie, jak w literaturze polskiéj.“ Gdyby ta myśl towarzyszyła wywodom poprzednim, mielibyśmy wszechstronniejszy obraz wpływu romantycznego na społeczeństwa; okazałaby się bowiem rzecz sprawdzona wielokrotnie, że żaden prąd cywilizacyjny nie ginie w warstwach bezpłodnych piasków, ale zasila olbrzymi ocean oświaty i postępu, czyli innemi słowy, że z każdego wielkiego ruchu umysłowego pozostają pewne pierwiastki, których obecność w ruchu następnym wykazać się daje bardzo wyraźnie.

Z tą trochę jednostronną oceną romantyzmu łączy się u Brandesa najściśléj potępienie historycznego żywiołu w poezyi. O ile mi wiadomo, po raz pierwszy sprawę tę w sposób poważny i naukowy zagaił H. Taine w swojéj „Historyi literatury angielskiéj“ r. 1863. Odtąd wśród estetyków radykalnych weszło w modę wojowanie z romansem historycznym, któremu odmówiono wszelkiego uprawnienia. U nas znano tę teoryą ze streszczenia i przekładu niektórych części dzieła Taine'a, ale po raz pierwszy głośno i publicznie poruszona została przez Brandesa—i spotkał ją prawie jednomyślny protest. Przyjrzyjmy się dowodzeniu krytyka duńskiego. Przedewszystkiém zestawia on twórczość poetów, obrabiających temata dziejowe, z romantyczném wprowadzeniem duchów do poezyi. „Wywoływa-

nie starożytnych postaci—powiada on—jest tylko trochę mniéj oderwanym rodzajem spirytyzmu, bo i one zwykle bywają podzielone na złe i dobre *duchy*; rzadko bardzo i tylko pod ręką największych mistrzów stają się *ludźmi*... Wszystko to, co w poezyi zamienia charaktery na świetlane zjawiska albo na synów ciemności, pozbawia ich prawdy i zmniejsza ich wartość artystyczną. Żywioł historyczny zaś czyni to wszędzie, gdzie nie służy wyłącznie za pretekst albo zasłonę.“ Argument ten nie jest przekonywającym, mieści bowiem w sobie zarzut zarówno dobrze zastosować się dający do historycznych jak do spółczesnych tematów, jeżeli autorowie będą starali się tworzyć *uosobienia* cnoty lub występku, nie zaś rzeczywiste *osoby*. Ale Brandes ma argument drugi. Opierając się na niezaprzeczonym fakcie, że poeta „opisywać może tylko to, co zna, co czuje w sobie i naokoło siebie“, utrzymuje, że z jakiejkolwiek epoki weźmie przedmiot do opracowania, w epoce téj musi się odbić obraz spółczesnéj poecie chwili, albo téż najbliższéj przeszłości. „Rzecz może się dziać w Abisynii—powiada—i w IV wieku przed Chrystusem; jeżeli poetą będzie Polak, żyjący między rokiem 1820 i 1830, to pod postacią starych Abisyńczyków przedstawi z pewnością współczesnych sobie Polaków.“ Dowodzenie takie dociągnięte do ostatnich wyników znaczyłoby, że poeta każdy daje publiczności przekształcenia jedynie własnéj swéj jaźni, że mężczyzna przedstawiając postać kobiecą tworzy właściwie mężczyznę, a kobieta malując osobistość męską tworzy tylko niewiastę itd. W rzeczywistości wiemy, że tak nie jest i dlatego wyróżniamy twórców subiektywnych, którzy siebie tylko i swe stany odtwarzają, i twórców obiektywnych, którzy na mocy spółczucia psychicznego mogą i umieją zapomnieć o sobie i odtwarzać stan innych, nieraz wprost przeciwnych sobie usposobień i charakterów; kto więcéj takich stanów umie odtworzyć, temu przyznajemy większą siłę twórczą. Na jakiejże podstawie to robią? Niewątpliwie na podstawie obserwacyi, skombinowanéj oczywiście ze znajomością własnych stanów psychicznych. Ponieważ każdy człowiek jest mikrokosmem, ponieważ w nim drzemią wszelkiego rodzaju usposobienia, uczucia, myśli i popędy, lubo tylko pewna ich grupa dochodzi do takiego wybujania, że stanowi jego charakter; stąd istnieje w nim możność odczucia i zrozumienia najróżnorodniejszych stanów duszy u innych ludzi, a jeżeli z tą możnością połączy się talent twórczy, to potrafi on odczute i zrozumiane stany psychiczne w sposób artystyczny przedstawić, tworząc najróżnorodniejsze charaktery męskie czy kobiece. Taż sama podstawa służy i poecie odtwarzającemu postaci z przeszłości. Nie może on ich wprawdzie obserwować bezpośrednio, ale obserwacya pośrednia za pomocą doku-

mentów dziejowych nie jest mu odjętą; może on bądźcobądź zdobyć ten sam stopień prawdopodobieństwa, jaki otrzymuje historyk też samę epokę badający. Nie można oczywiście zaprzeczyć, że poeta przedstawiający przeszłość nie zdoła tak dokładnie i szczegółowo zaznajomić się z otoczeniem swoich osób, jak to robi artysta studyujący życie spółczesne; gdyż na przeszkodzie temu staje brak dokumentów; stąd też łatwo rozumiemy, dlaczego epoki bardzo odległe od czasu poety a zatém takie, z których dokumentów mamy bardzo mało, nie udają się, gdy przeciwnie obrazy z niezbyt dawnego okresu, dobrze znanego pod względem obyczajowym, bywają lepiéj malowane. I dlatego, zgadzając się z Brandesem, iż obrabianie spółczesnych tematów jest rzeczą najwłaściwszą i artystycznie najkorzystniejszą, nie możemy przystać na zupełne wykluczenie tematów historycznych z zakresu twórczości poetyckiéj i nie podzielamy jego opinii, jakoby żywioł historyczny w poezyi był równie zbyteczny jak „żywioł spirytystyczny.“ Staraliśmy się wykazać tu uprawnienie tworzenia postaci z przeszłości tylko z punktu widzenia psychologicznego; względy uboczne, polityczno-społeczne, wzmacniają u nas to uprawnienie potrzebą odtwarzania ideałów, których w życiu obecném nie znajdujemy.

Przejdźmy do drugiéj właściwości umysłu Brandesa do zamiłowania w szerokich uogólnieniach. Łatwo zrozumieć, jak wielką była zawadą dla takiego umysłu konieczność poprzestania na tak szczupłym zasobie materyału literackiego, jaki przedstawiają tłómaczenia poezyi naszych na język powszechnie w Europie rozumiany oraz opracowania naszego piśmiennictwa w takimże języku. Ażeby módz podać uogólnienie, któreby miało szansę utrzymania się jako prawdziwy nabytek krytyki przedmiotowéj, potrzeba oprócz talentu badawczego posiadać bardzo dokładną i bardzo szczegółową znajomość nie tylko dzieł poetów, nie tylko ich życia, ale nadto całéj atmosfery duchowéj, wśród któréj wychowali się, żyli i działali. Znajomość zaś taka zdobywa się najlepiéj przez samodzielne studya nad ogółem danéj literatury z uwzględnieniem czynników narodowych, politycznych, społecznych i wszelkich innych; a jeżeli już ktoś takiéj pracy podjąć nie może, to musi się oprzéć na całym szeregu studyów specyalnych. Brandes ani jednego ani drugiego sposobu przyswojenia sobie znajomości literatury naszéj zastować nie mógł, bo nie posiada naszego języka, a studyów nad piśmiennictwem naszém w językach obcych jest nadzwyczaj mało, a i te, które istnieją, z małemi wyjątkami, nazwać trzeba lichemi. Mimo to, ulegając naturze swego umysłu, musiał porobić uogólnienia, oparte na tym szczupłym materyale, jaki był w jego rozporządzeniu. Że te uogólnienia nie mogą

być przyjęte w zupełności, dziwić nikogo nie może; raczéj uznać należy siłę jego talentu, iż wypowiedział dużo myśli trafnych, że odczuł i zrozumiał ogół naszego romantyzmu, że określił jego zasadnicze różnice od romantyzmu niemieckiego, angielskiego i francuskiego. Tę część odczytów, gdzie się określenia te znajdują, poczytujemy za najlepsze; w zasadzie nie przedstawia ona rzeczy zupełnie dla nas nowych, ale to co wiedzieliśmy uzupełnia zestawieniami z poezyą innych narodów; żałować tylko wypada, że zestawienia te były, a może i musiały być, tak szczupłe. I wskazanie przyczyn takiego a nie innego charakteru w naszym romantyzmie również za trafne uznać wypada. Istotnie, na urobienie naszéj poezyi wpłynęły: romantyzm europejski, charakter narodowy i wyjątkowe „jedyne w swoim rodzaju“ położenie polityczne.

Atoli zbyt wielki nacisk, jaki Brandes położył na ten ostatni czynnik, nacisk nie dający się usprawiedliwić ani z ogólnych psychologicznych motywów, gdyż charakter narodowy, jako motor zasadniczy życia, zawsze i wszędzie bierze górę nad chwilową sytuacyą polityczno-społeczną, ani też z obserwacyi nad romantyzmem naszym,— nacisk ten spowodował krytyka do postawienia uogólnień albo całkiem fałszywych, albo częściowo jedynie prawdziwych.

Do zupełnie fałszywych uogólnień należy upatrzone przez Brandesa szczególne jakoby u nas zamiłowanie w okrucieństwach. „Skłonność tę—powiada on—łatwo sobie można wytłómaczyć tém, że wszyscy poeci byli świadkami strasznych okrucieństw. Okrucieństwa, których tak wiele spotykamy w dramatach i poematach Słowackiego, dowodzą tylko, jak potężne wrażenie wywarły na nim opowiadania i opisy różnego rodzaju mąk i cierpień. Z całego Szekspira okrucieństwa, mordy i zabójstwa, które spotykamy w niektórych jego historycznych i legendowych tragedyach, najwięcéj znajdują naśladowców pomiędzy poetami polskimi. Wyobraźnia ich zwróconą była na tę stronę jego ducha, która się najjaskrawiéj odbija w młodzieńczym jego dramacie: *Tytus Andronikus*“. Niewątpliwie jest-to rzecz nie do zaprzeczenia, iż w utworach poetów naszych odbijają się cierpienia narodowe (np. w III części „Dziadów“); rzecz-to tak naturalna i konieczna, że mówić dużo na jéj uzasadnienie nie potrzeba. Ale żeby opis mordów i okrucieństw był cechą znamienną naszego wyłącznie romantyzmu, temu zaprzeczyć musimy stanowczo, jako rysowi, który w całkiem fałszywém świetle poezyą naszą przedstawia. Brandes wie bardzo dobrze o tych dramatach, o tych powieściach i balladach niemieckiego i francuskiego romantyzmu, w których okropności były nagromadzone w daleko większéj liczbie aniżeli u Słowackiego; wie także i o tém, że przedstawianie

tych okropności było wynikiem dążenia do siły, do jaskrawéj ekspresyi w sztuce; ale wiedząc o tém, nie chce czy zapomina mówić w odczytach o romantyzmie polskim dlatego, ażeby uwydatnić, lubo w tym razie z ujmą prawdy, wpływ wyjątkowego położenia politycznego na ukształtowanie utworów poetyckich. Te szczegóły, które Brandes przytacza ze Słowackiego, mają źródło zupełnie odmienne, wszystkie prawie są wypływem oddziaływania nań literatury obcéj nie zaś życia. „Arab“ powstał pod działaniem nastroju bajrońskiego, okrucieństwa w dramatach malowane są naśladowaniem Szekspira, „Poemat o Piaście Dantyszku“ jest widocznie natchniony piekłem Dantego. Tylko „Ojciec zadżumionych“ powstał z bezpośredniéj obserwacyi podniesionéj naturalnie bujną wyobraźnią poety; ale obserwacya ta nie miała nic spólnego z położeniem politycznem naszego kraju. Tylko jedna scena w „Kordyanie“ może być przytoczona na dowód wrażenia, jakie na Słowackim wywierały „opowiadania i opisy“ różnego rodzaju okrucieństw.

Do uogólnień częściowo tylko prawdziwych należy twierdzenie Brandesa, iż w poezyach naszych trzech wielkich romantyków, Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, wszechwładnie panują dwa motywy: myśl zemsty i śpiew nadziei. Że nuta nadziei dźwięczy ciągle w ich pieśniach, to nie ulega żadnéj wątpliwości, ale żeby motywem ich utworów była także zemsta, to zaledwie w sposób bardzo naciągany dowieść się daje. Właściwie jeden tylko poemat „Konrad Wallenrod“ przez znaczny przeciąg czasu uważany był powszechnie za apoteozę idei zemsty; a obecnie i co do tego jedynego poematu zachodzą poważne wątpliwości w wyrozumieniu i wykładzie jego treści. Dziś rozważając genezę „Konrada Wallenroda“, wolno utrzymywać, iż może było pierwotną myślą poety nadać mu takie znaczenie, jakie mu późniéj przypisano, ale że w trakcie tworzenia zaszła zmiana w pomyśle twórcy co do myśli zasadniczéj i to w znacznéj części ze względów etycznych, które nakazały ujemne przedstawienie charakteru Konrada właśnie w chwili, kiedy do czynu przystępował, a zarazem wymierzenie kary poetyckiéj na nim, gdy ginie nieuczczony przez nikogo tylko przez siebie. Brandes pojmuje Wallenroda podawnemu, a nadto stara się i czyn Grażyny do tejże kategoryi zdrady zaliczyć. Że jest-to naciąganie zbyt widoczne, dowodzić nie trzeba. Co do Słowackiego, to przytoczone przez Brandesa poemata „Lambro“ i „Kordyan“ należą do dwu różnych dziedzin. „Lambro“, całkowicie bajronizmem przesiąknięty, nie ma, jak to sam Brandes uznaje, znaczenia estetycznego, jest utworem bardzo słabym, nigdy do popularnych a nawet bardziéj znanych nie należał, a zatém nie może uchodzić za utwór znamienny romantyzmu pol-

skiego, ani téż za dowód wpływu wyjątkowego położenia narodu na poezyą. „Kordyan“ zaś należy istotnie do celniejszych dzieł romantyki naszéj, ale przedstawia usiłowanie tylko czynu, podjęte przez młodzieńca nerwowego i fantastyka, a więc niezdolnego do spełnienia tego, co zamierzył. Stąd widzimy, że w utworach poetów naszych niema tych pierwiastków, któreby znaglić mogły do uznania zdrady i zemsty za cechy ich znamienne. Do tego potrzebaby było, ażeby znalazło się choć kilka wybitnych poematów, coby zdrajców i mścicieli zwycięskimi wystawiały.

Do uogólnień również na pół tylko prawdziwych zaliczyć trzeba uwagę Brandesa co do braku komizmu w poezyi naszéj. Fredrę zna on widocznie ze słyszenia tylko i lubo mu oddaje pochwałę, iż zmysł do komizmu posiadał w wysokim stopniu, przechodzi zaraz po téj pochwale do wywodu, iż brak żywiołu komicznego sprawia, iż literatura polska, pomimo swego bogactwa, nie odtwarza całego obszaru i całego natężenia życia ludzkiego. Robi to on z tego powodu, że poeci w rodzaju Fredry „nie zużytkowali nigdy swoich zdolności na korzyść najwyższych idei, a inni, działający w imię idei, jak romantycy nie mieli dość siły na to, aby ze śmiechu uczynić broń albo *wyraz wesołości.*“ Nie podejmując tu niewłaściwości ostatniego wyrażenia, gdyż może być wynikiem złego przekładu, można i potrzeba zauważyć, że służenie najwyższym ideom za pośrednictwem komizmu jest rzeczą, która nie wiem czy się jakiemukolwiek poecie udała; z natury bowiem swojéj komizm dotyka spraw powszednich i praktycznych: w sferze idei gości rzadko; i jeżeli poezya przyczyniła się do zwycięstwa wyższych myśli, to głównie stroną swą poważną, do któréj przecież i satyra należy. Z tego co Brandes daléj mówi o postaciach błaznów u Słowackiego, że oni co najwięcéj wzbudzają uśmiech, nie zaś „śmiech“, widać, że i on tak na seryo o służbie komizmu u idei najwyższych nie myśli. Dodać także należy, że „Niepoprawnych“ Słowackiego, gdzieby znalazł komizm wyższego rodzaju, Brandes nie zna. Zresztą przypomnieć potrzeba, że romantycy nie tylko polscy ale europejscy wogóle nie cierpieli śmiechu, tak samo jak czerstwych, rumianych twarzy, lecz gonili za uśmiechem ironicznym lub sarkastycznym, że zatém ów brak komizmu, o którym mówi krytyk, nie jest właściwością naszą, specyalną, ale romantyczną—europejską.

Do napółprawdziwych należą także spostrzeżenia Brandesa co do charakteru miłości naszych poetów, co do braku indywidualnych rysów w postaciach przez nich stworzonych i t. p. Nie będę już tutaj szczegółowo ich roztrząsał, gdyż nie stanowią one tak wybitnych jak poprzednio rozebrane znamion odczytów i łatwo mogą

być sprostowane przez każdego, kto zna utwory naszych poetów. Nie będę również zastanawiał się nad błędami faktycznemi wynikłemi, z mylnych informacyi, np. policzenie Augusta Becu pomiędzy literackich przeciwników romantyzmu, lub pomieszanie dwu utworów Słowackiego „Wacław“ i „Horsztyński“, gdyż faktycznéj strony nikt z odczytów krytyka duńskiego uczyć się nie będzie (1); szkoda tylko, że „Gazeta Polska“ drukując te odczyty, nie porobiła sprostowań: szkoda, że korektor spłatał jéj dokuczliwego figla, uporczywie nazywając Stefana Garczyńskiego—Parczyńskim...

Pomijając te drobiazgi, słówko jeszcze powiem o trzeciéj zasadniczéj cesze umysłu Brandesa, o zamiłowaniu w porównaniach. Przenośnie i porównania czynią styl obrazowym i ponętnym, ale przeszkadzają nieraz ścisłości i dokładności. W odczytach dla ogółu są one zupełnie uprawnione, gdyż nie idzie tu o wykład ściśle umiejętny. Z tego powodu nie myślę bynajmniéj zbierać i podnosić sprzeczności w twierdzeniach prelegenta, gdy dla większéj ekspresyi potęgował w pewnych miejscach wyrażenia, które następnie modyfikować musiał znacznie (np. *wszechwładnie* panujący w poezyi naszéj idealizm obok wydatnéj roli naznaczonéj w tejże poezyi realizmowi i t. p.). Chciałbym jedynie zwrócić uwagę na porównania, które się podobały ogólnie, a które jednak są dalekie od wyrażenia istoty rzeczy. W porównaniach tych użył prelegent bardzo różnorodnych materyałów i motywów. Najprzód przyrównał Brandes literaturę naszę do obrazu Maxa: Chustka ś. Weroniki: „Na pierwszy rzut oka twarz na obrazie wydaje się twarzą trupa, oczy są szczelnie zamknięte, wyraz pozbawiony życia. Skoro się jednak patrzy na obraz z właściwego punktu, wyraz twarzy nagle się ożywia, oczy się otwierają i zwracają na widza swe smutne i poważne spojrzenie.“ Porównanie to charakteryzuje raczéj położenie narodu aniżeli jego literaturę. Gdzie jest Pan Tadeusz, Ojciec Zadżumionych, Irydyon; gdzie są takie liryki jak nasze, tam z żadnego punktu widzenia o martwocie mowy być nie może. W inném miejscu porównał literaturę naszą do biblii; brzmi to ładnie, ale każdy naród może do pewnego

---

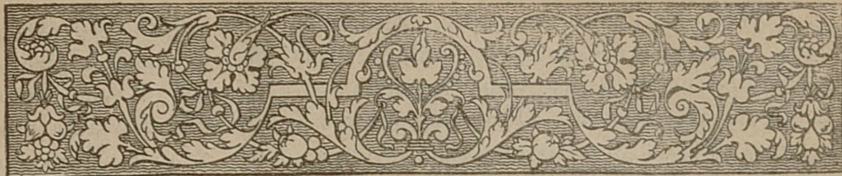
(1) Zestawienie „Pana Tadeusza“ z „Opowiadaniami junkra Stahla“ finlandzko-szwedzkiego poety Runeberga jest zupełnie dowolne. Opowiadania Stala są-to luźne całkiem śpiewy małéj objętości, po większéj części w formie lirycznéj, o walce Finlandczyków z Rosyanami, i nie przedstawiają żadnéj artystycznéj całości; porównać się z „Panem Tadeuszem“ a témbardziéj nazywać się utworem najwięcéj do niego zbliżonym w żaden sposób nie mogą. Miłość gorąca kraju spólna jest obu poematom, tak jak wielu innym. Drobne rysy realistyczne, żywioł komiczny również nie mogą uzasadnić tego zestawienia. Poemat Runeberga znam w tłómaczeniu niemieckiém: „Die Sagen des Fänrich Stahl von Johann Ludwig Runeberg. Aus dem Schwedischen v. C. F. N. Helsingfors. 1882.“

stopnia utwory swojéj poezyi za swój Stary testament poczytywać, lubo rzeczywiście u nas więcéj niż gdzieindziéj znaczenie takie poezyi dla ogółu się uwydatnia. — Daléj mamy jeszcze najszerzéj rozprowadzone porównanie poezyi polskiéj do Hamleta. Słowacki ma przedstawiać typ radykalnego polskiego Hamleta, Krasiński zaś zachowawczego. Zdawałoby się, że Mickiewiczowi przypadnie rola Fortinbrasa. Istotnie przyznaje mu ją Brandes, ale zarazem dodaje, że i Krasiński jest jednym z tych Fortinbrasów, do których przyszłość należy, że i Słowacki posiadał tę namiętność, która wiodąc do czynów Fortinbrasa stwarza. A chociaż w tém przyznawaniu dzielności jest stopniowanie, to jednak w skutek porównania pierwotnego do Hamleta, a następnie upatrzenia cech całkiem odmiennego charakteru w tychże samych osobistościach, rysy znamienne zacierają się i zamiast rozjaśnienia mamy raczéj zamglenie postaci naszych poetów. — Dokonywa wreszcie téj sprawy porównanie Mickiewicza do orła, Krasińskiego do łabędzia, Słowackiego do pawia. Przeciwko orłowi nic miéć nie możemy; czy rzeczywiście „pod względem nieskalanéj białości i szlachetnéj godności ruchów żaden ptak nie może iść w zawody z łabędziem“, pozwalamy sobie wątpić i uważać to za frazes staréj szkoły sentymentalnéj; a dlatego i zestawienia Krasińskiego z łabędziem przyjąć nie możemy; żeby zaś Słowacki miał być podobny do ptaka, który „nie może sam bujać jak orzeł, ani pływać jak łabędź“, a tylko „bogactwem i świetnością piór swoich wyróżnia się wśród wszystkich innych“, zgodzić się nie podobna ze względu na bujność lotu naszego poety, twórcy „Beniowskiego.“

Zamiast tych porównań, które mimo częściowych piękności kuleją pod wielu względami, daleko więcéj cenimy uwagi poprostu wypowiedziane o znaczeniu poezyi romantycznéj dla narodu. Świadczą one o przejęciu się Brandesa duchem naszéj literatury i lubo w części krzyżują się z innemi uwagami, może są ostatecznym wynikiem zastanowienia krytyka duńskiego i zasługują na przywiedzenie. „Egzaltacya tych poetów — mówi on — rozbudzała w czytelnikach zapał potrzebny a nawet niezbędny w tych warunkach politycznych, w jakich się znajdowali; wpajała w nich wytrwałość, zaufanie do samych siebie, niezachwianą wiarę w przyszłość... W książkach swoich złożyli oni wszystkie uczucia, jakie mieli dla swego narodu, zebrali i skoncentrowali w nich, jak tego dotąd nikt nie uczynił, patryotyzm, litość, nadzieję, nienawiść dla zdrady i niesprawiedliwości i wiarę w ostateczne zwycięstwo prawa.“ Żaden z naszych krytyków nie umiał lepiéj i zwięźléj znaczenia romantyki wysłowić.

P. Chmielowski.





KILKA UWAG NAD HISTORYĄ XVI WIEKU.

Janssen: Geschichte des deutschen Volkes seit dem Ausgang des Mittelalters IV. Freiburg i B. 1885.—Gebhardt: Die gravamina der deutschen Nation. Ein Beitrag zur Vorgeschichte der Reformation. Breslau, 1884.—Baumgarten: Geschichte Karls V, I. Stuttgart 1885.—Busch: Drei Jahre englischen Vermittelungspolitik. 1884.

Epoki przejścia i rewolucyi szczególny dla historyka, myśliciela przedstawiają interes, jak dla przyrodnika fenomenalne zjawiska. Głęboką uczuwa się potrzebę, by uprzytomnić sobie i zrozumiéć przedewszystkiém tę chwilę, w któréj pojęcia o świecie pewnemu ulegały przeobrażeniu, w któréj zrywała się burza straszna i krwawa, mająca zniszczyć dawne podstawy bytu i ładu lub też nieładu społecznego. Potrzeba ta tém głębszą i żywszą, im więcéj kwestye sporne, o które chodziło, i w dzisiejszéj chwili znajdują zwolenników lub przeciwników, dzieląc społeczeństwo mniéj lub więcéj tak samo, jak ongi, im więcéj się jest zdolnym, odczuć to, co swego czasu taki budziło zapał, tak silne namiętności, co tak potężnie wstrząsało społeczeństwem. Niełatwo o spokojną i ścisłą analizę wypadków, których wyniki i dziś jeszcze uczuć się dają, niełatwo o przedmiotowe całkiem przedstawienie rzeczy i o rozróżnienie dobrego od złego, dodatnich stron od ujemnych. Mimowolnie i bezwiednie ulega się uczuciom, które Tacyt nazywał: *ira et studium*. Po większéj części więc można historyków, zajmujących się wyświeceniem rewolucyjnych objawów, na dwie podzielić główne grupy, z których jedna potępia rewolucyą i jéj dzieło, a druga w niéj wita odrodzenie, zreformowanie ludzkości. Co jedni nazywają reformacyą, reformą, zbawiennym i zdrowym postępem, drudzy uważają za rewolucyjne i zgubne zerwanie z tradycyą, za znieważenie powag powołanych od wieków do rządzenia, za ruinę równowagi społecznéj i zniweczenie, przerwanie pracy wiekowéj.

Wiek XVI nazwano epoką reformacyi, chcąc przez to zaznaczyć, że przez protestantyzm społeczeństwo się odrodziło, zrywając z średniowiecznym ustrojem kościelnym, z powagą Rzymu przez wieki usankcyowaną. Obok Kolumba i Kopernika stawiano tedy reformatorów, którzy rozproszyli niby ciemności, prawdziwe ukazując światła otumanionéj ludzkości, odpowiednie jednostce przyznając stanowisko i prawa. „Instytucya rzymskiego kościoła, powiedziano niedawno, to więzienie ducha ludzkiego, stanie się grobem, w którym pochowają zgasłe pokolenie; zostanie tylko wspomnienie w historyi.“ Co reformacyą poprzedziło było błędem, aberacyą, zepsuciem skoszlawieniem idei chrześciańskiéj, krępowaniem sumienia, uzurpacyą. W XVI w. zaświtała wolność, widnokrąg się rozszerzył i prawdziwa, z wiekowych naleciałości oczyszczona zakwitła nauka chrześciańska.

Podobnie idealnie zapatrywano się i na inny, olbrzymi kataklizm dziejów nowszych, na rewolucyą francuską, widząc w niéj przeważnie jasne barwy i idealne aspiracye. Taine dokonał analizy rewolucyi, dobitnie charakteryzując sytuacyą i ludzi a Sorel wykazał, że w niéj dawne grzechy Francyi w innéj tylko, nowéj objawiły się formie (L'Europe et la Révolution française). Krytyka taka nie przeszkadza bynajmniéj, by nie potępić zepsutéj, zbankrutowanéj Francyi i Europy całéj i nie uznać z drugiéj strony dodatnich stron burzy rewolucyjnéj.

Reformacya wymagała i wymaga jeszcze podobnego studyum krytycznego. Dotąd przeważały optymistyczne poglądy, a to dla tego, że historyografia protestancka, mająca świetnych reprezentantów, tworzyła głównie opinią. Reakcya była naturalną, reakcya, powtarzamy, bo o przedmiotową analizę rewolucyi religijnéj zawsze jeszcze trudno. Janssena: *Geschichte des deutschen Volkes*, któréj czwarty tom niedawno wyszedł, jest rezultatem i to bardzo znacznym tego ruchu reakcyjnego, stającego w obronie kościoła, zaczepiającego na odwrót protestantyzm i to w groźny nawet sposób.

Jakim był stan Europy zachodniéj a zwłaszcza Niemiec w przededniu reformacyi? Pytaniem tem zajmuje się Janssen w pierwszym ciekawym i ważnym tomie swego dzieła a odpowiedział na nie w sposób nowy, niespodziewany, wykazując, że w Niemczech w XV wieku kwitła nauka i sztuka, że przemysł, handel, gospodarstwo w znakomitym były stanie, że żyli wtedy ludzie z szerokim umysłem, którzy nie zrywali jednakże z dawnemi ideami i nie stanowili opozycyi, że był Cusanus, Trithemius, Wimpfeling, *praeceptor Germaniae* i tylu innych promieniejących nauką i cnotą a nie pragnących rewolucyi mężów, słowem, że Niemcy całe przedstawiały się wspaniale.

I gdzież to wobec tego może być mowa o odrodzeniu przez reformacyą! Wprawdzie Janssen uznaje też, że było moralne zachwianie i objawy upadku, ale umie rzecz tak przedstawić, że o tém zupełnie prawie się zapomina i że przeczytawszy jego dzieło, jest się pod wrażeniem świetności i wielkości Niemiec w XV w. a strasznego upadku w XVI w. właśnie z powodu owéj burzy religijnej, która przerwała rozwój prawidłowy kraju, rozdarła go na dwie połowy a wreszcie tyle cennych zabytków na zawsze zniszczyła.

Trudno jednakże wtedy zrozumiéć, jakie były przyczyny ruchu religijnego, który takie przybrał rozmiary gwałtowne. Zresztą nie chodziło bynajmniéj tylko o sprawy religijne i kościelno-polityczne, lubo te z czasem głównym stały się czynnikiem i na całym ruchu właściwe wycisnęły piętno. Wszędzie, gdzie tylko zachodnia cywilizacya się rozkrzewiła, spostrzegamy obok rozkwitu nauk humanistycznych silne dążenie do reformy nie tylko kościelnej, ale politycznéj i społecznéj. Źródłem tych tendencyi świadczących o niezadowoleniu z tego, co było, o pragnieniu czegoś nowego i o nowych potrzebach a w każdym razie o *przeświadczeniu*, że zmiana istniejących stosunków konieczną,—źródłem tych dążeń wszechstronnych to budzący się *duch krytyczny*.

Krytycyzm jest niechybnie niezbędnym warunkiem postępu i reformy, ale zarazem niebezpiecznym czynnikiem, jeżeli zbyt wybuja i nie okiełznany, nic nie umie uszanować i tylko neguje. Tam, gdzie powołani do rządu czynni i bystrzy, myślą i radzą o normalnym, prawidłowym rozwoju społeczeństwa, o wzmocnieniu tego, co w ciągu wieków się zachwiało i uległo zepsuciu, krytyka płytka, bezpodstawna i niedostatecznie umotywowana nie zdobędzie gruntu. Jeżeli więc w XVI w. rewolucya cały ogarnęła zachód, nie było to objawem przypadkowym, który można wytłómaczyć płytkością ducha negacyi, złością ludzką i pychą żywota, a raczéj wypadnie uznać, oddając hołd prawdzie, że reforma była konieczną a skargi na zepsucie i nadużycia słuszne i sprawiedliwe, że wogóle średniowieczny świat się rysował a nowe budziło się życie gorączkowe, nie ujęte w pewne formy, nieświadome siebie, które jednakże, powiedzmy to już tu, nie jest identyczném z tém, co się zowie protestantyzmem, opierającym się na nowéj nauce t. j. czystéj ewangelii; tego życia, które dziś zawsze jeszcze społeczeństwo trawi, protestantyzm jednym tylko jest epizodem, jedną częścią.

Charakteryzując XV w. jako świetną epokę Niemiec, J. niejednokrotnie ma słuszność, zwłaszcza gdy podnosi imponujący rozwój miast niemieckich; niepoślednią to właśnie dzieła jego zasługą, że te jasne strony historyi Niemiec uwydatnił, jak nikt przed nim, ale

też jak nikt przed nim, podniósł grzechy rewolucyi religijnéj, przedstawiając bezwzględnie i to ze wszystkiemi szczegółami chaos i zamieszanie powstałe z powodu różnych doktryn, spory i kłótnie reformatorów, dbałych o „czystość“ ewangelii, a nie mogących się między sobą porozumiéć, na czém ona polega, zmieniających przeto wciąż swą naukę; w ciemnych barwach kreśli autor wandalizm niszczący stosami zabytki sztuki umieszczone w kościołach i zniknięcie równowagi społecznéj. I to wszystko miało się nazywać narodowém odrodzeniem, kiedy właśnie reformacya doprowadziła do rozdarcia kraju i osłabienia jego znaczenia, kiedy właśnie protestanccy książęta wciąż w praktyki z zagranicą się wdawali, z Francyą, pragnącą zguby cesarstwa i korzystającą w każdéj chwili, by zaanektować kawał ziemi obcéj. Karol V jest w oczach Janssena prawdziwym stróżem dobra państwa, chcąc dawny cesarstwu przywrócić blask. Karol V, panujący zarazem nad Hiszpanią, Niderlandami i Włochami, nad drugą półkulą, był więcéj narodowym, niż reprezentanci główni narodowego ruchu. Takie przedstawienie rzeczy uważano za zamachy na protestantyzm, za obrazę wyznawców znieważonéj prawdy. Nie było pisma od najpoważniéjszego i naukowego do codziennych gazet, w którémby o Janssenie nie pisano, zaczepiając go lub broniąc. Wyznaczono nawet wysoką premią dla tego, ktoby zbił wywody historyka katolickiego. Dzieło Janssena stało się tak popularném, że kilka, *kilkanaście* naraz wychodzi wydań, że dwie repliki jego: *ein Wort an meine Kritiker* w tysiącznych rozeszły się egzemplarzach.

To tak żywe zainteresowanie się historyą Niemiec i oburzenie wywołane w kołach protestanckich, tłómaczy się poniekąd dzisiejszym stanem kościelno-politycznym Niemiec i drażliwością wywołaną walką kulturową. Nieustraszony, pisał autor daléj swą Historyą a po wydanych trzech tomach, w których doprowadził rzecz do r. 1555, do pokoju religijnego zawartego w Augsburgu, ukazał się właśnie niedawno czwarty tom, obejmujący wypadki do r. 1580. Trzy w czasie tym wypadło zaznaczyć epizody, pierwszy kończący się konspiracyą Grumpacha, drugi cechuje oddziaływanie francuskiego kalwinizmu na Niemcy i w ogóle dążenie do utworzenia międzynarodowéj partyi religijnéj, w trzecim wreszcie dokonywa się silna reakcya katolicka głównie za przyczyną Jezuitów, przeciw któréj protestanci z swéj strony czynią usiłowania, by poszczególne odcienia pogodzić i wspólnémi walczyć siłami, co poniekąd w r. 1580 przez ogłoszenie tak zw. *Concordienformel* się udaje.

Gorzka to ironia nazwać uchwały, zapadłe na sejmie w r. 1555 wyłącznie za przyczyną Ferdynanda, pokojem religijnym, skoro

obiedwie partye przeciw nim protestowały a mianowicie katolicy przeciw „deklaracyi,“ która duchownym władzom terytoryalnym nie przyznawała prawa reformowania na podstawie zasady *cuius regio, eius religio*, protestanci zaś przeciw tak zw. „*reservatum ecclesiasticum*“, które w razie przejścia duchownego na protestantyzm zmuszało go do zrzeczenia się beneficium. Dziwny to był pokój, skoro naprężenie między obu stronami wciąż się wzmagało i ostatecznie smutna zbliża się katastrofa, przyczyna wiekowéj niemocy Niemiec. Łudzono się przez pewien czas, że na drodze pokojowéj będzie można zapobiedz rozdarciu narodu i przywrócić zgodę, łudził się zwłaszcza sam cesarz Ferdynand, który wszelkie możliwe czynił usiłowania i w kraju i w Rzymie, by upragnioną przywrócić jedność religijnego wyznania, by przez ustępstwa pozyskać nowatorów. Pokładano nadzieję w soborze trydenckim, który po dwukrotnéj przerwie znów zwołano. Ferdynand czuwał nad tém, aby forma zwołania w niczém nie obrażała sumienia protestantów, aby tym sposobem udział ich zapewnić, wymógł nawet na papieżu Piusie IV posłanie dwóch legatów do Niemiec, by protestantów urzędownie zaprosić do Trydentu. Charakterystyczna to była chwila: Commendoni i Delfino, wytrawni politycy, stają w Naumburgu przed protestantami, wręczając list papieski z zaproszeniem na sobór; ci jednakże już *sam fakt*, że papież zaprasza, uważają za uzurpacyą: Rzym, jako *interesowana* strona, nie może bowiem stanąć na czele soboru. Trudno było wobec tego o porozumienie i o zgodę. A przyznać trzeba, że wtedy Pius IV, przychylając się mianowicie do próśb i przedstawień cesarza, a i sam pokojowo usposobiony, czynił, co mógł, by protestantów nakłonić do udziału w soborze. Napróżno! Zresztą nie byłoby to i tak doprowadziło do celu; na taki bowiem wolny sobór, jaki reformatorzy mieli na myśli, Rzym nie byłby się nigdy zgodził. Zgoda stała się niemożliwą, bo różnica zbyt była głęboką, zasadniczą. Odbył się więc sobór bez udziału tych, którzy bezpośrednią zwołania byli przyczyną a nawet bez udziału prałatów niemieckich, którzy zagrożonych przez protestantyzm dyecezyi nie chcieli opuszczać. Bo téż protestantyzm coraz groźniejszą stawał się potęgą. Commendoni ubolewa nad tém, że „liczba heretyków wciąż rośnie.“ Wreszcie zrozumiał Ferdynand, że przywrócenie jedności religijnéj niemożliwe, a chcąc przynajmniéj w swych dziedzicznych krajach zapobiedz szerzeniu się nowej doktryny, wymógł na papieżu pewne koncesye a mianowicie komunią *sub utraque*, ale i to nie przyczyniło się do wzmocnienia kościoła katolickiego. W rodzinie cesarskiej otwarcie hołdowano protestantyzmowi; Maksymilian z lekceważeniem wyraża się o soborze i o papiestwie. Nie uznawano wogóle żadnéj powagi. Protestanci i kalwini

wciąż z sobą się sprzeczali, protestanci między sobą w rozstroju. Melanchton ubolewa nad ich zaciekłością i nienawiścią a znużony życiem pragnął świat już pożegnać w tym wieku „sofistów.“ Z religijnym rozstrojem łączyły się polityczne aspiracye i osobiste cele; i tak między Dreznem a Weimarem, linią albertyńską a ernestyńską, od czasów bitwy pod Mühlbergiem głęboka panowała nienawiść. Ks. Jan Fryderyk chciał dźwignąć upadły ród, pomścić krzywdę wyrządzoną linii ernestyńskiej, odebranie godności elektorskiéj i zabranie części kraju, ale nie o to tylko chodziło, zanosiło się na zupełny przewrot ustroju państwowego, na obalenie dynastyi Habsburskiéj i wzniesienie cesarstwa protestanckiego. Grumpach, śmiały kondotier, miał plan wykonać za pomocą rycerstwa. Już w zaraniu rewolucyi silne objawiło się dążenie do zreformowania ustroju politycznego Niemiec, a zwłaszcza do złamania dominującéj potęgi terytoryalnych władców. Dzieło się nie udało. Obecnie zanosiło się na podobny zamach. Grumpach zbierał wojska, wydając zarazem do rycerstwa manifest; wszelkie jednakże zamiary nie doprowadziły do pożądanego celu, a Grumpacha i towarzyszy straszna spotkała kara.

Niemcy upadały stanowczo; wewnątrz rozstrój i rozbicie, a na zewnątrz żadnéj powagi; do tego rzecz doszła, że obce mocarstwa w Niemczech werbują żołnierzy. We Francyi od kilku już lat z pewnemi przestankami wrzała wojna religijna, a około roku 1567 zatarg Hiszpanii z Niederlandami stawał się coraz groźniejszym; zanosiło się wtedy na utworzenie dwóch wielkich obozów międzynarodowych, protestanckiego i katolickiego, ale nie zawsze religijne motywa decydowały i szlachetne pobudki; zdarza się bowiem, że protestanckie wojska walczą dla zysku w obronie sprawy katolickiéj. Już to wogóle smutno świadczyło o jedności Niemiec i o znaczeniu cesarstwa, że na swą rękę można było w obcych brać udział wojnach; do tego doprowadziła władza terytoryalnych książąt, do tego ta sławiona „wolność niemiecka“ (*deutsche Libertät*). Niemiecka „*Libertät*“ odrębną nieco była od naszéj złotéj wolności, lubo do niéj podobną a w skutkach równie zgubną; u nas przyjęto zasadę *viritim*, jednostka więc była wolną, w Niemczech zaś terytoryalny władca, a wobec jednostki stosowano zasadę „*cuius regio.*“ Ale z czasem w Polsce, lubo w teoryi indywiduum złotéj zażywało wolności, w rzeczywistości utworzyły się terytoryalne potęgi, które decydowały o losach kraju i na własną rękę prowadziły politykę. I tu i tam dla państwa, dla centralnéj władzy nie było miejsca, a katastrofa stała się nieuniknioną. Po upadku Polski nastąpiło wkrótce rozbicie Niemiec.

Ciekawy napisał memoryał (w roku 1570) zagorzały protestant, Schwendi, charakteryzując trafnie ówczesną sytuacyą: cesarstwo to

tylko tytuł, czczy honor, wyznaniowe różnice pociągają za sobą mięszanie się obcych do spraw niemieckich, siła wojskowa Niemiec w ręku obcych, posłuszeństwo wobec praw, miłość ojczyzny gaśnie, za pieniądze walczą Niemcy przeciw Niemcom. Cesarz przedstawił ten memoryał na sejmie w r. 1570, chcąc przekonać wszystkich o konieczności reformy, jednakże bez skutku; natomiast zapalano się do wojny z papiestwem, z antychrystem, Piusem V i to w chwili, w któréj właśnie z powodu starań Rzymu przychodziła do skutku liga chrześciańska przeciw groźnéj potędze tureckiéj, mającéj niebawem pod Lepanto pamiętną ponieść porażkę. Nie można zaprzeczyć, że te religijne namiętności, te ciągłe medyacye, pertraktacye, kłótnie i spory odrywały umysły od koniecznéj na innych polach reformy.

Wybór Henryka Walezego na króla Polski obudził w Niemczech i we Francyi świetne lubo odmienne nadzieje. Z jednéj strony upatrywano w wyborze Henryka klęskę Habsburgów i zapowiedź dalszych klęsk, śmiałe nawet układano plany, jakby z czasem pozyskać koronę cesarską dla Francyi. Protestanci ze swéj strony marzyli o połączeniu sił protestanckich, o zawiązaniu i utrzymywaniu ścisłych stosunków z Francyą i Polską. Nie ziściły się nadzieje. Trudno było o jednolitą akcyą w obozie nowatorów, niezgodnych między sobą, zaczepiających się namiętnie. Wielu ten rozstrój różnowierczy przestraszał i odstręczał. Tém téż między innemi tłómaczą się świetne powodzenia reakcyi katolickiéj. Historya téj reakcyi, ściśle złączonéj z odrodzeniem katolicyzmu i reformą kościoła, osobną w dziejach XVI w. stanowi kartę. Obok rewolucyjnych prądów widoczna w łonie samego kościoła tendencya do usunięcia nadużyć, która wcześniéj bo w XV w. się objawia, mianowicie, nie mówiąc już o wielkich soborach, w Hiszpanii. Niedość dotąd wyświecone to stanowcze i konsekwentne oddziaływanie Hiszpanii na reformę kościoła, a wpływ ten był bardzo znaczny. Duch hiszpański stworzył między innemi owę armię katolicką, która nieobliczone sprawie, któréj służyła, oddała usługi. Jezuici rozwinęli w Niemczech, jak wszędzie, energiczną działalność, niemało téż zagrożonych, albo już nawet straconych zdobyli stanowisk; niedziw więc, że przeciw nim głównie zwracają się skargi. Trudno było rozbitym i walczącym między sobą protestantom stawić czoło towarzystwu umiejętnie zorganizowanemu, pałającemu duchem zaparcia się siebie i poświęcenia. Należało więc pomyśléć o skupieniu sił, a sformułowaniu ściślejszém nauki, aby usunąć powód do tworzenia nowych doktryn. Po wielu trudach i bezowocnych usiłowaniach ogłoszono wreszcie w r. 1580 w pięćdziesięcioletnią rocznicę wręczenia augsburskiego wyznania tak zw. *Concordienformel*, w któréj nauka protestancka ostatecznie

się skrystalizowała. Radośnie powitano akt ten, widząc w nim świetne przeciwstawienie: *„des verdammlichen Conciliabulums zu Trient“* i silną broń przeciw bałwochwalczemu papiestwu i tegoż satelitom, t. j. Jezuitom. Sformułowanie doktryny protestanckiéj nie zwracało się jednakże wyłącznie przeciw Rzymowi, ale równie silnie i przeciw kalwinizmowi; o zgodnéj więc akcyi przeciw odrodzonemu, potężnemu i pełnemu inicyatywy katolicyzmowi nie mogło być mowy.

Ile to przez lat kilkadziesiąt — od chwili wybuchu rewolucyi— czyniono zabiegów, by utrzymać jedność kościoła! Napróżno! Były chwile, w których się zdawało, że nastąpi pewne porozumienie, że można będzie tak sformułować dogmaty, aby zadowolnić wszystkich, ale zabiegi te okazały się mrzonkami, a ci, którzy o ustępstwach myśleli, narazili się tylko na zarzuty odstępstwa lub indyferentyzmu religijnego. Zwykły to los medyatorów, nie zdających sobie często jasno sprawy z zasadniczych różnic, a działających w imię świętej zgody. Ale téż wtedy mało kto jasno postawił kwestyą, a nawet w Rzymie samym w pewnych chwilach czyniono możliwe koncesye. Pokojowe załatwienie sprawy, pozyskanie nowatorów na dobréj drodze stało się niemożliwém. Chcąc przywrócić jedność religijną, trzeba się było innego chwycić środka, gwałtownego przytłumienia opozycyi, a zanosiło się nieraz na to; ale opozycya była zbyt silną, zbyt szerokie przybrała rozmiary, a potém potęgi katolickie nie działały zgodnie. Francya walczy z Hiszpanią, papiestwo w zatargach z cesarstwem; król chrześciański, gnębiący u siebie hugonotów, popiera protestantów w Niemczech, papieże tacy, jak Paweł IV, wszczynają wojnę z arcykatolickim Filipem II; Alba pod murami Rzymu, a na początku rewolucyi armia francuska wraz z Szwajcarami burzy świętą Romę, centrum świata katolickiego. W pierwszéj zwłaszcza połowie XVI w. interes religijny na dalszy schodził plan wobec ambicyi politycznych i żądzy zdobyczy terytoryalnych, a tymczasem protestantyzm się wzmagał. Zasada, że państwo przedewszystkiém o własny dbać winno interes, okazała się silniejszą od teoryi średniowiecznych, według których ludzkość, jako taka, ogólne ma cele, którym interesa partykularne należy podporządkować. Wyemancypowało się państwo, zrywając z ideą jedności kościoła. Dobro państwa zdawało się téż wymagać tego, by opozycyi religijnéj, uznanéj jako heretycką. zapewnić prawnopolitycznie spokój. Wogóle jednakże o tolerancyi o wolności wyznania nie może być mowy. Przedstawiano i przedstawiają jeszcze protestantyzm jako szermierza idei wolności i tolerancyi w przeciwstawieniu do katolicyzmu walczącemu taką bronią, jak indeks i inkwizycya. Tolerancyi w epoce reformacyi prawie nigdzie nie było! Nie w imieniu swobody sumienia wy-

stąpili protestanci lub kalwini; jedni tylko indepedenci podczas rewolucyi angielskiéj na liberalném pod względem religijnym stanęli stanowisku. Nowatorom chodziło o to, by swéj doktrynie, jedynie „prawdziwéj i czystéj“ zapewnić absolutne zwycięstwo, by zwalczyć „bałwochwalczą, zepsutą“ religią katolicką. To, co się w Anglii, Genewie i w Niemczech działo, nie świadczy bynajmniéj o duchu tolerancyi. Beza powiedział, że *libertas conscientiarum diabolicum dogma.* A i późniéj, w w. XVII tolerancyi religijnéj nie było ani u katolików, ani u protestantów, ani u żydów (Spinoza).

Identyfikują daléj często tę tak zw. kulturę nowoczesną z protestantyzmem. Przedewszystkiém należy przypomniéć, że między epoką odrodzenia a reformacyą znaczna zachodzi różnica. Humanistę, stroniącego od zawiłych kwestyi dogmatycznych, cechowała pewna wyrozumiałość, łącząca się z szerokim umysłem, pewna swoboda, którą możnaby nazwać liberalizmem w najszlachetniejszém tego słowa znaczeniu; przeciw temu zwraca się zapalony reformator, skrupulatny, oddany lekturze pisma św. pragnący siebie i drugich według swéj zbawić formuły. Pojęcie kultury nowoczesnéj daleko szersze od protestantyzmu, który przecież potém wystąpił do walki z nią i ją potępił. Tyle przyznać trzeba, że protestantyzm mimowolnie utorował drogę zasadzie tolerancyi religijnéj, a to dla tego, że ludzie odrębnych wyznań a mimo tu równouprawnieni, żyjąc obok siebie, z czasem nauczyli się być wyrozumiałymi.

O braku ducha tolerancyi u protestantów w XVI w. z dzieła Janssena dokładnie można się poinformować, niemniéj o pewném moralném zachwianiu społeczeństwa i ogólném zamieszaniu, które naturalném było następstwem zakwestyonowania dawnych powag w owéj epoce przejścia. Wypadnie jednakże zaznaczyć, że za wszystko złe, jakie wtedy się objawiało, nie należy wyłącznie protestantyzmu czynić odpowiedzialnym; na to i inne złożyły się czynniki, jak wogóle na osłabienie znaczenia Niemiec. Dawno przed wybuchem rewolucyi religijnéj cesarstwo straciło swój urok i wpływ. Zmiana ekonomicznych stosunków, łącząca się z nowemi odkryciami i nowemi drogami handlowemi nie wypadła na korzyść Niemiec a zwłaszcza kwitnących miast.

Janssen poświęca swe dzieło głównie kościelno-politycznym stosunkom, inne strony życia społecznego szczególnie w dalszych tomach mniéj są uwydatnione; nie dość téż szerokie tło, na którém historya Niemiec osnuta; nie ma tu przedmiotowéj analizy rewolucyi religijnéj, tylko znakomita apologia kościoła katolickiego. Rany protestantyzmu odkrywa Janssen bezwzględnie, popierając swe wywody ciągłemi cytatami, by nie narazić się na zarzuty stron-

niczości; że autorowi o prawdę chodzi, że historyi nie chce fałszować, nie godzi się wątpić, ale zostawiając pewne rzeczy w półcieniu i na dalszym planie, inne wysuwając naprzód, można sytuacyą odpowiednio do swych sympatyi przedstawić. Janssen jest zręcznym kompozytorem. Z tém wszystkiém, trzeba koniecznie się liczyć z jego wywodami i przyznać szanownemu autorowi zasługę niemałą, położoną około wyświecenia historyi Niemiec w XVI w., lubo bynajmniéj ostatniego słowa o niéj nie powiedział, jak to z wielu stron twierdzono. Jeszcze tu pracy bardzo dużo, a zacząć ją trzeba od XV w., od wszechstronnego zbadania społeczeństwa i stanu kościoła, od zestawienia skarg (grawaminów) wymierzonych przeciw prawom i nadużyciom hierarchii kościelnéj. Skargi te różnorodne, o których dobrze z ciekawéj rozprawy dra Gebhardta poinformować się można, zwracały się przeciw jurysdykcyi duchownéj, przeciw annatom, dziesięcinom i wogóle wszelkim opłatom a wreszcie przeciw centralizacyjnéj administracyi kościelnéj i nieuwzględnianiu rzeczywistych potrzeb i stosunków krajowych. Dr. G. zostawił grawamina niemieckie mniéj więcéj od czasu soboru bazylejskiego do owego sejmu w Wormacyi, na którym potępiono Lutra, uwzględniając przeważnie tylko te grawamina, które urzędowy miały charakter, tj. takie, które wyszły ze sfer kompetentnych samejże hierarchii. Podobne grawamina, lubo nie tak liczne, jak w Niemczech, istniały i w innych krajach; zestawieniem ich trzeba się będzie zająć a ciekawa to wtedy będzie praca porównać z sobą poszczególne skargi, zaznaczyć różnice i zbadać, o ile były usprawiedliwione.

Trudne to było zadanie unormować granice między kościołem powszechnym a państwem, pogodzić organizacyą katolicką i obowiązki wobec centralnéj władzy z interesem poszczególnych krajów. Hierarchia kościelna zajęła w ciągu wieków w państwie dominujące niemal stanowisko i ważnym stała się czynnikiem politycznym. W Niemczech było trzech elektorów duchownych, w Francyi obok szlachty i miast osobny prałaci tworzą stan, w Anglii biskupi, należą do izby lordów, w Szwecyi hierarchia kościelna świetne zajmowała pod każdym względem stanowisko, w Polsce biskupi piastują godność senatorską; wszędzie znaczny przyznano im udział w sprawach publicznych, prócz tego rozległą jurysdykcyą, a i materyalne uposażenie było znakomite. Powoli przygotowywała się reakcya przeciw przewadze duchownéj, która ostatecznie nie umiała w legalnych utrzymać się granicach i rewolucyjnym skończyła się wybuchem. Trudno było wtedy o miarę i równowagę.

W podobnych chwilach trzy niemal zawsze będzie można zaznaczyć kierunki: jeden, który bezwzględnie starego trzyma się po-

rządku, w niczém nie chąc ustąpić, inny znów zrywa całkiem z tradycyą a między jednym i drugim—ludzie albo bardzo rozumni i mądrzy, głowy jasne, umiejące rozróżnić, co wymaga zreformowania, a co winno się uszanować, albo też ludzie dobrych chęci, pragnący miłéj zgody. A zdarza się też, że w jednym człowieku reprezentowane dwa kierunki, dwa światy. Ponętne to studyum przenikać takich ludzi, badać potężne indywidualności z epoki przejścia, zwłaszcza jeżeli im losy przeznaczyły tak wybitne i tak powszechne stanowisko, jak w XVI w. Karolowi V. Pod koniec zeszłego stulecia Robertson zainteresował się Karolem V i jak na owe czasy wcale dobre poświęcił jego panowaniu dzieło, przetłómaczone na języki francuski i włoski a pewno i niemiecki. Ranke w historyi epoki reformacyi (*Reformationszeitalter*) często oczywiście zajmuje się działalnością cesarza a zwłaszcza jego stosunkiem do Niemiec, do protestantyzmu, jak to wynikało z zadania. Maurenbrecher osobną poświęcił pracę wyświeceniu stanowiska, jakie Karol w ostatnich dziesięciu latach swego panowania zajął wobec opozycyi religijnéj. Z francuskich historyków Mignet pracował nad historyą Karola V, (*Rivalité de François I et de Charles V*; *Charles V, son abdication, son séjour et sa mort au monastère de Yuste*), uwzględniając jednakże głównie walkę dwóch potężnych rywali, Karola z Francyą. Wyświeceniem stosunków Karola z Włochami zajmuje się jeden z najpoważniejszych i najznakomitszych włoskich historyków Giuseppe de Leva w swém jędrnie i z szerszym poglądem napisaném dziele: *Storia documentata di Carlo V in correlazione all' Italia*, którego piąty tom niedawno wyszedł. Janssen w swéj historyi niemieckiéj dużo mówi o Karolu, szczególną cesarzowi zawsze okazując sympatyę. Od czasów Robertsona żaden historyk nie zabrał się do napisania historyi Karola, któraby obejmowała całą jego działalność różnorodną, bo też to zadanie arcytrudne, wymagające rozległych studyów nad historyą wszystkich niemal krajów zachodniéj Europy, a mianowicie Niemiec i Hiszpanii, Niederlandów i Włoch, prócz tego nad dziejami Osmanów i nowych odkryć w Ameryce. Praca więc olbrzymia; podjął jéj się obecnie prof. Baumgarten, autor Historyi Hiszpanii i rzeczy o nocy św. Bartłomieja a wreszcie znany z swéj uporczywéj polemiki z Janssenem. Pierwszy tom dzieła Baumgartena, obejmujący wypadki do r. 1523, powitano tu i owdzie jako *standard work*, jako rzecz, która, jeżeli już nie powie ostatniego słowa o rządach Karola i jego czasie, to przynajmniéj podstawową będzie książką do dalszych prac i studyów. Sąd taki jest przesadnym; zasługa autora polega przeważnie na zestawieniu całości rządów Karola i przedstawieniu całéj jego działalności w jednym obrazie; nie ma to jednakże dość głębokiego ujęcia rzeczy.

Karol nie był *esprit brilant*, przeciwnie, bierny, nieodznaczający się niczém, nie zapowiadający nic nadzwyczajnego, ani wielkich zdolności ani wybitnego charakteru; powoli umysł jego się rozwijał i wyrabiał charakter—w twardéj szkole wskutek wczesnego zgonu ojca Filipa i obłąkania nieszczęśliwéj matki, z powodu intryg dziada Ferdynanda, nie pragnącego w Hiszpanii rządów wnuka.

Był-to wtedy czas dla panujących ciężki, czas genezy tak zw. polityki równowagi. Włochy, w których duch nowoczesny najprzód się obudził, padły pierwsze ofiarą nowoczesnéj teoryi politycznéj. Machiavelli, trzeźwy Machiavelli pisze pod koniec swéj historyi florenckiéj, gdy mówi o smutku powszechnym, wywołanym śmiercią Lorenza *del Magnifico*, że na niebie wiele ukazało się znaków, przepowiadających straszne klęski. Ze zgonem Lorenza kończy się téż świetna epoka Włoch. W chwili, w któréj Francya wyparłszy najeźdźców, dzięki szczęśliwym kombinacyom i związkom matrymonialnym jednolitą stala się potęgą a pełną inicyatywy, przekształcając zarazem wewnątrz ustrój feudalny przez nałożenie pewnych obowiązków wobec skarbu państwowego, — w któréj daléj Anglia po długich krwawych wojnach domowych doszla do równowagi pod spokojnymi rządami Henryka VII, a na południu Hiszpania złączona rosła w potęgę, zwłaszcza po upadku Granady,— Włochy rozbite popadały w zależność od obcych mocarstw. Nie miały się ziścić nadzieje Machiavella powstania jednolitego państwa włoskiego; bo téż trudno było wogóle, a wtedy mianowicie o człowieku, któryby do „*Księcia*“ chociaż w części był podobnym. W Sabaudyi wstąpił na tron Carlo II, mający rok dopiero, w Monferrato Francesco II-gi, dziecko, w Medyolanie Gian Galeazzo, młody i niedołężny, był pod nieszczęsnym protektoratem Ludwika Moro, we Florencyi panuje Pietro Medici, człowiek średnich zdolności, w Rzymie Aleksander VI, Wenecya upadała, duch kupiecki brał górę a patryotyzm gasł. Wenecya stawała się podobną do skąpca, który nowych już nie chce czynić zdobyczy, pragnąc tylko utrzymać to, co zyskał, trzymała się więc po większéj części polityki neutralnéj. W Neapolu wreszcie stary okrutnik Ferdynand I dogorywał.

W takiéj to chwili rozpoczęły się na włoskiéj ziemi zapasy obcych mocarstw, najpierw Francyi i Hiszpanii. Walki te były zarazem dobrą szkołą dyplomatyczną; trzeba było dobrze się w niéj wyćwiczyć, by bystrością, giętkością i doświadczeniem sprostać innym. Tworzą się ligi dziś takie, jutro inne, opuszcza się dawnych przyjaciól, a szuka nowych, bo z tém większe łączą się zyski; nie ma zasad, na którychby się oprzéć można, prócz téj jednéj, jakby z okoliczności i ludzi korzystać, jakby drugiemu zaszkodzić, a sobie po-

młódz. W takim to czasie obejmuje rządy Karol V najpierw w Hiszpanii, po zgonie Ferdynanda, okazując na samym wstępie niespodziewaną wcale stanowczość, a niebawem równie stanowczo, z pewném nawet namaszczeniem sięga po koronę cesarską. Rozszerzył się znacznie jego widnokrąg, przybyło energii i siły moralnéj, wzrok strzelał w górę, obejmując nie jeden kraj, ale całe chrześciaństwo. Karol orzekł, że w swéj osobie chce połączyć potęgę Hiszpanii i cesarstwa, by tém skuteczniejszą w obronie chrześciaństwa podjąć walkę. A była to chwila krytyczna, w któréj młody cesarz, pokonawszy w walce wyborczéj swego współzawodnika Franciszka, opuszczał Hiszpanią, by udać się do Niemiec. Karol, otoczony obcymi ministrami, mało kogo w dziedzicznym swym kraju zadowolnił, spotykając wszędzie prawie na mniéj lub więcéj silną opozycyą, świadczącą dobitnie ile tu jeszcze było żywiołów nie zasymilowanych centralizacyjną pracą Izabelli i Ferdynanda. Karol opuszczał kraj nurtowany rewolucyą, a w Niemczech, dokąd dążył, trudniejsze niż kiedykolwiek, czekało cesarza zadanie, nie tylko by wobec wzmagającéj się władzy książąt terytoryalnych utrzymać godność korony cesarskiéj, ale wypadło inną jeszcze rozwiązać kwestyą; kiełkowała bowiem już rewolucya, a wkrótce, bo na sejmie w Wormacyi przekonano się, że opozycya staje się coraz silniejszą i nieugiętą. Luter powiedział: „*hier stehe ich, ich kann nicht anders*“, a książęta, zwłaszcza saski, zasłonili go swém ramieniem. Na zewnątrz sytuacya równie wielkiéj wymagała czujności wobec Francyi. Minister Karola Chièvres pragnął zgody z Francyą i wszelkie w tym kierunku czynił starania, ale zgoda ta była nieszczerą i nietrwałą. Franciszek nie mógł na otaczającą kraj jego z wszech stron potęgę Habsburską spokojnie patrzéć, chcąc przedewszystkiém zapewnić Francyi Medyolan.

Historycy francuscy ubolewają często nad marnowaniem sił Francyi we Włoszech przez więcéj, jak pół wieku; ostatecznie wszelkie usiłowania nie doprowadziły do celu. Neapol, o który najprzód się kuszono, przepadł dla Francyi już za Ludwika XII, Lombardya z Medyolanem za Franciszka I, a wreszcie Piemont za Henryka II, a w końcu Hiszpania opanowała Włochy. Mignet twierdzi, że błędna ambicya (*l'ambition égarée*) królów, gubiących się w usiłowaniach pełnych chwały, ale zawsze bezowocnych po za Alpami odwróciła Francyą od naturalnych dróg do wielkości. Za dalekoby nas zaprowadziło roztrząsanie tych wywodów. Zaznaczamy tylko fakt, że Włochy wtedy nader łatwe nastręczały zdobycze, lubo trudno było przy nich się utrzymać. Włochy nęciły obce potęgi, wzywając prawie do korzystania z rozbicia i niemocy; trudno było takiéj oprzéć się pokusie, trudno mianowicie takiemu Franciszkowi I. Walka z Karolem była więc nieuniknioną.

Przez pewien czas chciała Anglia zapobiedz starciu dwóch rywalizujących z sobą potęg. Ambitny, a w sztukach i sztuczkach dyplomatycznych biegły kardynał Wolsey wszelkie w tym kierunku czynił starania. Już Henryk VII, lubo wewnętrznem dźwiganiem wojną domową dotkniętego kraju zajęty, okazywał się równie bacznym na stosunki zagraniczne, biorąc udział w wojnach i ligach. Wolsey poszedł daléj, pragnąc Anglią uczynić środowiskiem polityki europejskiéj i wszystkie nici akcyi dyplomatycznéj w swoim skupić ręku. Dzięki swéj biegłości i giętkości, dzięki zwłaszcza sytuacyi ówczesnéj mógł kardynał przez pewien czas z zadowoleniem patrzéć na urzeczywistnianie się swych zamiarów. Głowy koronowane ubiegają się o względy ministra angielskiego. Wolsey umiał swój i kraju interes wspaniałą otoczyć aureolą a chcąc rywalom wspólny wzniosły wskazać cel, staje się w r. 1518 twórcą ligi pokojowéj mającéj wystąpić do walki z półksiężycem. Tytuł ligi od dawna szumnym tylko był frazesem. Ciekawą była rola Anglii w chwili, w któréj ubiegano się o koronę cesarską po zgonie Maksymiliana. Tak Karol V, jak Franciszek I, pragną sobie zapewnić poparcie Anglii; nie szczędzono przyrzeczeń dla obydwóch a tymczasem pokątne czyniono starania, by pozyskać koronę dla Henryka VIII, ale wcześnie, wcześniéj od króla samego, spostrzegł się Wolsey, że o powodzeniu myśléć nie można. Niemałą jednakże dla Henryka i kardynała było satysfakcyą to, że nowoobrany cesarz pośpieszył do Canterbury w celu pozyskania przyjaźni angielskiéj. Ale Anglia nie chciała się wiązać, a raczéj stać ponad rywalami, więc po wizycie cesarskiéj Henryk przybywa do Francyi a po świetnych bankietach i różnorodnych zabawach dąży do Calais, by rewizytować Karola.

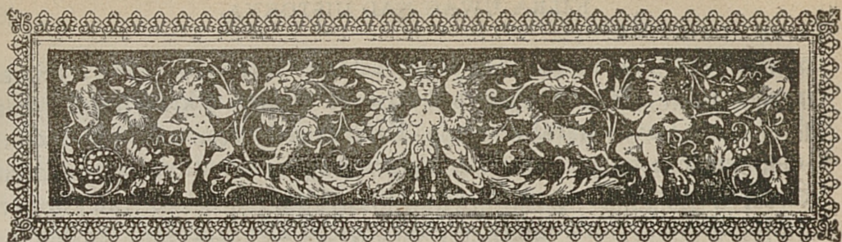
Kardynał okazywał się wyższym nad stronnicze interesa a w gruncie rzeczy tu i tam jak największe chciał odnieść korzyści. W końcu jednakże doprowadził do tego, że nikt mu nie wierzył, że jednéj i drugiéj naraził się stronie; medyacye wszelkie chybiły, trzeba było łączyć się albo z Franciszkiem albo z Karolem. Wolsey zdecydował się na to ostatnie, przystąpiwszy w r. 1521 do związku cesarza z papieżem. Zwyciężył więc na razie młody cesarz i to mniéj więcéj w téj saméj chwili, w któréj na południu, w Hiszpanii rewolucyą przytłumiono, w któréj w Niemczech potępiono Lutra. Tak rozpoczęły się rządy Karola V.—Jakie wtedy po głowie jego snuły się myśli i plany, z jaką otuchą patrzał w przyszłość, a jednak ta przyszłość tyle przyniosła zawodów, które w końcu zniechęciły go do świata. Ten potentat nieugięty, co marzył o wielkości Ottonów i Hohenstaufów, kończy w zaciszu klasztornem i za życia każe sobie odprawiać egzekwie. Karol V nie chciał sankcyonować tego, co raz

potępił, nie chciał uznać opozycyi i ustąpić duchowi czasu, a jednak ten marzyciel nieodrodnym był synem wieku, w którym żył i działał. Trafnie Leva charakteryzuje Karola, mówiąc, „że był zgodnie z duchem czasu na przemian szlachetny i okrutny, wyrozumiały i fanatyk, podejrzliwy i łatwowierny, uległy wobec rad obcych a znów absolutny, nieugięty w nieszczęściu a w szczęściu zaślepiony i butny (*ciecamente baldanzoso*), dziwna mieszanina kontrastów, przekazana w spuściźnie, zimny, jak Ferdynand katolicki, a jednak wrażliwy i uczuciowy jak Izabella, nieustraszony i żądny wielkich czynów a znów bierny i jak matka melancholijny, walczył, zwyciężał, a w końcu musiał ustąpić duchowi czasu, któremu nic się nie oprze.“ Ciekawa indywidualność, a studyum nad nią wielce pouczające.

Dziwnie wtedy złożyły się okoliczności. Karol V, składa koronę, powierzając ją Ferdynandowi, który zaczyna rządy od przyznania politycznych praw protestantom. Karol tego nie chciał uczynić, wierny dawnym zasadom. Wierny dawnym zasadom protestuje Paweł IV przeciw złożeniu korony, stając na stanowisku, że papiestwu przysługuje prawo decydowania o koronie cesarskiéj, że zatém bez Rzymu nie można się jéj zrzekać. Paweł IV nie przyjmuje posła Ferdynandowego, przybywającego z obedyencyą. Dziwny to, wysoce charakterystyczny konflikt tych dwóch średniowiecznych potęg, odmienny całkiem od dawnych zatargów: tak Karol V jak Paweł IV działali w imię tych samych zasad konserwatywnych, a jednak byli z sobą niezgodni. Papież chciał zgnieść rewolucyą, wytępić ją choćby najtwardszemi środkami, i cesarz do tego zmierzał; w końcu jednakże przekonał się, że walka niemożliwa. Siła faktów zwyciężyła. Trudno było w całéj pełni utrzymać wielką budowę średniowieczną.

Bronisław Dembiński.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Hermann Oesterley. Wegweiser durch die Literatur der Urkundensammlungen von Hermann Oesterley. Erster Theil. Berlin 1885; zweiter Theil, 1886.

Zbieranie i drukowanie dawnych dokumentów i przywilejów rozpoczyna się w historyografii Europejskiéj bardzo wcześnie, obecnie zaś przybiera zastraszające niemal rozmiary. Gdy się przegląda nowsze prace z dziedziny historyi politycznéj lub historyi prawa, podziwiać przychodzi skrzętnie zebrany materyał, ukazujący się czytelnikowi w postaci niezliczonych cytat, z których każda po kilka lub kilkanaście przytacza tytułów, opracowań historycznych lub zbiorów źródeł. Kto obecnie chce jako fachowy pracownik badać średniowieczne dzieje którego z europejskich narodów, musi najsamprzód przebyć kilkoletnie przygotowanie, polegające w większéj części na obznajmieniu się ze zbiorami dotyczącemi pewnéj epoki, na mozolném szukaniu po wielotomowych publikacyach za najdrobniejszą wskazówką, mającą mu być w danym razie potrzebną.

Główna przytém trudność polega na sposobie, w jaki się obecnie wydaje sporą część źródeł i na niedostateczności, jaką w niejednym kierunku przedstawiają największe nawet biblioteki. Liczba historyków czy to ściśle fachowych, czy téż mniéj lub więcéj wprawnych dyletantów, jest w naszych czasach, zwłaszcza w Niemczech, niezmiernie wielką. Ztąd pochodzi i owa obfitość czasopism historycznych, z których przeważna ilość lokalnéj lub prowincyonalnéj poświęcona historyi, zawiera cały szereg informacyi o źródłach w tém lub owém znajdujących się archiwum, z przytoczeniem nieraz najważniejszych aktów. Pod względem czasopism przewyższy Niemcy niebawem Francya, w któréj rośnie obecnie i z niezwykłém natę-

żeniem się rozwija zapał do poszukiwań dziejowych, manifestując się bardzo licznemi publikacyami ogólnego znaczenia, jakoteż zakładaniem za wzorem Niemców towarzystw historycznych, stawiających sobie za zadanie uprawę dziejów miasta jakiego lub prowincyi. Kwestya zasilania owych czasopism artykułami naukowemi w żaden nie jest ujęta system. Zasadniczo wprawdzie winny czasopisma prowincyonalne umieszczać li tylko do pewnéj prowincyi odnoszące się poszukiwania, ale zaraz zachodzi trudność ścisłego odgraniczenia prac mających interes lokalny od prac szerszego zakroju, i niemożność odrzucenia przysłanéj rozprawy dla tego, że opiera się ona na gruntowniejszém i wszechstronniejszém wyzyskaniu źródeł, a więc jedném słowém, że jest za dobrą. Taką powściągliwością nie odznaczy się chyba żadna redakcya, ztąd też pochodzi, że i w lokalnych czasopismach historycznych znaleść można wiele bardzo rozpraw i publikacyi jaknajszerszy wzbudzających interes. Możnaby zarzucić, że autorom zależeć musi na ogłaszaniu swych prac w bardziéj czytanych, ogólniejszéj treści, historycznych czasopismach. Zapewne; ale pamiętać należy, że większość historyków rekrutuje się z ludzi na chleb zarabiających, w których budżecie poważne zajmuje miejsce i wynagrodzenie za ich literacką działalność. Otóż honorarya, jakie wypłacają redakcye pism niemieckich, bo te, jako bliżéj nam znane, mam przedewszystkiém na myśli, są bardzo rozmaite; a niektóre stowarzyszenia prowincyonalne licznych i szczodrych mające członków lepiéj za artykuły płacą, niż dawne i znakomite czasopisma. Z tych powodów musi historyk z konieczności liczyć się z tą literaturą czasopiśmienną, wytwarzaną w nieustającéj ciągle progresyi przez dawne i nowo zakładające się towarzystwa historyczne. Jak mało jednak bibliotek mających w jakimkolwiek komplecie choć część tych publikacyi. Niektóre z nich są już obecnie rzadkością, i nie znajdują się nawet w zbiorach wiedeńskich lub berlińskich.

Oprócz czasopism ogłaszają towarzystwa prowincyonalne i liczne nieraz tomy źródłowych wydawnictw. Przypominamy wydawnictwa towarzystwa histor. śląskiego, meklemburskiego i t. d. Materyału do tych publikacyi dostarczają przeważnie archiwa miejscowe, które w ten sposób wydają powoli zawierające się w nich skarby na użytek publiczny. Lecz i w tym rodzaju prac historycznych wielka różnorodność panuje. Gdy np. wzorowe wydawnictwa, jak kodeksy dyplomatyczne: meklemburski lub inflancki podają badaczom cały zasób dokumentów z pewnéj epoki ułożony w porządku chronologicznym, przedstawiają inne zbiory przywilejów wielką w wyborze ich i ułożeniu różnorodność. To otrzymujemy dyplomataryusz pewnego klasztoru lub rodziny, to wiązankę aktów objaśniają-

cych pewną kwestyą, to znowu spis tylko i streszczenie mniejszéj lub większéj liczby dokumentów. Zdarza się, że w napisie rozprawy uwidoczniona jest obecność w niéj nieznanych dokumentów, lecz częściéj o wiele ogłasza autor w dodatkach cenne bardzo akty, o których zamieszczeniu z tytułu książki dowiedziećby się wcale nie można. Łatwiéj jeszcze pracującemu w wielkim mieście, gdzie znajduje się uniwersytet lub choćby tylko historyczne jakie towarzystwo, będące z innemi w wymianie publikacyi. Lecz co zrobi badacz zmuszony przebywać stale w małém miasteczku, niemogący nieraz nie już miéć w rękach jakie dzieło, ale ani dowiedzieć się nawet o jego istnieniu. Niektóre czasopisma, jak np. „Mittheilungen des Instituts für oesterreichische Geschichtsforschung" w Wiedniu, „Archivalische Zeitschrift" w Monachium, „Neues Archiv für aeltere Deutsche Geschichte" w Hannowerze, „Bibliothéque de l'Ecole des Chartes" w Paryżu, podają wprawdzie bardzo regularnie sprawozdania z ogłaszanych obecnie zbiorów dokumentów, ale z natury rzeczy uwzględniają one tylko ważniejsze i mogą jedynie obznajamiać historyka z obecną na tém polu działalnością, nie dotykając, chyba wyjątkowo w jakiéj rozprawie, stosunków dawniejszych.

Historyografia średniowieczna została ujęta w bardzo dokładne repertorye, wymienimy tylko pracę Potthasta i przewyższające ją jeszcze dzieło uczonego francuskiego p. Ulysse Chevalier; o zbiorach dyplomatów można się było poinformować chyba w literaturze historycznéj wśród cytat i przypisków. Wielką pomocą stała się dla historyków, dzieje Austryi uprawiających, sumienna książka Kronesa „Grundriss der Oesterr. Geschichte", podająca jak najdokładniejsze wykazy źródeł, a więc w pierwszéj linii i dyplomataryuszów. Dowiedzieć się z niéj można było o zbiorach ogólno niemieckich, ściśle austryackich, czeskich, węgierskich. Ale w dziele Kronesa jest materyał rozczłonkowany według zupełnie innéj myśli przewodniéj, niżby tego wymagała przejrzystość i jasność układu. To téż nie tak łatwo wyszukać na prędce wszystkich do jednego przedmiotu ściągających się publikacyi. Zresztą uwzględnia Krones tylko druki, a, z czego nie można mu robić zarzutu, nie wymienia gdzie się obecnie znajdują orginały przytaczanych przezeń dokumentów. Potrzeba spisania dzieł zawierających dokumenty średniowieczne dawała się już uczuć od dość dawna, równocześnie podnoszono niejednokrotnie konieczność zinwentaryzowania materyału rękopiśmiennego, to jest oryginałów i kopiaryuszów. Pierwsze kroki w tym kierunku uczynili Francuzi; p. Delisle ułożył Bibliografią dyplomataryuszów ogłoszonych we Francyi od roku 1840—1866, a p. Ulysse Robert wydrukował w r. 1878 nietylko Inwentarz ręko-

piśmiennych kartularzy przechowywanych w bibliotekach i archiwach paryskich, ale dał nadto drugą poprawną i do r. 1878 doprowadzoną edycyą Bibliografii Delisla.

Pan Herman Oesterley, którego 2 tomowe obszerne bo blisko 60 arkuszy ścisłego druku liczące dzieło mamy pod ręką, jest pierwszym, który zdobył się na tyle abnegacyi, aby poświęcić kilka lat życia wyszukiwaniu i spisywaniu wszystkich dzieł zawierających dokumenty średniowieczne. W króciutkim wstępie objaśnia nam autor, jakich się trzymał zasad, t. j. że uwzględniał wszystko cokolwiek miało choć jaknajdalszy interes dla historyków a opuszczał tylko luźnie rozrzucone, lokalną jedynie wagę mające akty. Nie mogąc zaprowadzić stałego systemu w grupowaniu swych notatek, trzyma się p. Oesterley raz granic politycznych, raz kieruje się względami językowemi. Nie ogranicza się na drukach tylko, ale o ile to mu z publikacyi wiadome, podaje archiwum lub bibliotekę, w któréj przechowują się odnośne materyały. Ubolewając nad brakiem w bibliotekach niemieckich wydawnictw obcych, uskarża się pan Oesterley na niedostateczność środków, jakiemi rozporządzał, a które nie dozwoliły mu dłużéj pracować w bibliotekach zagranicznych.

Samo dzieło przedstawia nam się w następujący sposób. Część pierwsza, obszerniéjsza (str. 574) poświęcona jest Niemcom, w drugiéj (str. 423) znalazły uwzględnienie Francya (1—186), Włochy (186—283), Hiszpania (283—295), Wielka Brytania (295—368), Skandynawia (368—384), narody Słowiańskie (384—397), Węgry 397—403), Grecya (403—406), Wschód (406—408); ostatnich stron 15 zawiera sprostowania i uzupełnienia do obudwu części.

Część pierwsza znowu rozpada się na dwa oddziały, w pierwszym wyliczone są zbiory ogólne, formularze, listy i publikacye dotyczące wojen krzyżowych, mających poniekąd charakter międzynarodowy; w drugim oddziale zawarty jest spis materyału dotyczącego Niemiec w 5 następujących kategoryach: 1) Zbiory ogólne, 2) Zbiory wyłącznie tylko dokumentów, 3) Dyplomy i listy cesarskie, 4) Ustawy państwowe, 5) Dzieje specyalne w porządku alfabetycznym. Ostatnia ta kategorya jest najważniéjszą, a zarazem i najliczniejszą, wypełnia bowiem w pierwszéj części pracy p. Oesterleya stron 500. W porządku alfabetycznym uwzględnione są nietylko pojedyńcze kraje, prowincye lub biskupstwa ale wszystkie miasta i miasteczka lub nawet wsie, do których dziejów wydrukowaną została pewna grupa dokumentów, lub o których przywilejach wiadomo, że się w tém lub owém archiwum znajdują.

Przy każdéj pozycyi podaje autor najpierw wiadomość o rękopismach, następnie wylicza druki. Niewłaściwie wciągnął p. Oesterley Czechy do części pierwszéj, zamiast uwzględnić je pod rubryką narodów Słowiańskich. Ze stanowiska niemieckiego téż umieszcza zbiory dotyczące Szląska i innych prowincyi w skład Rzeczypospolitéj dawniéj wchodzących, z wyjątkiem Poznania, który umieszczony jest w należném mu miejscu. Drobnych usterek możnaby zarzucić wiele, ale wobec ogromu pracy i prawdziwego pożytku, jaki nauka historyczna odniesie z dzieła historyka wrocławskiego, zbytecznóm i niewłaściwém by było wytykać niedokładności, których w podobném przedsięwzięciu niepodobna zgoła uniknąć. Część ta pierwsza „Przewodnika po zbiorach dokumentów“ stanowi główną zasługę p. Oesterleya, jest ona początkiem do ogólnego zinwentaryzowania archiwów niemieckich, jest najwierniejszym drogoskazem wśród prowincyonalnych zbiorów i całkiém niezbędną pomocniczą książką dla zajmujących się fachowo dziejami średniowiecznemi.

Część druga zasługuje również na uznanie, zwłaszcza o ile dotyczy Francyi, Włoch, Anglii, Skandynawii. Gorzéj wypadły kraje wschodnio- i południowo-europejskie (Grecya). Pan Oesterley wyznaje wprost, że podane co do tych krajów wykazy uważa za dodatki, nie mające pretensyi do dokładności. Gdy się sam tak zastrzega, nie możemy go i my winić, że co do Polski np. najskromniejszych nie zaspokoił nawet wymagań. Prawdę mówiąc, nie jego to wina, bo nie sądzę, aby i który z polskich historyków zdołał tak łatwo sporządzić dokładny wykaz dyplomatycznych naszych skarbów. Przedsięwzięcie p. Oesterleya powinno by zachęcić u nas do wypełnienia luki, któréj co do naszéj literatury historycznéj, dzieło jego nie wypełniło. Nauczeni jednakże doświadczeniem obcem, mogli i powinnibyśmy uczynić nieco lepiéj. Mam tu przedewszystkiém na myśli kwestyą oryginałów i kopiaryuszów. Gdyby wszyscy przełożeni naszych archiwów i bibliotek, lub uczeni w nich pracujący, zechcieli podawać krótkie wiadomości, o zawartych w nich dokumentach, to w bardzo krótkim czasie możnaby ułożyć przegląd wszystkiego, co się u nas bądź w oryginałach, bądź w odpisach dochowało. Nie stoimy pod względem wydawnictw na tym samym stopniu co Niemcy lub Francya dlatego téż ważniejszym byłby dla nas wykaz tego, co do zrobienia pozostaje, niż co dotychczas uskuteczniono. Dla jednego człowieka byłaby to praca za ciężka, zwłaszcza że ciągłych wymagałaby podróży; stosownie rozdzielona, nikogoby nie obarczyła. W każdym przypadku, gdzie rozchodzi się o porozumienie między w różnych stronach mieszkającymi historykami, przychodzi nam ubolewać nad brakiem organu ułatwiającego podawanie do pu-

blicznéj wiadomości drobnych notatek, luźnie zebranych informacyi o rękopismach lub dokumentach. Nie mamy nic podobnego jak „Archivalische Zeitschrift“ lub „Bibliothéque de l'Ecole des Chartes“, co uważam za bardzo szkodliwe dla prawidłowego rozwoju naszéj historyografii. Pracując nad jedną epoką, można przypadkiem znaleść materyał do innéj, a ten się zwykle pomija, bo nie będąc specyalistą, zużytkować go naukowo nie można, a krótkiéj informacyi pomieścić o nim nie ma gdzie. Wielkich dzieł odrazu pisać nie można, nie można téż zajmować się naraz wszystkiém, ale łatwoby było każdą ważniejszą rzecz zanotować i krótką podać o niéj wiadomość, gdyby istniał nadający się do tego organ. Nigdyby p. Oesterley nie był tak wyczerpująco przedstawił bogactwo zbiorów dokumentów niemieckich, na żaden sposób nie byłby zdołał tyle cennych naprowadzić informacyi i wskazówek o oryginałach i odpisach dokumentów, gdyby pracy jego nie były poprzedziły owe historyczne czasopisma, wydawane przez Archiwa lub towarzystwa naukowe. O znaczeniu tych towarzystw dla nauki pomówimy jeszcze innym razem, omawiając wydawnictwa trzech nam najbliższych, t. j. pruskiego, poznańskiego i szląskiego, obecnie zwracamy tylko uwagę, że dopóki szersze warstwy naszego społeczeństwa nie zainteresują się ruchem historycznym i nie użyczą mu swego poparcia, jak to zachodzi w Niemczech i Francyi, dopóty prawdziwa historyografia nie rozwinie się u nas na większą skalę. Wyjdzie jedno lub drugie dzieło wydane kosztem Akademii lub jakiego mecenasa, pojawiać się będą wydawnictwa mało czytane, a nawet i niebardzo komu znane, ale literatury historycznéj, niezależnéj od zapomóg publicznych lub prywatnych nie będzie. Ta zaś rozwinie się nie prędzéj, aż za wzorem naszych zachodnich sąsiadów będzie mieszczanin krakowski z równą gorliwością, jeżeli już nie czytał w całości, to przynajmniéj prenumerował czasopismo przyszłego Towarzystwa historycznego krakowskiego, z jaką popierają usiłowania swych uczonych wrocławscy, niemiecko-poznańscy i królewieccy kupcy i kramarze.

B. U.

Emil Kałużniacki. Die polnische Recension der Magdeburger Urtheile und die einschlägigen deutschen, lateinischen u. czechischen Sammlungen. Wien 1885, str. 217.

Stosunek naszych „Ortylów magdeburskich“ do odpowiednich zbiorów niemieckich, jakoteż łacińskich od niedawna dopiero zajmuje nasz świat uczony. Po starszych bowiem badaczach, jak Wiszniewski i Maciejowski, którzy obracali się pod tym względem więcéj

w dziedzinie hipotez, dopiero profesorowie M. Bobrzyński i A. Brückner skierowali rzecz całą na drogę nauki ścisłéj. Pierwszy uczynił to w krótkim wstępie do przedruku homograficznego tekstu łacińskiego, znajdującego się w bibliotece kórnickiéj p. t. „Ortyle magdeburskie“ (Poznań 1876), drugi zaś w czasopiśmie berlińskiém „Archiv für slavische Philologie“ VI, 319—392; VII, 525—574 p. t. Die „Magdeburger Urtheile“, gdzie obok strony prawniczéj i historyczno-literackiéj po raz pierwszy uwzględniona jest także dokładniéj strona językowa ortylów. Obecnie podjął się téj kwestyi jeszcze raz prof. Kałużniacki, i to głównie ze względu na jéj stronę historyczno-literacką.

Nader obszerna jego praca, któréj tytuł podajemy u góry, mieści się w tomie CXI sprawozdań (Sitzungsberichte) wydziału historyczno-filozoficznego wiedeńskiéj Akademii Um. W pierwszym rozdziale wylicza autor i opisuje siedem rękopisów, zawierających *tekst polski* ortylów, a mianowicie: rękopis Ossolińskich, przemyski, skalski, krakowski, stradomski, Muczkowskiego i wileński. W drugim zastanawia się nad stosunkiem wzajemnym tych tekstów i porównawszy szczegółowo pięć rękopisów, przychodzi do przekonania, że pomimo licznych, mniéj lub więcéj ważnych waryantów, wszystkie te teksty stanowią *jednę recenzyą*, pod względem treści i formy zupełnie jednolitą. Nadmienić jednak należy, że rękopis Muczkowskiego i wileński zna autor tylko z tego, co o nich podali Lelewel, Rzesiński i Wiszniewski. — Najstarszą formę recenzyi polskiéj, która musiała być dziełem jednéj osoby, reprezentuje rękopis Ossolińskich jakoteż przemyski, podczas gdy inne teksty wykazują większe lub mniejsze modyfikacye. O ile dotychczas wiadomo, polski tekst ortylów magdeburskich jest przekładem *z niemieckiego*, dokonanym na żądanie Mikołaja Gołogórskiego, podczaszego lwowskiego około połowy wieku XV. Dlatego zestawia p. K. w trzecim rozdziale swéj pracy nasze teksty *z niemieckiemi*, a zwłaszcza z pilźnieńskim, krakowskim, drezdeńskim, toruńskim, i dwoma nieznanemi dotyczas, z których jeden — tekst Torosiewicza — jest obecnie własnością biblioteki Ossolińskich, drugi zaś—sanocki — znajduje się w lwowskiém archiwum krajowém. Te dwa teksty niemieckie są zdaniem jego najbliższe recenzyi polskiéj, tak, że z nią razem reprezentują one drugą odmianę *pierwszéj* redakcyi niemieckiéj. Przedstawicielem drugiéj redakcyi niemieckiéj jest rękopis drezdeński, trzeciéj toruński, czwartéj berliński i gdański. Daléj zastanawia się p. K. nad stosunkiem polskich tekstów do *łacińskich*, a mianowicie do dwu opatowskich, lwowskiego, do tekstu Działyńskiego, i dwu dotąd nieznanych przemyskich. Teksty te są dwojakiego rodzaju: jeden jest tylko wycią-

giem, drugi zaś może obok czterech redakcyi niemieckich stanowić piątą redakcyą ortylów magdeburskich. Tutaj należy tekst Działyńskiego jakotéż przemyski II.

Następnie zwraca uwagę autor — czego nikt dotąd nie czynił— na teksty *czeskie* ortylów i porównawszy tekst polski podług rękopisu Ossolińskich z czeskim tekstem wiedeńskim, przychodzi do przekonania, że stosunek ich pokrewieństwa nie jest bezpośredni. W czeskim tekście jest niekiedy odmienny porządek artykułów, niektórych brak a inne są nowe, zresztą jednakże w wyrażeniach jest pewna zgoda z tekstem polskim. Tłómaczy to autor w ten sposób, że przekład czeski polega na jakimś tekście, który wyszedł po większéj części z tego samego materyału, co pierwowzór recenzyi polskiéj. A ponieważ tekst czeski najbardziéj się zgadza z niemieckim drezdeńskim, przypuszcza, że polega on na *drugiéj* redakcyi niemieckiéj.

Z tego wszystkiego wynika, że przy wydaniu krytyczném polskich „Ortylów magdeburskich" potrzeba uwzględnić prócz polskich przedewszystkiém teksty niemieckie pierwszéj i drugiéj redakcyi, to jest Torosiewicza, sanocki, pilźnieński, krakowski i drezdeński, jakotéż opracowanie czeskie, w dalszéj zaś linii, a zwłaszcza w miejscach wątpliwszych trzeba się radzić reszty tekstów niemieckich jakotéż łacińskich.

W zakończeniu streszcza p. K. rezultat swych badań i podaje nową klasyfikacyą wszystkich dotychczas znanych tekstów, odmienną od téj, jaką podał Bobrzyński. W klasyfikacyi téj znaczną grają rolę listy przysięgłych (Schöffenbriefe), które powstały na zapytania z Krakowa lub z Wrocławia. Wobec wybornéj pracy Brücknera zaniechał p. K. zająć się stroną językową ortylów i zrobił bardzo dobrze. Poprzestając więc na wzmiance niniejszéj, polecamy tę staranną i nader mozolną pracę uwadze naszych historyków literatury jakotéż prawników.

Wiedeń 5 kwietnia 1886. *Jan Hanusz.*

— Najobszerniejszy zabytek języka polskiego z wieku XIV-go, p. t. **Psałterz floryjański** w ostatnich czasach doczekał się i należytego wydania krytycznego i naukowego opracowania. Wzorowe wydanie całkowitego pomnika przygotował i ogłosił prof. *Wł. Nehring* w r. 1883 w Poznaniu, opatrzywszy tekst licznemi uwagami i pożądanym na końcu dzieła słownikiem wyrazów dawnych, w tekście użytych. Jednocześnie prawie pracę nad językiem Psałterza flor. wykonał dr. *Leciejewski*, obecnie docent językoznawstwa słowiańskiego w uniwersytecie wiedeńskim. Pod ogólnym tytułem

Die Sprache des polnischen Theils des Florianer Psalters drukował ją autor w czasopiśmie „Archiv für slavische Philologie“ *Jagića* w znacznych odstępach czasu. Część 1-sza (rozprawa na stopień doktora fil.), zawierająca opracowanie głosowni (I, Lautlehre), wyszła w roku 1882 w tomie VI Arch. (str. 495—548). W tym systematycznie przedstawionym obrazie spotykamy wszystkie niemal właściwości polszczyzny wieku XIV-go i wcześniejszéj. Roztrząsania i wywody autora są wogóle ściśle naukowe; niektórych wszakże jego mniemań za niewątpliwe przyjmować nie można. Tak np. mówi autor, że nasze *rz* (ř) w języku wieku XIV miało brzmienie *rż* (str. 541), gdy tymczasem sposób pisania *rsz* (otworszycze, w morszu...), na którym to mniemanie opiera, wobec znanéj niedokładności i niekonsekwencyi ówczesnéj pisowni, jest do podobnego wniosku zupełnie niewystarczającym. Wartość fonetyczna znaków *rsz* nie była odmienną od dzisiejszego i ówczesnego *rz* (=ř).—Część 2-ga pracy, przeznaczona wykładowi form języka psałterza (II, Formenlehre), ogłoszona była w r. 1884 w tomie VII Archivu str. 74—95) i 1885 (str. 256—274). W części téj zajmuje się autor tylko formami słów, znajdujących się w psałterzu (74—95) i ich konjugacyją (256—274); pominął zaś formy deklinacyjne, gdyż pracę taką poprzednio ogłosił dr. *Jan Hanusz* w dziele: „Materyjały do historyi form deklinacyjnych w języku staropolskim. Wiek XIV i XV),“ w Krakowie 1880 r. Pominął téż dr. Leciejewski i naukę o tematach, ze względu, że odnośny materyał znajduje się zgromadzony i abecadłowo uporządkowany w poprzednich pracach Nehringa, a m. w słowniku, umieszczonym przy wydaniu Psałterza flor. z r. 1883, tudzież w dawniejszéj monografii „Iter florianense O psałterzu floryjańskim“ z r. 1871.—Całe studyum d-ra Leciejewskiego jest pracą pouczającą i przy badaniu dziejów polszczyzny wartości niepowszedniéj.

═ **Wstąpienie na tron polski Kazimierza Jagiellończyka**, *przez D-ra Anatola Lewickiego. Kraków 1885.* Krótka ta, ale bogata co do treści rozprawka wyjaśnia na podstawie nowo odkrytych materyałów archiwalnych układy pomiędzy Polską a Litwą o Podole i Wołyń w chwili powołania Kazimierza Jagiellończyka na tron polski. Autor znalazł w Bibliotece ks. Czartoryskich w Krakowie nieznany dotąd dokument spisany prawdopodobnie na zjeździe panów litewskich i polskich w Brześciu i Parczowie z r. 1446, w którym ze strony Polski odstąpiono Litwie Wołyń i Podole. O fakcie tym zupełnie dotąd nie wiedzieliśmy, owszem, na podstawie opowiadania Długosza przypuszczaliśmy, że kwestya o sporne kraje nie została na tymże zjeździe stanowczo załatwiona, że Litwa, która przez dwa lata występowała z ciągłemi pretensyami o stanowczą inkorporacyą

obu tych krajów, na tymże zjeździe ostatecznie ustąpiła, zadowalniając się ogólnikowém, nic nie znaczącém przyrzeczeniem ze strony Kazimierza Jagiellończyka, że sprawę tę będzie się starał odpowiednio załatwić. Odkrycie d-ra Lewickiego, stawia kwestyą w zupełnie nowém świetle; gdy dawniéj dalszy spór Litwy z Polską o Wołyń i Podole trwający aż do unii lubelskiéj uważaliśmy tylko za kontynuacyą niezałatwionéj poprzednio sprawy, to obecnie przedstawić się on musi jako walka o spełnienie zawartego traktatu, który ze strony Polski nie został wykonany. Takie pojmowanie rzeczy tłómaczy wiele dotąd ciemnych i niewyjaśnionych wypadków z najbliższych lat po wstąpieniu Kazimierza Jagiellończyka na tron polski, zwłaszcza zaś opór króla w zatwierdzeniu przywilejów państwa, z któremi łączono także kwestyą Wołynia i Podola. Rozprawka d-ra Lewickiego prostuje i uzupełnia nadto jeszcze kilka innych szczegółów i to znowu na podstawie nowo odnalezionego materyału archiwalnego Wykazuje mianowicie autor, że na wspomnianym zjeździe brzesko-parczowskim delegaci polscy mieli zupełne pełnomocnictwo do traktowania z Litwinami, nie zaś, jak dotąd na podstawie Długosza przypuszczaliśmy, że działali bez pełnomocnictwa. W końcu wyjaśnia on, że w chwili rokowań o powołanie Kazimierza na tron polski stosunek między Koroną a Litwą zaostrzył się bardzo znacznie, że mianowicie Litwa robiła wtedy starania o związek z Zakonem krzyżackim celem zapewnienia sobie skutecznéj pomocy na wypadek wojny z Polską.

= **Čelakovsky J. Codex iuris municipalis regni Bohemiae.** *Tomus I: Privilegia civitatum Pragensium. Sbirka pramenu práva městského království Českého. Dil I. Privilegie měst Pražských. Praga 1886. 8⁰. CLXVI. 811.* — Niniejszy tom rozpoczyna wydawnictwo na szerokie zakrojone rozmiary, mające objąć wszystkie zabytki prawa miejskiego obowiązującego niegdyś w Czechach (w ścisłém tego słowa znaczeniu, z wyłączeniem Morawii). Według programu, który wydawca przedkłada, objąć ma: tom 2 przywileje innych miast królewskich, tom 3 przywileje miast kameralnych, tom 4 przywileje miast poddańczych, tom 5 statuta i układy gmin praskich tom 6 takież statuta innych miast, tom 7 ortyle sądu wyższego Starego Miasta praskiego, tom 8 ortyle wyższego sądu magdeburskiego i litomierzyckiego, tom 9 ortyle innych sądów wyższych, tom 10 przywileje i ważniejsze dokumenta cechów praskich, tom 11 takież materyały odnoszące się do historyi cechów innych miast, tom 12 księgi prawne miejskie, które w Czechach miały zastosowanie, tom 13 ważniejsze ustawy i rozporządzenia panujących i wyższych władz, tudzież orzeczenia sądów w sprawach miejskich, tom 14 pomieścić ma wreszcie

rozmaite materyały, które poprzedniemi tomami objąć się nie dały.— Tom pierwszy, który mamy przed sobą, obejmuje przywileje wydane dla rozmaitych części dzisiejszéj Pragi, mianowicie zaś dla Starego i Nowego Miasta, dla t. z. Mala Strana (Kleinseite) i dla Hradczan. Wydawca uwzględnia tu nie tylko materyały średniowieczne, jak to się zwykło dziać w innych tego rodzaju publikacyach, ale prowadzi je aż do czasów najnowszych. Badania nad dziejami Pragi znajdą tu cenne źródła do zużytkowania. Nadto podaje wydawca jeszcze we wstępnym niejako oddziale pierwszego tomu przywileje, dotyczące *wszystkich* miast czeskich. Materyał do wydawnictwa tego tomu zaczerpnął on przeważnie z archiwów miejskich mianowicie zaś archiwum miejskiego w Pradze, gdzie jednak dokumenta w znacznéj części zachowały się tylko w kopiach lub późniéjszych zatwierdzeniach; pierwotne oryginały poginęły w znacznéj części już to zniszczone czasem już téż wśród rozmaitych ciężkich przejść, jakim Praga w ciągu dziejów podlegała. Restytucya tekstu pierwotnego sprawiała tedy niejednę trudność, z któréj wydawca wywiązał się szczęśliwie, jak wogóle całe wydawnictwo odznacza się znajomością najnowszych zasad metody i krytyki. Dokumenta pisane w języku łacińskim i niemieckim drukuje Čelakovsky całkiem wiernie według zachowanych źródeł; natomiast czeskie, pochodzące przeważnie z czasów późniejszych podane są częstokroć w transkrypcyi. We wstępie do wydawnictwa, obejmującym sto kilkadziesiąt stron, zasługuje na uwagę historya uprzywilejowania wspomnianych poprzednio części składowych Pragi, gruntownie i umiejętnie napisana, w któréj autor wypowiada zarazem nowe a nader ważne spostrzeżenia o czasie powstania najdawniejszych przywilejów praskich.

= **Eliza Orzeszkowa**. *Powieści wiejskie.* **Niziny** (*z ilustracyami E. M. Andriollego. Warsz. 1886 str. 220*). Głębokie odczucie nieszczęść i cierpień ludu w połączeniu z dokładną znajomością obyczajów, zwyczajów, wyobrażeń i nawyknień wiejskich na Białorusi, jak niemniéj z wielkim talentem pisarskim złożyły się na utworzenie książki pięknéj i głęboko wzruszającéj, którą nas obdarzyła znakomita autorka. Znaliśmy trochę Białoruś etnograficznie, znaliśmy ją w „fantastycznych obrazach“ Barszczewskiego, teraz mamy sposobność przypatrzenia się jéj zblizka w życiu codzienném, z realnéj strony pochwyconém i świetnie oddaném. Rzecz-to znana, że p. Orzeszkowa umie dobrze patrzéć oraz silnie wrażenia swoje malować; w odwzorowaniu objawów życia zachowuje przedmiotowość o tyle, że własnemi uwagami i wskazówkami nie chce narzucać swego zdania o ludziach i wypadkach opisywanych, ale pragnie, żeby same te wy-

padki i sami ci ludzie przemawiali za siebie. Powtóre przedmiotowość ta polega na tém, iż autorka nie naciąga osnowy zdarzeń i charakterów ludzkich do zgóry powziętego założenia, ale artystyczném odtworzeniem ich z całą wiernością wywołuje w czytelnikach zamierzone wrażenie. Oczywiście autorka nie może się pozbyć swego usposobienia i pozbyć się go nie potrzebuje; ono bowiem nadaje właściwą, oryginalną fizyonomią jéj utworom. Satyrycznie nastrojoną względem objawów życia ujemnych, głęboko uczuciową jest względem biednych i uciskanych. Stąd w przedstawieniu ludzi, których lekceważy lub którymi pogardza przebija się bardzo często ironia prowadząca niekiedy aż do przeciągnięcia pewnych rysów w karykaturę; w przedstawieniu zaś osób sympatycznych wielkie staranie o to, ażeby ich ani na chwilę nawet nie uczynić śmiesznemi. P. Orzeszkowa nie fałszuje jednak natury w skutek takiego usposobienia; nie podaje ani jednego rysu, któregoby w danym charakterze być nie mogło, owszem nie pomija takich, które uwydatniają np. brak rozgarnięcia, a nawet głupotę i zaślepienie osób przez nią spółczuciem otoczonych; ale posiadając w talencie swym doskonałą miarę tego, co bez szkody dla artyzmu powiedziéć a co zamilczeć wypada, takiemi okolicznościami i w takiém oświetleniu owe wady i usterki ukochanych maluje, iż one świadcząc o realistycznym sposobie odtwarzania objawów życia, równocześnie budzą w sercu czytelnika szeregi uczuć poważnych i głębokich, które nie dozwalają patrzéć z góry i lekceważąco na cierpienia biednych a ciemnych ludzi. Przejmując się sposobem wyrażania swych uczuć przez lud, autorka zachowuje go nie tylko w mowach i rozmowach samego ludu, ale i w tych ustępach, gdzie wprost opowiada tylko; wówczas opowiadanie, jako mowa uboczna, przemienia się w przeciągły lament, z wyobrażeń i uczuć w formie ludowéj wysnuty. Oto ta matka—dziewka, będąca główną w „Nizinach“ osobą, żyjąca tylko dla dwu synów swoich, dla téj miłości macierzyńskiéj znosząca wszystko z wytrwaniem niemal nadludzkiém, wyobraża sobie nieszczęście, jakie ma spotkać jednego z nich, Pilipka wziętego w rekruty. Wyobrażenia te są jéj poddane przez wysłużonego żołnierza, dobrego człowieka w gruncie, ale utrzymującego rodzinę głównie z wyzyskiwania włościan do spółki z pokątnym doradcą. Kobieta nie zna tego świata, w który ma pójść Pilip, lecz słowa przez żołnierza wyrzeczone wpadłszy do jéj wyobraźni, pod wpływem silnego uczucia przetwarzają się na szereg obrazów okropnych: „A on idzie szerokim światem, cudzym światem, idzie sołdacik młody, bladzieńki i jak topola smukły, z oczyma do kwiatów lnu podobnémi... Trąba go woła a on idzie... Ojca nie znał, ale na matkę ogląda się i mówi:

„Nie ratowaliście mnie. mamo, oj nie ratowaliście mnie sieroty, ojca nieznającego! A ot i wrony i kruki czarne chmurą zawiesiły się nad mogiłką daleką, nad mogiłką żółtą, bez krzyżyka i trawki. Zawiesiły się chmurą wielką wrony i kruki czarne nad mogiłką bladzieńkiego chłopca, sołdacika młodego, i kraczą, kraczą, kraczą. A trąba żołnierska gra i gra. gra i gra... do matczynego serca ona gra... „Oj przemień się ty, matko, w kruka albo wronę i leć na skraj świata, nad mogiłką syna swego zakrakać: Wieczne odpocznienie!..“ (str. 162. 163). Sytuacya jest w wysokim stopniu wzruszająca a słowa pełne poezyi; zrobiłbym tylko uwagę, że przez nadużycie takiéj formy może się wyrodzić nowy rodzaj sentymentalności. Wypadłoby chyba zachowywać ton i formę ludową w tém, co osoby z ludu mówią; w streszczeniu zaś ich opowiadania przez autora lepiéj podobno zachować więcéj właściwości autorskich. — O rysunku i plastyce charakterów nie potrzebuję się tu rozszerzać; czytelnicy *Ateneum* poznać mogli zalety twórcze Orzeszkowéj z niedawno drukowanéj powieści „Dziurdziowie“ wziętéj równie jak „Niziny“ z życia ludowego na Białorusi. Oprócz postaci ludowych, Krystyny, Mikołaja i innych wyborną osobą jest pokątny doradca, uchodzący wśród ludu ze sławnego i wpływowego „hadwokata“, Kaprowski, pasorzyt żyjący potem biednych wieśniaków, których zapośrednictwem ekszołnierza Mikołaja wyzyskuje pobudzając do procesów, obiecując uwolnienie od wojska itp. Dobry też obrazek przedstawia rodzina ekonomska Bahrewiczów, z których sam ekonom uwiódł niegdyś Krystynę, a potém dostał się pod ciężkie i dotkliwe jarzmo żony, kobiety ordynarnéj ale wysoko o swoim rodzie trzymającéj. Pożycie małżonków, romans Kaprowskiego z córką ich Karolką, stosunki rodzinne nadzwyczaj prawdziwie i plastycznie odmalowane.

= **Objaśnienie działalności politycznych Adama Mickiewicza w r. 1848**, *skreślił Karol Rogawski* (*Lwów, nakł. wydawcy, 1886, str. 22*). Kiedy w listopadzie 1848 r. Ludwik Nabielak i Karol Rogawski wybierali się z Paryża do Galicyi, ażeby uczestniczyć w ówczesnych wypadkach, Mickiewicz myślą zjednoczenia Słowiańszczyzny zajęty dał im list do Wacława Hanki, wyrażając nadzieję, że oddawcy takież zbudzą w patryocie czeskim zaufanie, jakie posiadali u niego samego. „Służymy razem sprawie narodowéj—pisał do Hanki—która teraz większy zakres obejmując, staje się sprawą wszystkich współ-słowian, powołanych do jednego dzieła wolą bożą. O wypadkach, których już dożyliśmy i które nas jeszcze czekają, porozumiewajmy się i zasilajmy siebie bratnią radą.“ Gdy Nabielak i Rogawski przyjechali do Drezna, 19 listopada, było to już po wzięciu obleganego poprzednio przez ks. Windischgrätza Wiednia, po ogłoszeniu

wszędzie stanu oblężenia. wśród zaciętéj reakcyi politycznéj i zupełnie zmienionego położenia rzeczy w całéj Austryi. Rozpatrzywszy się tedy dokładnie w stosunkach owoczesnych, zaniechali zamierzonéj podróży do Pragi w celu porozumienia się z Hanką, a list Mickiewicza pozostał w ręku Rogawskiego. List ten złożony przezeń w bibliotece Akademii umiejętniości w Krakowie, obecnie znajduje się już wydrukowany w 4-tym tomie korespondencyi Mickiewicza (Paryż, 1885, str. 134, 135). P. Rogawski objaśnia jego znaczenie przytoczeniem myśli Mickiewicza o legionach, powołaniem się na odczyty o literaturze w kolegium francuskiém, na zdania Cavoura. „Ku końcowi m. października 1848 — powiada—legion polski w Piemoncie, kołatany ludzkiemi niesnaskami zwolna marnieje, ale myśl epoki czynu w owych czasach tkwi, może i potężnieje w duszy i silnéj Mickiewicza woli. Ruchliwość i rzutkość myśli jego, w różnych kierunkach do jednego dążących celu, nie dają mu spoczynku. Ogólny ruch umysłów w zachodniéj Słowiańszczyźnie pod on czas, Jelaczyc stojący pod Wiedniem jako słowiański bohater dnia: oto prawdziwy klucz do zrozumienia chęci zawiązania ścisłych politycznych stosunków z Czechami i do napisania polecającego listu do Hanki z datą 7 listopada 1848 r.“ Przyszłość Austryi upatrywał Mickiewicz podobnie jak Cavour, zdaniem p. R., w jéj zesłowiańszczeniu; a dla swego narodu szukał oparcia na zachodniéj słowiańszczyźnie, szczególniéj zaś na zbrataniu się z Czechami. Wyprzedził on tylko, jak powiada p. Rogawski „chwilę swojego czasu, będącą dopiero teraz w początku politycznéj akcyi.“ Takie są główne myśli téj interesującéj broszury.

= **Projekt nowego opracowania „Pana Tadeusza“** *napisał Antoni Bądzkiewicz* (*Lwów 1886, str. 15, odbitka z „Muzeum“*).—Ze względu na nadzwyczajną ważność formy w utworach piękna, ze względu na znaczenie języka w sprawie odtworzenia sobie cywilizacyjnego obrazu narodu, autor proponuje wszechstronne opracowanie „Pana Tadeusza“ pod względem gramatycznym, stylistycznym, wierszopisarskim i leksykalnym. P. Bądzkiewicz w 11-stu punktach wymienia szczegółowo, jakieby kwestye w takiém opracowaniu podjęte i rozpatrywane być mogły. To rozdrobnienie kategoryi może być pożyteczném w praktyce, zwraca bowiem uwagę na pytania, które przy bardziéj ogólnikowém przedstawieniu zadania mogłyby być pominięte; w teoryi jednak potrzebny jest rozkład pracy ścisły. Pozwalamy więc sobie punkta przez autora podane zredukować do 4 głównych: 1° *Kwestye gramatyczne.* Jakie są w „Panu Tadeuszu“ formy przestarzałe lub wogóle odstępujące od ogólnie przyjętego literackiego języka czy to we fleksyi, czy w urabianiu wyrazów (etymolo-

gii), czy w składni. Układ zdań; budowa okresów i mowy ucinkowéj; układ mowy dyalogicznéj; określenie wad i zalet tych trzech sposobów powiązania myśli; uwagi o rządzie i szyku wyrazów w zdaniach. 2° *Kwestye stylistyczne*. Stosunek biegu myśli do toku mowy; akcentowanie logiczne i harmonia stylu wogólności; ozdobność mowy i jéj stosunek do zwykłego sposobu wyrażania się; wyszczególnienie wszystkich używanych w „Panu Tadeuszu" postaci i przenośni, wraz z objaśnieniem porównawczém tychże ozdób w innych utworach Mickiewicza, a głównie z uwzględnieniem wpływu zarówno grecko-łacińskiéj jak i wschodniéj ornamentyki języka. Wykaz wydatniejszych, zwłaszcza oryginalnych zwrotów mowy czyli frazeologii. 3° *Kwestye wierszopisarskie*. Budowa wiersza i liczne odstąpienia od jej poprawności z wyjaśnieniem powodów, dla których były robione; budowa rymów; rytmika. 4° *Kwestye leksykalne* są przez p. Bądzkiewicza najszczegółowiéj przedstawione; widocznie pierwsza myśl opracowania „Pana Tadeusza" ze strony formalnéj zrodziła się z rozmyślania nad zasobem wyrazów w nim użytych. Proponuje więc autor ułożenie dokładnego słownika wyrazów zawartych w „Panu Tadeuszu" z uwzględnianiem pytań, ile Mickiewicz użył: *a*) wyrazów swojskich, a ile cudzoziemskich i z jakich mianowicie języków; *b*) jakiemi przeważnie wyrazami lubił się posiłkować, czy pierwotne, czy pochodne przeważają, jakie miejsce zajmują wyrazy zgrubiałe a zwłaszcza zdrobniałe; *c*) jakie prowincyonalizmy wprowadził; *d*) jakie wyrazy „nowotne" utworzył, a jakie stare (archaiczne) wskrzesić się starał; *e*) jakie synonimy i homonimy u niego znajdujemy. — Wszystkie powyższe kwestye mają być roztrząsane i objaśnione jak można najwszechstronniéj; gdzie potrzeba zapytać się mitologii, etnografii, historyi, ma się w naukach tych szukać odpowiednich wskazówek. Uwagi p. Bądzkiewicza uważamy za trafne, a projekt jego za zasługujący na urzeczywistnienie i na gorące poparcie; sądzimy tylko, że ażeby wynik pracy był naprawdę owocny, potrzeba koniecznie zastosować metodę porównawczą. Wykaz czy to wyrazów, czy to zwrotów mowy znajdujących się w „Panu Tadeuszu" będzie niewątpliwie ciekawy sam przez się, ale nauczającym wówczas się stanie naprawdę, gdy obok niego postawimy podobny wykaz ze wszystkich utworów Mickiewicza poprzedzających „Pana Tadeusza", albo téż odpowiedni wykaz z pewnéj grupy utworów Słowackiego; w pierwszym razie poznamy stosunek dawniejszéj do późniejszéj twórczości naszego wieszcza, w drugim razie stosunek twórczości dwu poetów tak od siebie różnych. Wnioski z takiego zestawienia będą mogły być szersze aniżeli z prostego inwentarza. Praca jest większa, ale obiecuje żniwo obfitsze.

= **Konstancya Skirmuntt. Dzieje Litwy** *opowiedziane w zarysie, z 3-ma mapami. (Kraków, w księgarni G. Gebethnera i S-ki. 1886, str. VII, 151).* — Jest-to książka do nauki dla młodzieży; wymagania więc względem niéj powinny być natury pedagogicznéj. Autorka zna obecny stan badań nad przeszłością Litwy i umie z obrobionego już materyału dość dobrze korzystać, pisze jasno, daje rozkład rzeczy przejrzysty, prawie zawsze mówi przystępnie dla umysłów młodocianych. Przedstawiwszy położenie geograficzne, pochodzenie narodu, mowę, sposób życia, mitologią i wyliczywszy plemiona sąsiednie, rozpatruje dzieje Litwy w 4 okresach, z których pierwszy obejmuje „czasy najdawniejsze do wstąpienia na tron Mendoga", drugi—czas „Litwy wzrastającéj" od Mendoga do Gedymina, trzeci—czas „Litwy podbijającéj od Gedymina do przyjęcia wiary chrześciańskiéj przez Jagiełłę, czwarty wreszcie opowiada o Litwie w połączeniu z Polską od Jagiełły do śmierci Zygmunta Augusta. Przy końcu książki podane są: „Pytania z historyi litewskiéj", „chronologia wielkich książąt litewskich", „Geografia dawnéj Litwy." Trzy mapy, zastosowane do materyału zawartego w książce, bardzo dobrą stanowią pomoc przy nauce. Niektóre szczegóły, mianowicie z historyi wewnętrznéj powinnyby były zostać objaśnione; wzmianka o Zniczu, że go „późniéj" tak nazwano nie jest wyraźna; potrzeba to było trochę dokładniéj przedstawić; w mitologii wogóle znajdą niewątpliwie usterki lingwiści; ale ogół podręcznika przedstawia się dobrze i na polecenie publiczności zasługuje.

= **Die italienischen Künstler der Renaissance in Krakau.** Pod tym tytułem p. Maryan Sokołowski, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, napisał w roku zeszłym bardzo zajmującą rozprawę, drukowaną w sztutgarckiém „Repertorium für Kunstwissenschaft", w któréj skupił i umiejętnie ugrupował źródłowe wiadomości o pierwszych przejawach „odrodzenia" w dziedzinie sztuki na ziemi naszéj i o dalszym tego ruchu rozwoju. Praca ta zwróciła na się uwagę specyalistów na zachodzie, a „Gazette des Beaux-Arts, Courrier Européen de l'Art et de la Curiosité", w zeszycie grudniowym r. z. (T. XXXII, 342 livraison) podała ją w tłómaczoném streszczeniu. Takie uznanie ze strony głównego dziś organu sztuki francuskiéj jest najwymowniejszą dla naszego autora pochwałą, Francuzi bowiem położyli niemałe zasługi na polu dziejów sztuki i estetyki, a gust artystyczny rzadko ich kiedy zawodzi. Inaczéj jednak jest z geografią. Lubo słynny geograf E. Réclus pisze po francusku, ziemioznawstwo mało ma powodzenia nad Sekwaną; nie bardzo się téż dziwimy, że streszczenie pracy mówiącéj o Polsce, a w szczególności o Krakowie, nosi zabawny napis: „Le mouvement des arts en Allemagne:" W ten

sposób „Gazette des Beaux-Arts“ usprawiedliwiła swój tytuł kuryera nietylko sztuki, ale i... kuryozów.

— P. Ad. Patera w jednym z rękopisów biblioteki kapitulnéj u św. Wita w Pradze znalazł **starodawną pieśń polską** „Przez twe świante zmartwychwstanie“, znaną z kancyonału Przeworszczyka, ale z pewnemi odmiankami. Obecnie p. K. Konràd podaje w „Slovanskym Sborniku“ (zeszyt z kwietnia r. b.) obszerniejszą o téj pieśni wiadomość, załączając nuty w transkrypcyi dzisiejszéj. Pismo pochodzi z wieku XV, ale ortografia pozwala przypuszczać, że jest to kopia z oryginału, który do XIV wieku odnieść można. Byłoby pożądanem, żeby „Echo muzyczne“, jako organ specyalny, któremu dzieje naszéj muzyki nie są obojętne, upowszechniło w przekładzie zajmujący artykuł pana Konràda.

— Wyszedł z druku zeszyt 76 **„Słownika geograficznego“** zawierający z większych artykułów: *Nowochwastów*, *Nowogród* (wołyński, siewierski, wielki), *Nowoserbia*, *Nowosiołki*, *Nowydwór*, *Nowy Targ*, *Nur*, *Obczyna*.

NEKROLOGIA.

† **Błotnicki Hipolit,** rodem z Litwy, guwerner Juliusza Słowackiego, znany około roku 1820 w Wilnie wierszopis pomieszczający utwory swoje w „Dzienniku“ i „Tygodniku Wileńskim“; późniéj występował jako tłómacz powieści (Goldsmitha, Klaurena); w r. 1831 wydalił się do Francyi; podobno przetłómaczył historyą Herodota. Umarł w początkach miesiąca marca r. b.

† **Kazimierz Stadnicki,** urodzony r. 1818, umarł w początkach kwietnia r. b. we Lwowie. Uniwersyteckie wykształcenie odebrał w Wiedniu, gdzie otrzymał stopień naukowy doktora obojga praw. Oddał się następnie studyom historycznym i ogłosił szereg nader cennych dzieł, a mianowicie: „Piasty“ (Paryż 1842), „Synowie Gedymina“ (Lwów, 1849—53, dwa tomy; drugie wydanie w Krakowie 1875—1881), „Bracia Władysława Jagiełły Olgierdowicza“ (Lwów, 1867); nadto kilka opracowań heraldycznych dotyczących swego rodu („Rodowody domu Stadnickich herbu Szreniawa“) i t. p.

† **Adam Rogalewicz,** nauczyciel gimnazyalny, zmarł w końcu kwietnia r. b. w Warszawie. Ułożył „Przewodnik dla garbarzy“ 1862, Warsz., stanowiący jeden z tomów „Biblioteki rzemieślnika polskiego“, wydawanéj przez ks. Tadeusza Lubomirskiego.

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

CESARSKI WARSZAWSKI UNIWERSYTET.

WARUNKI
OGŁOSZENIA KONKURSU
I PRZYZNANIA NAGRODY
Imienia Adama Chojnackiego,
za dzieła z zakresu medycyny naukowéj i popularnej.

§ 1. Kapitał żelazny nagrody A. Chojnackiego, wynoszący 9,000 rs., zostaje w rozporządzeniu Cesarskiego Warszawskiego Uniwersytetu.

§ 2. Nagroda A. Chojnackiego w ilości 900 rs., powstała z dwuletniego procentu od kapitału, przyznaje się co dwa lata: w pierwszém dwuleciu za najlepsze dzieło z zakresu medycyny lub chirurgii, ściśle naukowe, któreby się przyczyniało do rozwoju nauki, w następném zaś dwuleciu za najlepsze dzieło téjże treści, przystępne dla ogółu (popularne).

§ 3. Na konkurs przyjmują się tylko oryginalne dzieła, rękopiśmienne lub drukowane. Z dzieł drukowanych będą przyjęte tylko te, które zostały wydane w przeciągu każdego czteroletniego peryodu konkursowego. Dzieła powinny być pisane w języku rosyjskim. Dzieła, przedstawiane w rękopisie, powinny być pisane wyraźnie i czysto.

§ 4. O nagrodę mogą się ubiegać tylko rosyjscy poddani. Nagroda nie może być w żadnym razie podzieloną między autorów dwóch lub kilku dzieł.

§ 5. W razie, jeżeli żadne z dzieł, przedstawionych na konkurs, nie będzie uwieńczone nagrodą, takowa zostanie przelaną do funduszu stypendyalnego.

§ 6. Rzeczywiści członkowie fakultetu medycznego Cesarskiego Warszawskiego Uniwersytetu nie mają prawa ubiegania się o nagrodę. Nagroda może być wypłacona tylko autorowi lub jego prawnym spadkobiercom, w żadnym zaś razie wydawcy nagrodzonego dzieła.

§ 7. Termin nadsyłania dzieł na konkurs zaczyna się 1 Kwietnia 1886 roku. Przysądzenie zaś nagrody odbywać się będzie w roku 1888 i następnie w 1890, 1892 i t. d. Pierwsza nagroda przyznaną będzie dziełu ściśle naukowemu, następnie zaś dziełu popularnemu i t. d. po kolei.

§ 8. Dzieła, ubiegające się o nagrodę, powinny być nadsyłane do fakultetu medycznego Cesarskiego Warszawskiego Uniwersytetu nie późniéj niż 1-go Kwietnia tego roku, w którym nagroda ma być przyznana.

§ 9. Nagrodę przyznaje fakultet medyczny Cesarskiego Warszawskiego Uniwersytetu, wybierając w tym celu ze swego łona komisyą dla oceny dzieł nadesłanych na konkurs. Oprócz tego fakultet medyczny stosownie do woli testatora, zaprasza do udziału w komisyi trzech znanych z nauki wolnopraktykujących lekarzy.

§ 10. Komisya do oceny dzieł nadesłanych na konkurs nie jest stałą, lecz za każdym poszczególnym razem wybieraną będzie przez fakultet.

§ 11. Zaproszeni nadzwyczajni członkowie korzystając z praw zwyczajnych członków komisyi, jednakże prezydującym w komisyi może być tylko członek fakultetu medycznego. Prezydujący wybiera się w pełném posiedzeniu komisyi.

§ 12. Ponieważ jest jedna nagroda i takowa w żadnym razie nie może być podzieloną, przeto komisya przedstawia do nagrody tylko jedno dzieło. W razie równości głosów w komisyi na korzyść dwóch dzieł, za polecone do nagrody uważaném będzie to dzieło, za którém dał głos prezydujący komisyi.

§ 13. Raport komisyi i jéj wniosek będą czytane na posiedzeniu fakultetu i takowy na następném posiedzeniu ostatecznie decyduje o przyznaniu nagrody.

§ 14. Przyznanie nagrody na posiedzeniu fakultetu odbywa się przez balotowanie, przyczém wymaganą jest prosta większość głosów wszystkich członków fakultetu obecnych na posiedzeniu. Decyzya fakultetu przedstawia się do zatwierdzenia radzie uniwersyteckiéj.

§ 15. Wynik konkursu podaje się do wiadomości publicznéj przez ogłoszenie w gazetach.

§ 16. Nagroda wypłaca się autorowi lub jego prawnym sukcesorom w dniu 11 (23) grudnia.

§ 17. Wybór języka, w którym ma być ogłoszone dzieło, nagrodzone w rękopisie, pozostawia się uznaniu autora.

§ 18. Nagroda za drukowane dzieło wypłacona będzie autorowi lub jego prawnym spadkobiercom 11 (23) grudnia po uprzedniém nadesłaniu do uniwersytetu 150 egzemplarzy, dla rozdania takowych profesorom i wykładającym w Cesarskim Warszawskim Uniwersytecie, tudzież dla wymiany z innémi instytucyami naukowemi.

§ 19. Jeżeli nagrodą będzie odznaczone rękopiśmienne dzieło i jeżeli takowe będzie ogłoszone nie w rosyjskim języku, to nagroda będzie wypłaconą dopiero po zaświadczeniu fakultetu medycznego, że przekład dzieła jest dobrym i dokładnym. Rękopis tego zaświadczenia powinien być przedstawiony radzie uniwersyteckiéj, nie późniéj niż w ciągu trzech miesięcy po nadesłaniu wydrukowanego dzieła.

§ 20. Jeżeli dzieło w rękopisie uwieńczonego nagrodą w skutek jakichkolwiek przyczyn, nie będzie nadesłane do Uniwersytetu po wydrukowaniu, w 150 egzemplarzach do 11 (23) grudnia, to w dniu oznaczonym ogłasza się w miejscowych gazetach o przyznaniu nagrody, sama zaś nagroda wypłaconą będzie dopiero po nadesłaniu wspomnianéj liczby drukowanych egzemplarzy.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Kwietnia 1886 r.

---

1. *Jan Zacharyasiewicz*: **W dole i na wyżynach**. Nowele i powiastki. Swaty ekscelencyi. — Kozica. — Różne drogi. — Wolny wybór. Warsz., nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki. 1886. 8-o, str. 248.
2. *Adam Bełcikowski*: **Ze studyów nad literaturą polską**. Wydanie pamiątkowe ku uczczeniu 25-cio letniéj działalności literackiéj autora z życiorysem skreślonym przez D-ra Piotra Chmielowskiego. Warsz. nakł. Teod. Paprockiego i S-ki. 1886. 8-o, str. XXXII i 604.
3. **Własności stali służącej do wyrobu szyn**. Napisał *J. Heilpern*, inżynier. (Odbitka z „Przegl. Technicznego“) Warsz. 1886. str. 27.
4. **W sprawie ujednostajnienia znakowania w naukach matematycznych i technicznych**. Napisał *J. Heilpern*, inżynier. (Odbitka z „Przeglądu Technicznego“). Warsz., 1886, 8-o, str. 28.
5. **Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich**. Tom VII, zesz. 76 (od str. 241 do 320).
6. **Z czasów saskich spraw wewnętrznych, polityki i wojny**. Przez *Kazimierza Jarochowskiego*. Poznań, nakł. C. F. Piotrowskiego i Sp. 1886, 8-o. str. 544.
7. **Podstawy teoryi poznania w „Systemie logiki dedukcyjnej i indukcyjnej“** J. S. Milla. Przez *d-ra Aleksandra Raciborskiego*. Lwów, nakł. autora, 1886, 8-o; tom I, str. 333, tom II, str. 308 i nlb. 3.
8. **Izsliedowanja nad peczenju**. I. Żeliezo peczeni. Dissertacja na stiepień doktora miediciny *Stanisława Stiefana Zaleskawo*. Petersb. 1886, 8-o, str. 56.
9. **Szach i mat** („Karjerowicz“). Komedya w czterech aktach przez *Józefa Blizińskiego* (odbitka z „Echa Muzycznego i Teatralnego i artystycznego“). Warsz., 1886, 8-o, str. 216.
10. **Jak zabiezpieczyć rodzące od chorób połogowych**. (Wydawnictwo „Zdrowia“). Warsz. 1886, str. 18.
11. *Witold Bartoszewski*. **Pojedynek, jego reguły i przykłady**. Kraków 1885, 8-o, str. 148.
12. **Jak prowadzić gospodarstwa**? Rozprawy odznaczone na konkursie „Gazety Rolniczej“ (Wydawnictwo jubileuszowe). Warsz., 1886, 8-o, str. 307.
13. *Maryan Gawalewicz*: **Figiel Benvenuta**. Komedya w jednym akcie. Warsz., nakł. M. Orgelbranda, 1886, str. 78 (z rycinami).
14. **Jakób Izraelewicz**. Szkic powieściowy z życia Żydów skreślił *Hilary Nussbaum*. Warsz., 1886, 8-o, str. 171.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Марта 1886.